

WIELKIE SERIE SF

JAMES BLISH

**Triumf
czasu**


AMBER

James Blish

Triumf Czasu

Przekład Andrzej Syrzycki

Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA](#)
[PROLOG](#)
[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)
[ROZDZIAŁ DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ TRZECI](#)
[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)
[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)
[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)
[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

Bismillahi 'rrahmani' rrahime *
Kiedy nastąpi nieuniknione wydarzenie
– nie znajdzie ono żadnego zaprzeczenia -
poniżające, wywyższające!
Kiedy ziemia zostanie wstrząśnięta wstrząsem
Kiedy góry zostaną skruszone skruszeniem,
tak iż staną się prochem rozrzuconym,
wy będziecie stanowić trzy grupy:...

My nie daliśmy nieśmiertelności
żadnemu człowiekowi przed tobą.
Czyżbyś ty miał umrzeć
a oni mieliby być nieśmiertelni?
Każda dusza zakosztuje śmierci...
Tak! Przyjdzie ona do nich niespodzianie
i wprawi ich w zdumienie;
i nie będą w stanie jej odwrócić
ani nie będzie im dana żadna zwłoka!

Koran, Sura LVI i Sura XXI **

* W imię Boga Miłosiernego, Litościwego (przyp. tłum.)

** Tłumaczenie Józef Bielawski, PIW, Warszawa 1986

PROLOG

...W taki to sposób w dziejach Ziemi, planety jakich wiele pośród cywilizowanych światów, mającej za sobą wiele tysięcy lat własnej historii, rozpoczął się około roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego rozdział kosmicznych lotów załogowych. Jednak dopiero wynalezienie generatora polaryzacji grawitonowej w roku dwa tysiące dziewiętnastym uczyniło z Ziemi planetę liczącą się na skalę galaktyczną.

W dwa tysiące dwieście osiemdziesiątym dziewiątym kolonie Ziemian nawiązały kontakt z Tyranią Wegańską. Antagonizm między tymi dwoma kulturami, z których jedna szybko nabierała znaczenia, a druga schodziła z galaktycznej sceny, przerodził się w otwarty konflikt, a jego kulminację stanowiła stoczona w dwa tysiące trzysta dziesiątym roku bitwa o Altair. Była to zaledwie pierwsza potyczka w kampanii, która miała w przyszłości otrzymać miano Wojny Wegańskiej. Sześćdziesiąt pięć lat później Ziemia wysłała w przestrzeń międzyplanetarną swoją pierwszą flotyllę kosmicznych miast wędrownych. Miasta te przez długi czas miały dominować w galaktyce.

Przeciągająca się wojna z Weganami dobiegła końca z chwilą oblężenia samej Wegi, zakończonego bitwą o forty. Późniejsze puszczenie z dymem systemu wegańskiego przez Trzecią Flotę Kolonialną dowodzoną przez admirała Aloisa Hrunte skłoniło Ziemię do postawienia admirała in absentia przed sądem za popełnione okrucieństwa i ludobójstwo. Sprawą zajął się Sąd Kolonialny, który, oczywiście również in absentia, za popełnione zbrodnie skazał admirała na karę śmierci. Hrunta jednakże nie uznał tego wyroku. Próba ściągnięcia go na Ziemię siłą ujawniła wszystkim po raz pierwszy fakt, że niemal cała Trzecia Flota Kolonialna zbuntowała się i stanęła po stronie admirała. W dwa tysiące czterysta sześćdziesiątym czwartym roku doszło do bitwy, która nie przyniosła rozstrzygnięcia, chociaż obydwie strony poniosły w niej ciężkie straty.

Po bitwie Hrunta ogłosił się Imperatorem Przestrzeni Kosmicznej. Jego Imperium było pierwszym z wielu mu podobnych, które namnożyły się na obrzeżach ziemskiej jurysdykcji w okresie tak zwanego bezkrólewia. Okres ten zaczął się oficjalnie w dwa tysiące pięćset dwudziestym drugim roku wraz z upadkiem ziemskiego rządu – Systemu Biurokratycznego, który istniał na Ziemi od roku dwa tysiące sto piętego. Po krótkim okresie sprawowania rządów przez policję nastąpiła era całkowitej anarchii, w której wiele kosmicznych miast wędrownych mogło bez przeszkód przecierać własne szlaki handlowe wiodące zarówno przez znane, jak i nieznanne galaktyki.

Wspomniane wcześniej Imperium Hrunty rozpadło się samo, rozsądzone od wewnątrz. Jego szczątki zostały bezlitośnie zniszczone w latach trzy tysiące pięćset czterdzieści pięć – trzy tysiące sześćset dwa przez odrodzone siły policyjne Ziemi. Na ten stosunkowo mało znaczący fragment ziemskiej historii warto zwrócić uwagę nie dlatego, że był czymś niezwykłym. Stanowił typowy przykład postępującego rozdrobnienia oficjalnej władzy na Ziemi w okresie, w którym zasięg tej władzy raptownie się rozszerzał.

Historia jednego z wędrownych miast, Nowego Jorku, które wystartowało w swoją kosmiczną podróż w trzy tysiące jedenastym roku, zaczyna się jeszcze w czasach istnienia Imperium Hrunty. Należy tutaj podkreślić różnicę, z jaką władze Ziemi traktowały swoje tak przecież różne dzieci: imperia i miasta koczownicze. Historia miała wykazać słuszność uczynionego wyboru, gdyż to właśnie wędrowne miasta przemierzające bezkresną przestrzeń miały uczynić kosmos domeną wpływów Ziemi na wiele stuleci galaktycznej historii.

Jednak zwyczaj i kultury uznane oficjalnie za wymarłe mają tendencje do powracania do życia wiele lat później. W niektórych wypadkach, rzecz jasna, jest to normalny odruch warunkowy. I tak na

przykład powszechnie się uważa, że okres wielkiego schyłku ziemskiej cywilizacji rozpoczął się w trzy tysiące dziewięćset piątym roku wraz z bitwą o Dżunglę w Gromadzie Akolity. Co prawda pięć lat później niejaki porucznik Lerner, ówczesny regent Akolity, ogłosił się Cesarzem Przestrzeni Kosmicznej, ale flota akolitańska, znacznie uszczuplona liczebnie podczas walki z koczowniczymi miastami w dżungli, została doszczętnie rozbita w czasie potyczek z siłami policyjnymi Ziemi, które pojawiły się tam w rok później. Cesarz Lerner zmarł w tym samym roku na zapadłej planecie akolitańskiej wskutek zażycia zbyt dużej dawki zielska mądrości.

Z wydarzeń większego kalibru należy wspomnieć o bitwie o Ziemię, jaka rozegrała się w trzy tysiące dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku między samą Ziemią a miastami wędrownymi. W tym samym czasie doszło do nieoczekiwanego wskrzeszenia Tyranii Wegańskiej. Należący do niej potajemnie zbudowany i od dawna znajdujący się w przestrzeni fort wybrał właśnie tę chwilę, aby sięgnąć po galaktyczną władzę. Jego klęska była na mniejszą skalę dokładną kopią klęski całej Wegańskiej Tyranii. Weganie w każdym konflikcie z Ziemianami, którzy byli znacznie lepszymi od nich graczami w szachy, mimo posiadanej przewagi sił powierzali komputerom analizę strategiczną. Komputery jednak nie miały intuicji do prognozowania przyszłości tak jak ludzie ani też siły woli, aby postępować zgodnie z tymi przewidywaniami.

Orbitujący fort Wegan został pokonany w tej grze na odgadywanie przyszłości przez koczowniczy Nowy Jork. W trzy tysiące dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku miasto to miało już na tyle odrębną kulturę, że opuściło macierzystą galaktykę i wyruszyło w podróż ku Wielkiemu Obłokowi Magellana. Pozostawiło za sobą Ziemię, która dwa lata wcześniej podcięła podstawy swojej egzystencji jako potęgi galaktycznej przez uchwalenie tak zwanej Ustawy Przeciwno Miastom Wędrownym w trzy tysiące dziewięćset siedemdziesiątym roku. Ten właśnie rok uważa się powszechnie za moment zejścia Ziemi ze sceny galaktycznej. Nowy Jork zaś dotarł do jednej z planet Obłoku, którą wędrowcy w następnym roku ochrzczili mianem Nowej Ziemi.

Mniej więcej w tym samym czasie zaczęto obserwować pierwsze dowody obecności odrębnej, wrogiej Ziemianom cywilizacji. Wywodziła się ona z jednej z najpiękniejszych gromad gwiazdnych – Gwiazdozbioru Herkulesa – i miała się stać później czwartą wielką cywilizacją w Drodze Mlecznej. Jeszcze raz jednak dała o sobie znać kultura, którą z historycznego punktu widzenia powinno się uznawać za wymarłą. Powolne, chociaż stałe rozszerzanie się obszaru wpływów cywilizacji Herkulesa w środku galaktyki zostało powstrzymane przez niespodziewany kataklizm o wszechświatowym zasięgu, znany obecnie pod nazwą Nieciągłości Ginnangu.

Z drugiej strony jednakże to cywilizacji Herkulesa należy zawdzięczać dane o historii galaktyki poprzedzającej tę katastrofę. Dzięki temu istnieje ciągłość wiedzy o dziejach nie mająca precedensu, jeżeli chodzi o poprzednie cykle. A jednak więcej niż zdumienie budzi niespodziewany i nagły powrót Ziemian na międzygalaktyczną scenę.

Doszło do niego w tej pozbawionej czasu chwili wszechobecnego chaosu i nowego tworzenia, a zawdzięczać go należy zaskakującemu scenariuszowi, jaki sami Ziemianie napisali dla siebie w toczącym się dramacie ogromnego wszechświata.

ACREFF-MONALES

”Droga Mleczna.

Pięć portretów kulturowych „

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nowa Ziemia

Ostatnio John Amalfi bywał zdumiony, kiedy uświadamiał sobie, że we wszechświecie istnieje coś starszego niż on. Jeszcze bardziej zdumiewała go irracjonalność faktu, że ten truizm go zaskakiwał. Przytłoczony brzemieniem lat, tysiącletnim ciężarem spoczywających na jego barkach, uzmysławiał sobie, że dzieje się z nim coś złego – albo raczej, jak sam wolał o tym myśleć – że coś niedobrego dzieje się z Nową Ziemią.

Ze zdziwieniem i niejakim smutkiem przemierzał tereny nieruchomości i pustej skorupy miasta, tworu starszego od niego o wiele tysiącleci, a będącego teraz – jak na taką starość przystało – tylko truchłem. Było to w rzeczy samej truchło całej epoki, jako że żaden z mieszkańców Nowej Ziemi nie myślał już o budowie nowych miast, które przemierzałyby bezkresną przestrzeń, ani też o spędzaniu życia w podróży, jakie stały się udziałem miast wędrownych. Ludzie z pierwszej załogi Nowej Ziemi, rozproszeni teraz wśród tubylców oraz swoich własnych dzieci i wnuków, traktowali cały ten okres z obojętnym niesmakiem. Gdyby ktoś okazał się tak źle wychowany, aby im zaproponować powrót do tamtego trybu życia, z pewnością oburzyliby się na samą myśl. Ludzie z drugiego i trzeciego pokolenia znali czasy wędrowców tylko z historii i patrzyli na skorupę kosmicznego miasta, które przyniosło na Nową Ziemię ich przodków, jak na niezgrabnego i starego stwora. Zapewne w taki sam sposób pilot pradawnego odrzutowca musiał patrzeć kiedyś na jeszcze dawniejsze zgromadzone w muzeach aeroplany.

Nikogo prócz Amalfiego nie obchodził w najmniejszym stopniu los, jaki mógł spotkać całą cywilizację miast wędrownych w macierzystej galaktyce Gwiazdnej Drogi, której satelitami były oba Obłoki Magellana. Na usprawiedliwienie tych ludzi trzeba jednak powiedzieć, że dowiedzenie się o tym, co się stało, było prawie niemożliwe. Wszystkie transmitowane stamtąd sygnały – dosłownie miliony sygnałów – dałoby się odebrać bez kłopotów, gdyby ktoś zadał sobie trud, aby to zrobić. Od chwili kolonizacji Nowej Ziemi upłynęło jednak tak dużo czasu, że posegregowanie tych wiadomości w jakikolwiek sensowny sposób zajęłoby grupie ekspertów wiele lat ciężkiej pracy. Nie znalazłby się zresztą nikt, kto zainteresowałby się robotą tak bezprzedmiotową i inspirowaną wyłącznie nostalgią.

Amalfi przybył do Nowego Jorku w nadziei, że uda mu się powierzyć tę pracę Ojcom Miasta. Była to wielka sieć komputerów i maszyn przechowujących informacje. Powierzono im rozwiązywanie tysięcy rutynowych technicznych, organizacyjnych i rządowych problemów miasta, gdy przebywało ono jeszcze w przestrzeni. Amalfi co prawda nie wiedział, co zrobi z tą informacją, jeśli w ogóle ją otrzyma. Nie istniała przecież możliwość zainteresowania nią kogoś z Nowych Ziemi. Dobrze, jeśli ktoś dałby się namówić na beztronską, półgodzinną pogawędkę na ten temat.

Zresztą, Bogiem a prawdą, Nowi Ziemianie mieli rację. Większy Obłok Magellana oddalał się nieustannie od macierzystej galaktyki z prędkością przekraczającą sto pięćdziesiąt mil na sekundę. Była to nieznaczna prędkość, niewiele tylko większa od tej, z jaką w ciągu roku powiększa się średnica przeciętnego układu słonecznego, ale była symbolem nastrojów, panujących wśród Nowych Ziemi. Ich oczy były zwrócone zawsze w przyszłość, a nie na zamierzchłe czasy. Znacznie więcej uwagi poświęcali nowej gwiazdzie, jaka rozbłysła w przestrzeni międzygalaktycznej rozciągającej się za Mniejszym Magellanem, niż całej macierzystej galaktyce. Była ona ciągle widoczna, chociaż w pewnych porach roku od horyzontu do horyzontu królował na niebie Mniejszy Obłok. Odbywano jeszcze, rzecz jasna, podróże międzygwiazdne, gdyż handel z innymi planetami małej galaktyki satelickiej był koniecznością. Handel ten prowadzono na wielkich frachtowcach. Istniały jednostki

jeszcze większe, takie jak latające przetwórnice roślin, które musiały być ciągle zasilane przez grawitonowe generatory polaryzacji czyli wiratory. Przeważnie jednak dążono do rozwoju lokalnych, samowystarczalnych obiektów przemysłowych.

Amalfi zapoznawał właśnie Ojców Miasta z problemem analizy wielu milionów sygnałów transmitowanych z macierzystej galaktyki. Siedział w pokoju, który w czasach, gdy był jeszcze burmistrzem, pełnił funkcję jego biura. W pewnej chwili jego wzrok padł na fragment tekstu napisanego przez człowieka zmarłego tysiąc sto lat przed jego narodzinami. Być może przyczyną nieoczekiwanego pojawienia się tego tekstu był proces rozgrzewania się komputerów – jak większość maszyn o takim stopniu komplikacji, pochodzących z tamtych czasów, Ojcowie Miasta potrzebowali od dwóch do trzech godzin, aby po dłuższym okresie odpoczynku wróciła im pełna świadomość. Może zresztą to sam Amalfi, mechanicznie przebierając palcami z wprawą nabytą w ciągu wielu lat pracy, wprowadził nieświadomie do problemu to, co go naprawdę martwiło: Nowego Ziemianina. Jak by jednak nie było, cytat był dobrany właściwie:

„O ile tylko taki ma być owoc zwycięstwa, to mówimy: jeżeli całe pokolenia ludzi cierpiały i oddawały życie, jeżeli prorocy i męczennicy śpiewali, ogarnięci płomieniami, a wszystkie te łyzy cierpienia wylano tylko po to, aby rasa stworzeń tak pozbawionych gustu mogła zwyciężyć, przedłużyć in saecula saeculorum swoje bezsensowne istnienie, to lepiej jest przegrać, aniżeli wygrać bitwę, albo w ogóle spuścić zasłonę przed ostatnim aktem tej sztuki, aby historia, która się rozpoczęła tak wzniosie, nie zakończyła się spektakularnym fiaskiem”.

– Co to było? – warknął do mikrofonu Amalfi.

– WYJĄTEK Z WOLI WALKI WILLIAMA JAMESA, PANIE BURMISTRZU.

– Mniejsza z tym; zagoń swoje obwody pamięci do pracy nad głównym zadaniem. Zaczekaj... czy jesteś Bibliotekarzem?

– TAK JEST, PANIE BURMISTRZU.

– Kiedy napisano ten tekst, który cytowałeś?

– W TYSIĄC OSIEMSET DZIEWIĘĆDZIESIĄTYM SIÓDMYM ROKU, PANIE BURMISTRZU.

– No, dobrze. Teraz przełącz się i zajmij się analizą. W ten sposób niczego nie osiągniesz.

Igła przepływomierza skoczyła do góry, kiedy obwody maszyny bibliotecznej na chwilę się odłączyły. Po chwili znowu opadła. Amalfi przez tę chwilę nie rozważał problemu. Siedział bez ruchu i myślał o fragmencie tekstu, który ukazały maszyny. Domyślał się, że na Nowej Ziemi zostało jeszcze kilku nie przemienionych mieszkańców wędrownych miast, chociaż jedynym, którego znał osobiście, był John Amalfi. Ale on nie czuł nostalgii za historią wszystkich tych lat, które przeżył. Nie mógł przecież zapomnieć, że Nowa Ziemia powstała głównie na podstawie opracowanych przez niego planów.

W ciągu czterech lat od lądowania działo się wiele spraw, którymi się zajmował. Pierwszą z nich było odkrycie, iż planeta, wówczas jeszcze nie mająca nazwy, była zarazem schronieniem i feudalnym lennem grupy notorycznych oszustów, określających się mianem Międzygwiazdnych Mistrzów Handlu, w macierzystej galaktyce zwanych „Wściekłymi Psami”. Ich obecność była dla procesu kolonizacji istotną przeszkodą, z którą należało się rozprawić radykalnie – i tak też się stało. Zniszczenie Mistrzów Handlu w trzy tysiące dziewięćset czterdziestym ósmym roku podczas bitwy o Przekłętą Wrzosowisko rozwiązało w końcu wszystkie problemy Amalfiego, ale także odebrało znaczenie jego funkcji. On sam zresztą stwierdził, że zupełnie nie umie żyć w stabilnym, uładowym społeczeństwie.

Cytat z książki Jamesa wiernie odzwierciedlał uczucia, jakie żywił względem obywateli

wędrownych miast, którymi się kiedyś zajmował, jak również względem ich potomków. Nie mógł oczywiście winić o to tubylców nie znających innego życia. Poza tym oni uważali, że po okresie niewolniczego życia pod rządami „Wściekłych Psów” samorządność może się okazać czymś ponad ich siły..

Amalfi wiedział dobrze, że rozwiązać jego problemu nie mogły lokalne podróże międzygwiazdne. Wszystkie planety w Obłoku okazały się bardzo do siebie podobne, a średnica Obłoku mierzyła zaledwie dwadzieścia tysięcy lat świetlnych. Dlatego bardzo wygodnie było zarządzać Obłokiem z jednego ośrodka administracyjnego, ale to nie mogło imponować człowiekowi, który kiedyś nadzorował całe miasto, przebywające w czasie jednego lotu trasę dwustu osiemdziesięciu tysięcy lat świetlnych. Ale najbardziej brakowało mu nie przestrzeni, a niepewności. Tęsknił za wędrowką w nieznaną, za tym, by nie mógł przewidzieć, jakie też niespodzianki mogą spotkać go podczas kolejnego postoju na nieznanym planecie.

Prawdę mówiąc, długowieczność ciążyła mu teraz jak przekleństwo. Przedłużany w nieskończoność czas życia był warunkiem koniecznym w społeczeństwie miast kosmicznych. Dopóki w dwudziestym pierwszym wieku nie wynaleziono leków przeciwśmiertnych, podróże międzygwiazdne, nawet z użyciem wiratorów, pozostawały fizycznie niemożliwe. Odległości, jakie należało przebyć, były po prostu zbyt ogromne, aby zwykły śmiertelnik mógł pokonywać je ze skończoną prędkością. Lecz dla człowieka nieśmiertelnego życie w społeczeństwie ustabilizowanym stało się nudne i monotonne. Sam Amalfi czuł się jak niezniszczalna żarówka, którą ktoś kiedyś wkręcił do lampy i o niej zapomniał.

Znaczna większość byłych mieszkańców wędrownych miast zdołała się przystosować do nowej sytuacji – zwłaszcza ludzie młodzi, ponieważ nie nabyli doświadczenia w podróżach międzygwiazdnych. Wykorzystywali teraz swoją długowieczność w najbardziej oczywisty sposób: prowadzili badania i projekty, na których zakończenie trzeba było czekać pięć wieków albo dłużej. Jednym z takich przedsięwzięć, stanowiących przedmiot zainteresowania sztabu naukowców w Nowym Manhattanie, było kompleksowe rozwiązanie problemu antymaterii. Teoretyczne podstawy analizy tego problemu opracował doktor Schloss, dawny fizyk hruntański, który znalazł się w mieście jeszcze w trzy tysiące sześćset drugim roku jako uciekinier z pogromu księstwa Gortu, ostatniej pozostałości po ginącym Imperium Hrunty. Sprawy administracyjne prowadził stosunkowo młody człowiek o nazwisku Carrel, do niedawna pełniący funkcję jednego z pilotów. Później został zastępcą menażera miasta.

Pierwszym celem tego przedsięwzięcia było, jak powiadał sam Carrel, zbudowanie z antymaterii teoretycznie możliwych struktur przypominających atomy. Nie da się ukryć, że większość młodych naukowców z tej grupy, korzystając z aktywnego poparcia Schlossa, marzyła o uzyskaniu już nie tylko chemicznych związków – bo te dałoby się otrzymać w ciągu kilku dziesięcioleci – ale prawdziwego, widzialnego obiektu zbudowanego z antymaterii. Gdyby do tej pory zdołali wymyślić antymaterialną farbę i pojemnik do jej przechowywania, na powierzchni tego niewątpliwie wybuchowego tworzywa z pewnością namalowałiby ostrzegawczy napis *Noli me tangere*. Tak przynajmniej przypuszczał Amalfi.

To wszystko wyglądało bardzo pięknie, ale burmistrz, który nie był naukowcem, nie mógł oczywiście brać w tym udziału. Mógłby, rzecz jasna, bez kłopotu uczynić coś takiego, co zakończyłoby jego życie. Nie był przecież niezniszczalny; nie był nawet naprawdę nieśmiertelny. Nieśmiertelność jest słowem bez znaczenia we wszechświecie, w którym fundamentalne prawa, mające naturę stochastyczną, nie gwarantują nikomu życia bez wypadków. W tym świecie życie, choćby nie wiedzieć jak długie, w swej istocie jest tylko lokalnym i czasowym zakłóceniem drugiego

prawa termodynamiki. Myśl o samozniszczeniu nie przyszła mu jednak do głowy, jako że nie miał natury samobójcy. Nigdy zresztą nie czuł się bardziej wypoczęty ani bardziej optymistycznie nastawiony niż dzisiaj. Był tylko niewiarygodnie znudzony, a jego myśli, od tysiącleci biegnące utartymi szlakami, nie pozwalały mu się zdecydować na dalsze życie na jakiejkolwiek planecie, gdzie panował społeczny ład, choćby nie wiadomo jak utopijny. Tysiące lat, które spędził na przenoszeniu się od jednej kultury do drugiej, nadały mu ogromny impet, z jakim podążał teraz nieuchronnie ku masywnemu murowi z napisem NIE MAM DOKĄD SIĘ UDAĆ.

– Amalfi! To ty! Mogłem się tego spodziewać.

Amalfi wcisnął nerwowo klawisz CZEKAJ i odwrócił się na obrotowym krześle. Głos rozpoznał natychmiast, znał go przecież od wielu stuleci. Słyszał bardzo często mniej więcej od trzy tysiące pięćsetnego roku, kiedy miasto przyjęło na pokład jego właściciela i uczyniło go szefem sekcji astronomicznej. Był wiecznie rozdrażnionym i trudnym we współżyciu człowieczkiem o zdradliwie łagodnych manierach. Nigdy przedtem nie kierował zresztą pracą astronomów, ale właśnie kogoś na to stanowisko miasto bardzo potrzebowało. Miał tak dużo doświadczenia życiowego, że w czasach, kiedy takie przenosiny z Nowego Jorku były jeszcze możliwe, Ojcowie Miasta nie pozwolili mu przenieść się gdzie indziej.

– Cześć, Jake – rzekł Amalfi.

– Czołem, John – odparł astronom, ciekawie zerkając na rozstawione monitory. – Hazletonowie powiedzieli mi, że znajdę cię gdzieś w kadłubie miasta, ale przyznaję, że idąc tutaj o tym zapomniałem. Miałem zamiar skorzystać z usług sekcji obliczeniowej, ale nie mogłem dobrać się do komputerów. Te programy przelatywały z jednej sieci do drugiej jak grupa zwariowanych chłopców na posyłki. Sądziłem, że może to jeden z dzieciaków dostał się tu, do sterowni, i bawił się klawiaturami. A co ty właściwie tutaj robisz?

To było bardzo trafne pytanie, którego sam Amalfi jak dotąd jeszcze sobie nie zadał. Nie mógł nawet pomyśleć o tym, by zwierzyć się Jake'owi ze swoich planów skatalogowania informacji, bo wiedział, że napotkałby na sprzeciw. Nie żeby Jake'a cokolwiek to obchodziło, ale Amalfi przeczuwał, że Jake na pewno by zaprotestował.

– Właściwie to nie wiem – powiedział zatem. – Coś mnie ciągnęło, żeby raz jeszcze popatrzeć na to miejsce. Nie mogę się pogodzić z myślą, że to wszystko musi zardzewieć. Nadal sądzę, że jeszcze może się do czegoś przydać.

– Przyda się, przyda – odparł Jake. – Takich komputerów jak Ojcowie Miasta nie ma nigdzie indziej na całej Nowej Ziemi, a tym bardziej gdziekolwiek w Magellanach. Korzystam z nich bardzo często, kiedy tylko pracuję nad czymś naprawdę skomplikowanym. Przypuszczam, że Schloss robi to samo. Mimo wszystko Ojcowie Miasta wiedzą o mnóstwie rzeczy, o których nikt inny nie ma pojęcia. Może są trochę starzy, ale wciąż wystarczająco szybcy.

– Myślę, że w tym kryje się coś więcej – odparł Amalfi. – Miasto było potężne, wciąż jeszcze jest potężne. Centralny stos wystarczy co najmniej na milion lat, a niektóre wiratory nadal dadzą się uruchomić... zakładając, że kiedyś znajdziemy coś na tyle dużego, by potrzebowało takiej siły nośnej, jaką zapewniają.

– A po co mielibyśmy to robić? – zapytał astronom, najwyraźniej nie bardzo tym zainteresowany. – To wszystko należy do przeszłości, a z tą skończyliśmy na dobre.

– Czy na pewno? Sądzę, że żadna maszyna tak bardzo złożona i skomplikowana jak miasto czy Ojcowie nie może przestać być użyteczna. I nie chodzi tu o błahe sprawy, jak pytanie Ojców Miasta o zdanie czy o korzystanie z ułamka mocy stosu. To miasto zbudowano po to, żeby latało i, na Boga, wciąż jeszcze powinno to robić!

– A po co?

– Tego na razie nie wiem. Może w celach badawczych, a może w roboczych. W Obłoku musi być do spełnienia wiele zadań, do których nie nadaje się nic mniejszego. Może to tylko my nie trafiliśmy na żadne z nich? Może warto byłoby wylecieć w przestrzeń i trochę się porozglądać?

– Nie sądzę – odparł Jake. – A zresztą miasto zostało trochę zniszczone w trakcie tego zatargu z Międzygwiazdnymi Mistrzami Handlu. Oberwało od pocisków i rakiet. Od tamtego czasu ciągle padały na nie deszcze, a to też mu nie pomogło. Poza tym przypominam sobie, że kiedy tu lądowaliśmy, ten stary wirator z dwudziestki trójki rozleciał się na dobre. Nie sądzę, żeby udało się go uruchomić, choćbyśmy nie wiem jak próbowali.

– Nie myślałem o uruchomieniu wszystkiego – rzekł Amalfi. – Słabo się na tym znam, ale wiem, że tego nie dałoby się zrobić. Sądzę tylko, że to miasto jest zbyt skomplikowane jak na wykonywanie zadań tak mało znaczących, jakie mamy w Obłoku. Wiele z nich można wykonać siłami znacznie skromniejszymi. Poza tym podejrzewam, że udałoby się zebrać tylko szczątkową załogę. Ale gdybyśmy zdołali uruchomić część miasta, to moglibyśmy polecieć...

– Część miasta? – przerwał Jake. – A jak chciałbyś podzielić na części miasto, które ma granitową stępkę? Zwłaszcza takie, które stanowi część tej stępki? Okaże się, że te partie, które będą ci najbardziej potrzebne, znajdują się na obrzeżach i albo nie będą mogły być wycięte, albo nie da się ich przenieść bliżej centrum. Tak właśnie zbudowane jest miasto: jako jedna całość.

Było to oczywiście prawdą.

– Przypuśćmy, że to dałoby się zrobić – zauważył jednak Amalfi. – Co byś wówczas powiedział, Jake? Przez prawie pięć stuleci byłeś jednym z wędrowców. Czy teraz chociaż trochę za tym nie tęsknisz?

– Ani odrobinę – odparł astronom z ożywieniem. – Jeśli chcesz wiedzieć, Amalfi, to nigdy za tym nie przepadałem. Po prostu nie miałem gdzie się podziac. Uważam, że wy wszyscy byliście trochę zwariowani na punkcie bitew i potyczek. Bezustannie walczyliście z gliniarzami, mieliście te swoje wojny, głodówki i co tam jeszcze, ale zapewniliście mi latające miejsce pracy. Miałem tak dobry widok na gwiazdy i planety, jakiego nie zapewniłoby mi nigdy żadne stacjonarne obserwatorium z najlepszym nawet teleskopem. Poza tym miałem wikt, a więc nie narzekałem. Ale zrobić to jeszcze raz, teraz, kiedy mam prawo wyboru? Nigdy w życiu. Prawdę mówiąc, przyszedłem tutaj dokonać trochę obliczeń dotyczących tej nowej gwiazdy, jaka rozbłysła poza Małym Obłokiem. Zachowuje się niezwykle... moim zdaniem jest to najpiękniejszy teoretyczny problem, z jakim zetknąłem się w ciągu ostatnich kilku wieków. Ciekaw jestem, kiedy zwolnisz klawiatury. Naprawdę potrzebuję Ojców Miasta, skoro już mogę korzystać z ich pomocy.

– Już skończyłem – odezwał się Amalfi, odsuwając się od pulpitu.

W chwilę później, o czymś sobie przypomniawszy, powrócił do klawiatury i wysłał polecenie skasowania problemu, z którym chciał się uporać, a który, o tym już wiedział, był tylko problemem zastępczym.

Pozostawił Jake'a mrużącemu coś pod nosem i wprowadzającego swój problem nowej gwiazdy, a sam udał się bez określonego celu w stronę centralnej części miasta. Starał się sobie przypomnieć, jak wyglądało, kiedy było zamieszkanym i tętniącym życiem organizmem. Opustoszałe teraz ulice, ciemne okna i dźwięczącą ciszę miasta spoczywającego pod błękitnym niebem Nowej Ziemi traktował niemal jak osobistą obrazę. Nawet siła ciężkości, której oddziaływanie czuł pod swymi stopami, była w tym znanym mu dobrze miejscu zaprzeczeniem wartości i celów, jakim poświęcił znaczną część swego życia. Temu ciężeniu, tak łatwo utrzymywanemu dzięki olbrzymiej masie, nie towarzyszył teraz stały chociaż cichy pomruk wiratorów, który zawsze – od niepamiętnych

czasów jego dzieciństwa – oznaczał, że grawitację stworzył i utrzymywał w mocy człowiek.

Czując ogarniające go przygnębienie, Amalfi skręcił w bok i znalazł się pośród magazynów. W tym miejscu przynajmniej ten niezwykle zwyczajny dzień nie drwił sobie z jego pamięci o mieście jako o żywym organizmie. Po kilku chwilach jednak Amalfi stwierdził, że i tutaj nie czuje się o wiele lepiej. Opuszczone magazyny i chłodnie uświadamiały mu, że nie ma już potrzeby gromadzenia zapasów na wyprawy międzygwiazdne, które miałyby trwać po sto lat albo dłużej. Opróżnione zbiorniki na paliwo dźwięczały nawet wtedy, kiedy przechodził z dala od nich, bo odbijały dźwięki jego miarowych kroków. W opustoszałych bursach zamieszkiwały chyba tylko dziwaczne duchy, jakie pozostawiają po sobie nieumarli, ale żywi, którzy opuścili te miejsca i wybrali inny tryb życia. Opustoszałe niewielkie sale lekcyjne, gdzie kiedyś uczyły się pokolenia wędrowców, nie dźwięczały hałasem tysięcy dzieci, bo wychowywali je teraz na swojej własnej planecie, Nowej Ziemi. Nie musiało ich już więcej obchodzić, ilu małych wędrowców może wyżywić albo wykształcić bez trudu koczownicze miasto.

Na koniec, kiedy Amalfi dotarł do samych głębin stępki, ujrzał coś, co uznał za znak swojej ostatecznej klęski. Były to stopione ze sobą szczątki dwóch wiratorów, nie nadające się już do naprawy po owym pamiętnym lądowaniu w trzy tysiące dziewięćset czterdziestym czwartym roku na Przeklętym Wrzosowisku. Można byłoby, rzecz jasna, zbudować i uruchomić nowe grawitonowe generatory polaryzacji, a stare oddać na złom, ale taka operacja zajęłaby sporo czasu. Na Nowej Ziemi nie było specjalnych doków, w których można by zbudować je teraz, kiedy miasta przestały być potrzebne. Nie znalazłby się zresztą nikt, kto zechciałby się tego podjąć.

A jednak, stojąc w chłodzie panującym w pomieszczeniu z wiratorami, Amalfi postanowił spróbować.

– Ale co, u diabła, chciałbyś przez to osiągnąć? – zapytał co najmniej po raz piąty zdesperowany Hazleton. – Myślę, że masz nie po kolei w głowie.

Nikt inny na całej Nowej Ziemi nie odważyłby się w ten sposób odzywać do burmistrza, ale Mark Hazleton był menażerem miasta Amalfiego od trzy tysiące trzysta pierwszego roku i bardzo dobrze znał swojego byłego szefa. Ten subtelny, chociaż trudny w obejściu, leniwy, impulsywny i czasami wręcz niebezpieczny człowiek popełnił w życiu wiele takich błędów, za jakie Ojcowie Miasta kazaliby rozstrzelać innego menażera, tak jak kazali rozstrzelać jego poprzednika. W skrytości ducha żywił przekonanie, często zresztą niczym nie usprawiedliwione, że posiadał umiejętność czytania w myślach Amalfiego.

Z pewnością żaden inny były wędrowiec na całej Nowej Ziemi nie mógłby lepiej niż on orientować się w tym, co właściwie trapiło Amalfiego. Hazleton jednak w tej chwili nie demonstrował swoich zdolności w najlepszy sposób. Jego żona Dee pochodziła z planety Utopia i zjawiała się na pokładzie miasta mniej więcej w tym samym czasie co doktor Schloss, to znaczy podczas pogromu księstwa Gortu. Obydwoje Hazletonowie zapewne już nie pamiętali, że zgodnie z tradycją miast koczowniczych burmistrz nie mógł zawierać małżeńskich związków ani posiadać dzieci. Amalfi zresztą, pełniąc funkcję burmistrza Nowego Jorku od trzy tysiące osiemdziesiątego dziewiątego roku, nie mógłby teraz znieść nawet myśli o tym, że znajdzie się w otoczeniu gromady dzieci i wnuków swojego menażera miasta. Nigdy nie mógł sobie tego wyobrazić, a zwłaszcza w takiej chwili. Pojawił się w domu Hazletonów, szukając rady u kogoś, kto pamiętał tradycje na tyle dobrze, aby wiedzieć, dlaczego ktoś inny wciąż jeszcze im hołduje.

Jedną z zalet Hazletona stanowiło to, że jeśli chciał, to potrafił reagować bardziej jak jednostka licząca się z otoczeniem niż jak silna indywidualność. Kiedy jego dzieci zaczęły z wdziękiem

wychodzić zaraz po zjedzeniu kolacji, Amalfi był niemal pewien, że polecił im to ich ojciec. Wiedział również, że to nie dlatego, by menażer zwykł oszczędzać przyjaciołom zakłopotania, w jakie mógł wprawić ich widok owoców jego małej stabilizacji. Po prostu Hazleton musiał intuicyjnie wyczuć, że Amalfi przybył w sprawach oficjalnych. Postanowił więc odesłać dzieci i porozmawiać z burmistrzem, burząc tym ustalony przez jego żonę porządek wieczoru.

Dzieci przypisały winę za swoje wcześniejsze wyjście zbliżającej się porze kładzenia wnuków do łóżek; Amalfi jednakże wiedział, że cały klan Hazletonów zazwyczaj do późnej nocy świętował wspólne kolacje. Niemal do rana wszyscy spędzali czas w sąsiednich, przylegających do tego domach. To prawdziwe ule pełne pokojów i sypialni, gdzie kilka pokoleń Hazletonów wychowywało swoje dzieci.

Pomieszczenie, w jakim teraz się znajdowali, było wielkim salonem, w którym cała rodzina mogła jeść posiłki. Po zakończeniu kolacji Amalfi niecierpliwie czekał, aż procesja dorastających i młodych Hazletonów pożegna go i wyjdzie. Wszyscy, nawet najmłodszy, przed wyjściem musieli powiedzieć choć kilka słów do znamienitego gościa, by mu się przedstawić lub przypomnieć. Rodzice już dawno wpoili im do głów, że wiecznie zapracowany pan burmistrz nie będzie przecież mógł zapamiętać, które z nich jak się nazywa i co robi.

Amalfiemu nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby podziwiać spokój, z jakim dzieci godziły się na wcześniejsze wyjście. Nie był po prostu świadom tego, że mogą się czuć zawiedzione. Słuchał wypowiedzianych przez nie słów, właściwie ich nie słysząc. Zwrócił uwagę dopiero na średniego wzrostu chłopca. Zauważył go, gdyż od samego początku chłopiec nie spuszczał oka z honorowego gościa. Amalfiego wprawiło to w zakłopotanie. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie zapomniał włożyć jakiejś istotnej części garderoby albo zatrzeć śladów przygotowań do obecnej wizyty. Kilkakrotnie pocierał czoło, wygładzał brwi i sprawdzał, czy w uszach nie pozostały resztki mydła. Kiedy więc przysła kolej na chłopca, Amalfi zwrócił uwagę na to, co mały miał do powiedzenia.

– Jestem Webster Hazleton, sir. Chciałbym móc się z panem jeszcze kiedyś zobaczyć w sprawie, która jest dla mnie bardzo ważna.

Chłopiec wyrecytował te słowa, jak gdyby ćwiczył je od tygodni. W jego głosie zabrzmiała taka pewność, że Amalfi poczuł się niemal zmuszony od razu ustalić czas i miejsce spotkania. Ale zamiast tego mruknął:

– Webster, czy dobrze usłyszałem?

– Tak, sir. Zapisano mnie na Wielkiej Liście, żebym się urodził, kiedy poprzedni Webster będzie zamierzał opuścić miasto.

Amalfi był tym wstrząśnięty. To było tak strasznie dawno temu! Webster był jednym z inżynierów stosu. Zdecydował się opuścić Nowy Jork około trzy tysiące sześćsetnego roku, jeszcze przed lądowaniem na Utopii. Rzecz jasna, zapełnienie luk na liście mieszkańców zajmowało zawsze niemało czasu. Luki te powstawały po zdradzieckich napadach ze strony miast przestępczych, nie chcących wypełniać swoich zobowiązań wobec planety He. Wiele osób umarło także po wkroczeniu na pokład ogarniętego zarazą miasta w Dżungli Akolity. Poza tym na początku rodziły się przeważnie dziewczynki. Webster czekał jednakże strasznie długo. Sądząc z wyglądu, mógł mieć najwyżej lat czternaście.

– Wiesz, John, Web urodził się właściwie wiele lat po tym, jak przestaliśmy prowadzić tę listę – wyjaśniła Dee, podchodząc do nich. – Jest mu jednak przyjemnie mieć własnego patrona, tak jak to było w dawnych czasach.

Chłopiec zwrócił na kobietę swoje wielkie i piwne oczy.

– Dobranoc panu, sir – powiedział, jakby w ten sposób chciał nie dopuścić jej do ich męskiego

Świata.

Amalfi z trudem się opanował. Nikt nie mógł lekceważyć Dee, nawet on sam. Wiedział o tym, bo kiedyś tego próbował.

Procesja wychodzących dzieci nadal trwała, ale burmistrz nie zwracał już na nie uwagi. W końcu pozostał sam na sam z Markiem i jego żoną – o ile powiedzenie „sam na sam” było na miejscu w tym ogromnym pokoju, w którym jeszcze niedawno przebywali ludzie o tak silnych indywidualnościach. Aura wciąż panującej tu rodzinnej atmosfery przeszkodziła Amalfiemu powiedzieć to, co zamierzał. Zająknął się nawet, co zdarzało mu się bardzo rzadko, i właśnie wtedy Hazleton zapytał go, co chce przez to osiągnąć.

– Osiągnąć? – odparł Amalfi. – Nie pragnę osiągnąć niczego. Chcę po prostu znaleźć się znów w przestworzach.

– Ależ, John – odezwała się Dee. – Pomyśl chwilę. Przypuśćmy, że udałoby ci się przekonać kilka osób, żeby ci towarzyszyły. I tak nie będzie miało to większego sensu. Stałbyś się kimś w rodzaju Latającego Holendra, przekłętego przez los, nie robiącego nic i lecącego donikąd.

– Może masz rację – rzekł Amalfi. – Ale ten obraz mnie nie przeraża. Powiem ci nawet więcej, Dee. Jeżeli mam już być szczerzy, sprawia mi coś w rodzaju przewrotnej satysfakcji. Nie mam nic przeciwko temu, żeby stać się legendą. To przynajmniej zapewniłoby mi miejsce w historii, pozwoliłoby mi odegrać rolę podobną do tej, jaką odgrywałem w przeszłości. Najważniejsze, że mógłbym znowu latać. Zaczynam wierzyć, że nie ma dla mnie nic ważniejszego.

– A to, co jest ważne dla nas, się nie liczy? – zapytał Hazleton. – Przede wszystkim taka wyprawa pozbawiłaby Obłok burmistrza. Nie wiem, jak bardzo zależy ci na tym teraz, ale pamiętam, że kiedy miasto leciało ku tej planecie, ta sprawa była dla ciebie bardzo ważna. Staraleś się o tę funkcję tak bardzo, że nawet spreparowałeś wybory. Jedyntymi kandydatami mieliśmy być ja i Carrel, ale ubiegaliśmy się o posadę menażera. Tobie jednak udało się przekonać Ojców Miasta, że chodzi o wybory burmistrza, no i rzecz jasna, wybrali ciebie. Sądzę więc, że teraz to nawet nieważne, czy ci na tym zależy, czy nie.

– Czy chciałbyś może zająć moje miejsce? – zapytał Amalfi.

– Na wszystkie gwiazdy niebios, skądże znowu! Chciałbym, żebyś nadal pełnił swoją funkcję. Wykazałeś się nadzwyczajną przedsiębiorczością, kiedy staraleś się o ten urząd, i nie jestem jedynym, który oczekuje, że będziesz go pełnił nadal. Zresztą nikt się o niego nie stara. Wszyscy mają nadzieję, że nadal będziesz robił to, co robisz.

– Nikt się o niego nie stara, bo nikt inny nie wiedziałby, co robić, gdyby znalazł się na moim miejscu – odparł Amalfi z przekonaniem. – Ja też często tego nie wiem. Stanowisko burmistrza Obłoku stało się przeżytkiem. Sam nie wiem od ilu lat nikt nie powiedział mi, co mam zrobić, jaką mowę wygłosić czy w jaki inny sposób wykazać, że wciąż jestem potrzebny. Stanowisko burmistrza jest urzędem honorowym, ale niczym więcej, i tak wszyscy wiedzą, że to ty zarządzasz Obłokiem. Sądzę, że dajesz sobie świetnie radę. Nadszedł czas, żebyś przejął moją funkcję oficjalnie, a nie tylko w praktyce. Ja dałem już z siebie wszystko w czasach, kiedy się organizowaliśmy. Moje umiejętności nie pasują do obecnej sytuacji. Wiedzą o tym wszyscy mieszkańcy Nowej Ziemi, a więc byłoby o wiele lepiej, gdyby nazwać rzeczy po imieniu. A zresztą, Mark, jak długo pozwolą mi być burmistrzem? Z tego, co powiedziałaś, mogę sądzić, że mam nim być w nieskończoność. To jest młode społeczeństwo, a więc całkiem możliwe, że będę tytularnym przywódcą przez następne tysiąclecie. Czy chcesz, aby przez te tysiąc lat to młode społeczeństwo miało te same zasady i pomysły, które ja miałem w czasach, w których coś jeszcze znaczyły? To byłoby szaleństwem i ty wiesz o tym bardzo dobrze. Nie, nie, czas najwyższy, żebyś zajął moje miejsce.

Hazleton przez dłuższy czas nic nie mówił.

– Możliwe, że masz rację – odezwał się w końcu. – Sam zresztą parę razy się nad tym zastanawiałem. Niemniej jednak twoja propozycja mnie zaskoczyła. Sądzę, że sprawa funkcji burmistrza i tak rozwiązałaby się sama. Nie ta kwestia była powodem moich zastrzeżeń. Chodziło mi o to, co stanie się później z tobą. Nie tylko dlatego, że twoje przedsięwzięcie jest niebezpieczne. To, jak przypuszczam, niewiele cię obchodzi, a więc sądzę, że i mnie nie powinno. Problem w tym, że właściwie narażasz swe życie bez powodu.

– Podałem ci już swój powód – odrzekł Amalfi. – Nie sądzą, żebym w tej chwili miał jakiś lepszy. Gdybym go miał, to bym tu został, Mark, sam wiesz o tym najlepiej. Ale myślę, że po raz pierwszy w życiu mogę być wolnym strzelcem, mogę robić to, na co mam ochotę.

Hazleton wzruszył ramionami.

– Jasne, że możesz – odparł. – Ja mogę tylko powiedzieć, że nie chcę, żebyś to robił.

Dee spuściła głowę i milczała.

Więcej na ten temat nie mówiono. Dee i Markowi byłoby bardzo przykro, gdyby Amalfi zrealizował swój zamiar. Mieli swoje powody, które mogliby podać jako silny, dodatkowy argument. Nie uczynili tego jednak, bo byłby to ten rodzaj perswazji, który Hazleton uznałby za emocjonalny szantaż właśnie dlatego, że miał taką siłę. Amalfi czuł wdzięczność, że Hazleton tego nie zrobił. Z większym trudem pojmował racje, dla których nie uczyniła tego Dee. Pamiętał przecież czasy, kiedy nie wahałaby się ani chwili. Znał ją na tyle dobrze, by przypuszczać, że może to chcieć zrobić właśnie teraz. Na założenie kolonii na Nowej Ziemi czekała przez wiele lat, właściwie prawie od chwili wejścia na pokład kosmicznego miasta. Wszystko, co zagrażało Nowej

Triumf czasu Ziemi teraz, kiedy miała już dzieci i wnuki, powinno skłonić ją do użycia wszelkiej broni, jaką dysponowała. Ona jednak milczała. Być może doświadczenie mówiło Dee, że nawet sam wielki John Amalfi nie mógłby pozbawić jej teraz tego wszystkiego, co osiągnęła. Ale nie zdradziła ani słowem, o czym myślała. Wieczór w domu Hazletonów zakończył się sztywno i oficjalnie, chociaż nie aż tak chłodno, jak Amalfi się obawiał.

W odczuciu Amalfiego cały zamieszkiwany obszar miasta aż roił się od różnych zwierząt, Te, którym pozwolono przebywać na swobodzie, skakały i biegały po szerokich chodnikach. Niektóre próbowały robić to także na jezdniach, ale wtedy zazwyczaj ginęły, zabijane przez pojazdy. Czworonogie zwierzęta były stałym zagrożeniem dla godności i bezpieczeństwa przechodniów. W ciągu dnia rozdokazywane psy niemal zwały z nóg ludzi obcych, ale skakały z radości na widok osób im znanych. Opierały się wtedy przednimi łapami o wszystkich, których lubiły – a wyglądało na to, że wszystkie, włącznie z psami z Nowego Manhattanu, znały i lubiły Amalfiego.

Od czasu do czasu jakiś svengali z planety Altair IV korzystał z lekkiego wiatru i próbował polować w półmroku nadchodzącego świtu czy zapadającego zmierzchu. Te rzadkie okazy pół-zwierząt i pół-roślin trzymano na początku w ogrodzie zoologicznym miasta. Później, w laboratoriach Nowej Ziemi, objęto je w roku trzy tysiące dziewięćset pięćdziesiątym programem realizacji pełnej płodności i w ten sposób uzyskano możliwość ich sztucznego rozmnażania przez pączkowanie. Wówczas to każdej osadniczej rolnej proponowano do wyboru: fiołkę wody trilby albo wypączkowanego svengali. Na ogół kobiety między swe domowe lary i penaty brały i jedno, i drugie.

Bezkosztne svengali leżały zwykle na chodnikach i do chwili, w której zobaczyły jakiś niewielki, nadający się do strawienia obiekt, zwracały swe ogromne oczy na wszystko, co się rusza. Niestety, na Nowej Ziemi przeważyło nic odpowiedniego dla nich nie było. Ludzie wpatrywali się bezradnie

w ich hipnotyzujące oczy do czasu, kiedy niebacznie nadeptywali na stworzenie. Wówczas svengali przybierał kolor fiołkoworóżowy i wydelał ochronną ciecz, która być może na planecie Altair IV przyprawiała o mdłości, ale tu, na Nowej Ziemi, wywoływała euforię. Rezultatem jej działania mogło być nagłe uczucie przyjaźni do wszystkich i do wszystkiego, manifestujące się głośnym śpiewem, a nawet czasami płaczem szczęścia. Potem wstrząśnięty svengali nadawał swojemu ciału ruch falisty i wpełzał do domu, aby odpocząć albo pożywić się galaretową zupą.

Wieczorami na chodnikach Nowego Manhattanu panoszyły się koty, które miały zwyczaj wyciągania pazurów w stronę każdej powiewnej szaty czy modnych ostatnio rzemieni przy sandałach. Choć był już wieczór, w powietrzu unosiło się wiele różnobarwnych, fruujących albo szybujących stworzeń: świergoczących, skrzeczących, gadających i niemych ptaków, które też do kogoś należały. Amalfi serdecznie ich nienawidził.

Wiedział, że gdziekolwiek przechodził – a ostatnio prawie zawsze poruszał się piechotą, bo taksówki powietrzne już nie latały – zanim dotrze do domu, będzie musiał uwalniać się z objęć jakiegoś rozżłoszczonego człowieka albo uciekać przed szczekającym kundlem. Po lądowaniu na Nowej Ziemi pojawiła się trwająca od prawie stulecia moda na trzymanie w domach zwierząt. Amalfiemu to nie przeszkadzało aż do tej chwili, kiedy właściwie zrezygnował z władzy. Nie mógł tylko nigdy zrozumieć, co za bezsensowny kaprys kazał potomkom pierwszych osadników trzymać te przeklęte svengali jako zwierzęta domowe.

Tym razem do domu dotarł bez żadnych przygód, jeżeli nie liczyć faktu, że zaczęło padać. Amalfi tylko owinął się szczelniej płaszczem i mrużąc coś pod nosem przyspieszył, aby zdążyć przed rozpętanym się ulewą. Cała jego posesja chroniona była przez wiratorowe pole nastawione na dwie setne procenta swojej mocy. Nowi Ziemianie nazywali te domowe urządzenia „generatorami pola”. Amalfi nie cierpiał tej nazwy, ale musiał się z nią pogodzić „dla świętego spokoju”, jak kiedyś powiedziała Dee. Skwitował wtedy jej uwagę burknięciem tak niegrzecznym, że nigdy więcej tego tematu nie poruszała, ale w duchu musiał przyznać jej rację.

Dotarł w końcu do chodnika wiodącego do drzwi wejściowych i nacisnął przełącznik indukcyjny, który zwinął pole siłowe na chwilę wystarczającą za ledwie na szybkie dostanie się do domu. Razem z nim wpadła porcja błyszczących kropli deszczu. Amalfi z ponurą satysfakcją stwierdził, że jak zwykle, gdy człowiek dotrze już pod dach, siła ulewy wyraźnie słabnie i niebo zaczyna się przejaśniać. Kiedy wszedł do salonu, przyrządził sobie drinka i rozejrzał się, pocierając zmarznięte dłonie. W oczach Nowych Ziemian jego dom uchodził za strasznie staroświecki, ale Amalfi lubił go na tyle, na ile lubił cokolwiek na Nowej Ziemi.

Co się ze mną dzieje? – pomyślał nagle. – Zwierzaki są ostatecznie prywatną sprawą ich właścicieli. Skoro wszyscy oprócz mnie lubią taką pogodę, to kogo to, u diabła, obchodzi, że ja jej nie lubię? Jeśli Jake nie interesuje się moją sprawą, a i Mark także nie, kiedy już o tym mowa...

Odległy cichy i kojący szum generatora pola zmienił się niemal nieuchwytnie, ale Amalfi prawie natychmiast to zauważył. Wiedział, że pole siłowe wpuszczało kogoś do domu. Jego gość wprawdzie nigdy przedtem nie był tu o tak późnej porze ani też nigdy nie przychodził tu sam, ale Amalfi nie wątpił nawet przez chwilę, kim mogła być odwiedzająca go osoba.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nova Magellanis

– Mógłbyś mnie witać bardziej serdecznie, John – odezwała się Dee wchodząc.

Amalfi nie odpowiedział. Pochylił tylko głowę jak byk przygotowujący się do ataku, rozstawił lekko stopy i splótł dłonie za plecami.

– I co ty na to, John? – zapytała z naciskiem Dee.

– Nie chcesz, żebym odleciał – odparł odważnie Amalfi. – Albo myślisz, że jeżeli polecę, to Mark zrezygnuje z funkcji burmistrza, machnie ręką na całą Nową Ziemię i będzie chciał wędrować ze mną.

Dee przemierzyła powoli pokój i zatrzymała się z wahaniem obok wielkiej, wygodnej sofy.

– Mylisz się, John. – Mylisz się i w jednym, i w drugim. Myślałam o czymś całkiem innym. Myślałam... powiem ci trochę później o czym. Mógłbyś mi zrobić drinka?

Amalfi był zmuszony podejść do barku, co wymagało od niego pewnego wysiłku woli. Chęć sprzeciwienia się tej kobiecie walczyła w nim o lepsze z potrzebą okazania się dobrym gospodarzem.

– Mark cię tutaj przysłał? – zapytał, gdy zaprogramował barek.

Roześmiała się.

– Król Mark posyła mnie często w wielu różnych sprawach, ale jestem przekonana, że w tej jednej by mnie nie przysłał – powiedziała. Po chwili dodała z goryczą: – Poza tym jest tak zafascynowany grupą Gifforda Bonnera, że całymi miesiącami nie zwraca na mnie uwagi.

Amalfi wiedział, o czym mówiła. Doktor Bonner był nauczycielem i przywódcą nieformalnej grupy filozofów, których zwano stochastykami. Amalfi nie zadał sobie trudu szczegółowego zapoznania się z ich poglądami. Mgliście zdawał sobie tylko sprawę, że stochastyzm stanowił jedną z ostatnich prób stworzenia kompleksowej filozofii. Nauka ta, obejmująca zagadnienia tak różne jak etyka i estetyka, starała się wykorzystać do swoich celów zdobycze nowoczesnej fizyki. Jedną z pierwszych takich prób w dziejach ludzkości był pozytywizm. Amalfi był niemal pewien, że stochastyzm nie okaże się ostatnią.

– Zauważyłem, że ostatnio coś odciąga go od pełnionej funkcji – przyznał ponuro. – Może byłoby lepiej, gdyby zapoznał się z doktryną Jorna Apostoła. Wojownicy Boga sprawują władzę na kilkunastu planetach pogranicza, a ich poglądy stają się coraz popularniejsze nawet wśród mieszkańców Nowej Ziemi. Przemawiają zwłaszcza do ludzi prostych, a obawiam się, że takich jest u nas coraz więcej.

Jeśli Dee uznała to za krytykę systemu kształcenia na Nowej Ziemi, który sama pomagała kiedyś opracować i wdrożyć, to w żaden sposób tego nie okazała.

– Może i powinien – przyznała. – Ale nie potrafiłabym go przekonać i nie sądzę, żeby tobie się udało. Mark nie wierzy, by istniało jakieś zagrożenie. Myśli, że ludzie na tyle prości, aby należeć do grupy fundamentalistów, nie mogą mieć tyle rozumu, aby zorganizować się w armię.

– Naprawdę tak uważa? Może zatem powinien zwrócić się do Bonnera, by opowiedział mu historię Godfreya de Bouillon.

– A on był...?

– Przywódcą pierwszej krucjaty.

Dee wzruszyła ramionami. Być może już tylko Amalfi jako jedyny Nowy Ziemianin urodzony i wychowany na dawnej Ziemi wiedział cokolwiek o wyprawach krzyżowych. Z pewnością na Utopii

nikt o nich nie słyszał.

– I tak zresztą nie o tym przyszłam porozmawiać – powiedziała po chwili.

Schówek w ścianie otworzył się, ukazując tacę ze szklankami. Amalfi sięgnął po nie i bez słowa podał jedną Dee.

Dee ujęła naczynie, ale zamiast opaść na sofę, jak Amalfi na wpół świadomie się spodziewał, ruszyła nerwowo w stronę drzwi. Uniosła szklankę do ust, po czym zawahała się przez chwilę, jakby chciała odstawić ją i wyjść.

Amalfi uświadomił sobie, że nie chce, żeby wyszła. Chciałby, aby jeszcze raz przeszła się po pokoju. Może to ten strój, jaki miała na sobie...

To, że w ogóle istniało jeszcze coś takiego jak moda, Nowi Ziemianie zawdzięczali swojemu pochodzeniu. Podczas podróży międzygwiazdnych w ciągu wielu stuleci wystarczał jeden skromny rodzaj ubrania, identyczny dla kobiet i dla mężczyzn. Teraz zaś dawni mieszkańcy koczowniczych miast zajmowali się dowodzeniem słuszności prawa Franklina, które głosiło, że ludzie będą się rozmnażali dotąd, aż osiągną stan przeludnienia bez względu na to, jak dużą przestrzenią życiową będą dysponować. Marnowali także swój czas na ogródki, zwierzęta domowe i oczywiście modę, zmieniającą się niemal w mgnieniu oka. W tym trzy tysiące dziewięćdziesiątym roku na przykład kobiety ubierały się w niemal przezroczyście, tak powłóczyście suknie, że trzeba było bardzo uważać, by nie nadepnąć na skraj szaty.

Dee nie nosiła takich modnych nowinek, lecz białą, skromną górę, a dolną część jej stroju stanowiła czarna, dość wąska... Amalfi nie wiedział, jak to się nazywało. Jedynym przezroczystym elementem jej kreacji był kawałek czegoś cienkiego jak pajęczyna i mieniającego się wszystkimi barwami tęczy. Tkanina opasywała szyję i zniknęła pod białą górą, spływając między pięknymi i kształtnymi piersiami, które wyglądały tak dziewczęco jak w chwili, kiedy planeta Utopia wysłała Dee po pomoc na gwiazdnym ścigaczu do Nowego Jorku.

Amalfi zdobył się na odwagę.

– Dee, wyglądasz tak pięknie, jak w chwili, w której cię po raz pierwszy zobaczyłem – powiedział.

– Naprawdę tak sądzisz, John?

– Tak, ta czarna część twojego stroju...

– To wąska spódnica – odpowiedziała.

– Pamiętam, że coś podobnego miałaś na sobie tego dnia, kiedy pojawiłaś się na pokładzie miasta. Nigdy przedtem niczego takiego nie widziałem. Potem zresztą także nie.

Amalfi powstrzymał się od wyznania, że przez te wszystkie stulecia był w niej po uszy zakochany. Wiele razy wyobrażał sobie, jak ubrana w to coś czarnego wybiera jego zamiast Hazletona. Czy gdyby tak się stało naprawdę, to historia potoczyłaby się innym torem? Przecież i tak jako burmistrz zmuszony byłby ją odtrącić.

– Dość długo trwało, zanim ją spostrzegłeś – zauważyła Dee. – Uszyłam ją specjalnie na dzisiejszy wieczór. Mniej więcej od roku mam dosyć tych wszystkich powiewnych i przezroczyстых kreacji. W sprawach mody jestem wciąż wytworem Utopii. Lubię proste i skromne stroje, lubię silnych mężczyzn, a nawet niezbyt łatwe życie.

Było jasne, że starała się coś mu powiedzieć, ale Amalfi nie mógł się zorientować co. Rozmowa zaczynała przybierać dziwny obrót. Nie miał przecież zwyczaju dyskutować na temat mody z żoną swojego starego, najlepszego przyjaciela i to w dodatku w porze, w jakiej większość ludzi kładła się na spoczynek.

– Jest naprawdę piękna – bąknął.

Ku jego zdumieniu Dee wybuchnęła płaczem.

– Och, John, nie bądź taki niemożliwy! – jęknęła.

Odstawiła szklanekę i sięgnęła po płaszcz.

– No dobrze, Dee – powiedział łagodnie, odsuwając okrycie trochę na bok. – Sądzę, że twój „Król Mark” jest dostatecznie silny, a życie z nim niezbyt łatwe. Może więc byś usiadła i powiedziała mi, o co chodzi?

– John, chcę jechać z tobą. Nie będziesz burmistrzem Nowego Jorku, więc kiedy miasto znajdzie się znów w przestrzeni, nie będziesz musiał postępować według starych reguł. Chciałabym... chciałabym, żebyś...

Zajęło tygodnie, zanim skłoniła go do tego, by wyznał jej swe pragnienia. Wcześniej nie prowadzili tak burzliwych rozmów, a spotkania przebiegały bez przeszkód. Kiedy w końcu dotarło do jego łysiejącej głowy, że to, o czym marzyły jego zmysły od chwili jej przybycia do miasta, stało się pełną namiętności rzeczywistością, wziął ją w ramiona i przez kilka chwil nic nie mówił. Potem żadne z nich nie było w stanie powstrzymać potoku słów, które cisnęły się im na usta. Zaczęli rozważać, co mogłoby się stać, gdyby powiedzieli to sobie wcześniej, a nawet zastanawiać się, w jaki sposób by się to wydarzyło. Był zdumiony, kiedy mu powiedziała, że w jej życiu było wielu mężczyzn, których żony wpuściły do łóżka Amalfiego w okresie jego oficjalnego celibatu. Jako Pierwsza Dama na Nowej Ziemi z powodu intensywnego życia rodzinnego mogła zatrudniać do dwudziestu nianiek równocześnie. Wymyślała też różne nowe mody i zwyczaje, dzięki którym Nowa Ziemia stała się tym, czym była teraz. Amalfiemu nie przyszłoby nawet do głowy, że przy tylu zajęciach może być rozpaczliwie znudzona.

Dee wyjawiała mu w najdrobniejszych szczegółach powody swojego niezadowolenia z życia. Powiedziała nawet więcej, niż Amalfi chciał usłyszeć. Pokłócili się o to jak para zakochanych, ale najgorszą sprzeczkę wywołała jej prośba, o której nawet nie mógłby marzyć, że ją kiedykolwiek usłyszy.

– John – powiedziała – czy naprawdę nie masz ochoty zaprosić mnie do łóżka?

Rozłożył bezradnie ręce.

– Wcale nie jestem pewien, czy chcę iść do łóżka z żoną Marka. Poza tym – dodał, wiedząc, że jego słowa zabrzmiały okrutnie – wydaje mi się, że miałaś dosyć uciech w życiu. Interesowałaś się każdą kobietą, z jaką się spotykałem w ciągu ostatnich pięciu wieków. Wydaje mi się, że znudziłbym cię tak samo, jak nudzi cię wszystko inne.

Ich pogodzenie się nie przypominało tego, jakie bywa udziałem młodych zakochanych. Podobne było raczej do powrotu zbuntowanej córki w ojcowskie ramiona. Amalfi starał się zachowywać z rezerwą. Teraz, kiedy w zasięgu ręki miał to, o czym marzył od wielu lat, dokonał ważnego odkrycia. Stwierdził, że z dwojga rzeczy: oczekiwania czegoś niemożliwego i spełnienia tych pragnień, ważniejsze jest oczekiwanie. Zwłaszcza wtedy, kiedy obiekt pożądania istnieje jakby w innym wszechświecie, z którego drwi sobie bezlitośnie ponura rzeczywistość.

– Nie wierzysz mi, John – rzekła Dee z goryczą. – Ale mówię prawdę. Jeżeli odleczysz, chcę być razem z tobą. I to przez cały czas, słyszysz? Poza tym chciałabym... chciałabym mieć z tobą dziecko.

Popatrzyła na niego oczami pełnymi łez. Nigdy przedtem Amalfi nie widział jej płaczącej ani też w najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, że ujrzy jej łzy – ale oto Dee płakała w sposób tak naturalny, jak niebo Nowej Ziemi zrasza planetę deszczem. Płakała... i czekała na to, co jej powie. Amalfi rozumiał, że to była ta kluczowa sprawa. To była najważniejsza rzecz, jaką Dee Hazleton chciała mu ofiarować.

– Dee, nie wiesz, co mówisz! – wybuchnął. – Nie możesz przecież ofiarować mi siebie!

Należysz do Marka i wiesz o tym najlepiej. Poza tym, ja wcale nie pragnę...

Urwał. Jej płacz przeszedł w szloch. Amalfi nie chciał powiedzieć niczego, co by ją uraziło, ale podejrzewał, że nieświadomie zranił ją już wiele razy.

– Dee, ja już miałem dziecko – dokończył.

Teraz ona spojrzała oczami rozszerzonymi ze zdumienia, a Amalfi dostrzegł, że uraza malująca się na jej twarzy zamienia się we współczucie. Postanowił więc odkryć przed nią całą prawdę.

– Czy pamiętasz, że zaraz po wylądowaniu została zachwiana równowaga płci? Rodziło się wtedy więcej dziewczynek, prawda? Pamiętasz też, że wówczas postanowiono uciec się do sztucznych zapłodnień? No więc poproszono mnie, abym też wziął udział w tym programie. Znane ci argumenty przeciwko mojemu udziałowi miały być zrównoważone przez fakt, że miałem się nigdy nie dowiedzieć, które dziecko ma moje geny. Mieli wiedzieć o tym tylko lekarze nadzorujący to przedsięwzięcie. Okazało się jednak, że bardzo wiele kobiet roniło albo noworodki przychodziły na świat martwe. Wiele dzieci spośród tych, które się rodziły, chociaż nie powinny, było zdeformowanych w jeden i ten sam sposób. Powiedziano mi o tym, a ja jako burmistrz miałem zdecydować, co z nimi zrobić.

– Nie, John – szepnęła Dee. – Przestań.

– Zaludnialiśmy wówczas cały Obłok – ciągnął Amalfi, jak gdyby nie usłyszał tego, co powiedziała. Urodzenie mu normalnego, zdrowego i różowiotkiego dziecka było tą jedną rzeczą, jakiej Dee nie była w stanie zrobić, a on nie miał innego sposobu przekonania jej o tym, że tak jest naprawdę. – Nie mogłem pozwolić na to, aby rodziły się dzieci z wadami genetycznymi. Nakazałem więc, żeby dziećmi... się zajęto, odbyłem też krótką konferencję z zespołem konsultantów. Z początku mieli zamiar nic mi o tym nie mówić... chcieli widać oszczędzić mi upokorzenia i bólu. W końcu jednak powiedzieli całą prawdę. Widzisz, przebywałem w przestrzeni tak długo, że moje plemniki są uszkodzone w sposób nieodwracalny. Nie mogę już nigdy zostać ojcem. Czy rozumiesz to, Dee?

Dee chciała przyciągnąć do siebie jego głowę. Amalfi szarpnął się jednak i uwolnił. Drażniła go sama myśl o tym, że Dee wciąż jeszcze sądziła, iż może mu coś ofiarować.

– Kiedyś całe miasto było twoje – powiedziała cichym, bezbarwnym głosem. – A teraz ludzie je opuścili, a więc opuścili i ciebie. Widziałam, jak z tego powodu cierpisz i było mi bardzo przykro. Nawet nie mogłabym udawać, że jest mi to obojętne. Widzisz, John, ja cię kocham... myślę, że zawsze cię kochałam. Powinna była wiedzieć, że nasz czas odszedł bezpowrotnie w przeszłość. Nie mogę ci dać nic takiego, czego ty sam już byś nie miał i to w nadmiarze.

Schyliła głowę, a Amalfi zaczął bezwiednie gładzić ją po włosach. Żałował, że w ogóle zaczął tę rozmowę, która musiała się tak zakończyć.

– I co teraz? – zapytał. – Teraz, kiedy nasze życie okazało się nic nie warte? Czy będziesz mogła powrócić do domu i nadal żyć z Markiem, jak gdyby nic się nie stało?

– Z Markiem? On nawet nie ma pojęcia, że wyszłam dzisiaj z domu. Przestałam się liczyć jako jego żona – powiedziała Dee matowym głosem. – Życie to chyba proces ciągłego rodzenia się na nowo. Sądzę, że tajemnica polega na zdobyciu wiedzy, jak wyjść z tego zaklętego kręgu tak, żeby za każdym razem nie cierpieć. Dobranoc, John.

Nie obejrzała się za siebie, jak gdyby posiadała tę tajemnicę, Amalfi zaś nie uczynił niczego, aby ją zatrzymać. Musiała sama znaleźć drogę do domu: dosłownie i w przenośni. Amalfi w żaden sposób nie mógł jej w tym pomóc.

Sądził, że powiedziała prawdę – ale prawdę, widzianą oczami kobiety. On zaś jako mężczyzna wiedział, że życie jest procesem wielokrotnego umierania. Pomyślał, że prawdziwa tajemnica polega na tym, aby robić to po kawałku, stopniowo, nie od razu.

Po raz pierwszy od kilku tygodni znów przemierzał ulice Nowego Manhattanu. Nigdy przedtem cel, jaki kiedyś zaszczepił mieszkańcom kosmicznego miasta, nie był mu tak obojętny. Teraz, kiedy ich marzenia się ziściły, rozpaczliwie rozglądał się za kolejnym celem, diametralnie odmiennym od poprzedniego.

Pozostawił za sobą koty, psy, ptaki i svengali, i skierował się ku opustoszałemu kadłubowi miasta. Docierał właśnie do tej części, w której byli zainstalowani Ojcowie, kiedy prawie nabrawał pewności, że ktoś podąża w ślad za nim. Przez krótką chwilę obawiał się, że może to znów Dee pragnąca odwieść go od jego pomysłu. Ale prawda okazała się inna.

– No, dobrze, dosyć tej zabawy w chowanego! – powiedział głośno. – Przestań się kryć i powiedz, kim jesteś!

– To ja, panie burmistrzu – odezwał się przerażony głos. – Pewnie nie będzie mnie pan pamiętał.

– Nie będę pamiętał? Oczywiście, że cię pamiętam. Ty jesteś Webster Hazleton, ale kim jest twoja przyjaciółka? A tak w ogóle, co robicie w tej starej części miasta? Wiecie dobrze, że dzieciakom nie wolno tu przebywać.

Chłopiec podniósł się i wyprostował.

– To Estelle, sir – powiedział. – Jest córką pana Jake’a Freemana. – Miał pewne kłopoty z dalszym mówieniem, ale przemógł się i ciągnął: – Rozmawialiśmy z nim niedawno... to znaczy pan Freeman zasugerował nam... o ile, oczywiście, miasto naprawdę będzie latać. Panie burmistrzu...

– Może będzie. Sam zresztą jeszcze tego nie wiem. A jeżeli będzie, to co?

– Jeśli będzie, to chcemy nim polecieć – dokończył natychmiast chłopiec.

Amalfi nie planował kolejnej rozmowy z Jake’em, zmierzającej do tego, by go przekonać. Wydawało mu się to równie beznadziejne jak przekonywanie Hazletona. Ale ponieważ dzieci chciały wziąć udział w wyprawie, oczywiście się stało, że wcześniej czy później będzie zmuszony z nimi porozmawiać. Rzecz jasna, nie do pomyślenia było, aby dzieci mogły wyprawić się w taką podróż same. Amalfi nie uznał za rozsądne odmawiać od razu, nie zasięgając najpierw opinii rodziców. Przedtem często zdarzało się przecież, że na pokładach wędrownych miast przebywały dzieci. Co prawda dawno temu, kiedy miasta miały pełne wyposażenie i można było się troszczyć o nowe pokolenie, przynajmniej przez większość czasu, jaki ono spędziło na pokładzie. Amalfi zaczynał uważać, że wszystko, czego się dotknie, idzie mu jak po grudzie.

Okazało się jednak, że rozwiązanie problemu nie było takie pilne. Kiedy znalazł się w pomieszczeniu komputerów, czekał tam już na niego Jake. Był tak pochłonięty pracą, że na widok podążających za Amalfim swojej córki i Webstera tylko uniósł brwi.

– Zjawiacie się w samą porę – powiedział, jak gdyby ich spotkanie zostało wcześniej umówione. – Przypominasz sobie tę nową gwiazdę, o której ci ostatnio mówiłem? No więc to wcale nie żadna gwiazda. To w ogóle nie jest problem dla astronoma. Właściwie to teraz twoja sprawa.

– Co masz na myśli? – zapytał Amalfi. – Jeśli nie nowa gwiazda, to co to jest?

– Sam sobie zadaję to pytanie – stwierdził Jake. Jedną z bardziej irytujących cech jego charakteru była nieumiejętność dochodzenia do sedna sprawy inaczej niż z góry zaplanowaną drogą. – Zebrałem już dosyć dużą kolekcję spektrogramów. Gdybyś na nie spojrział, nie wiedząc czego dotyczą, pomyślałbyś, że prezentują nie jakiś pojedynczy obiekt, ale cały gwiazdny katalog. I to katalog opisujący gwiazdy z całego diagramu Russella. Na dodatek wszystkie wykazują przesunięcia linii absorbcyjnej w stronę fioletu. Jest to zwłaszcza wyraźnie widoczne w przypadku linii

odpowiadających atmosferze Nowej Ziemi, co aż do niedawna nie miało żadnego sensu.

– Dla mnie to i w tej chwili nie ma żadnego sensu – stwierdził Amalfi.

– No, dobrze – rzekł astronom. – Spójrz zatem na ich wielkość. Kiedy linie spektralne okazały się za ciemne jak na obiekt o tak dużych rozmiarach... pamiętaj, że z każdą chwilą stają się jaśniejsze... skontaktowałem się z doktorem Schlossem. Powiedziałem, żeby on i jego ludzie dali sobie na chwilę spokój z antymaterią i przeanalizowali widmo napływającego światła. Okazało się, że zawiera ono około siedemdziesięciu pięciu procent fałszywych fotonów. To coś, co się do nas zbliża, zostawia za sobą niesamowicie wielką smugę. Gdybyśmy tak mogli to zobaczyć...

– Wiratory! – krzyknął Amalfi. – Nastawione na prawie największe hamowanie! Ale jak obiekt o takich rozmiarach mógłby... nie, nie, zaczekaj chwilę, czy wiesz dokładnie, jakie on ma rozmiary?

Astronom zachichotał, co zawsze kojarzyło się Amalfiemu ze skrzekiem obłąkanej papugi.

– Myślę, że mamy już i jego rozmiary, i wszystkie inne dane o nim, przynajmniej z astronomicznego punktu widzenia. Reszta, jak już powiedziałem, to twój problem. Ten obiekt jest ni mniej, ni więcej tylko planetą mierzącą blisko siedemset pięćdziesiąt mil średnicy. Znajduje się znacznie bliżej, niż na początku sądziliśmy. W tej chwili jest w granicach Większego Obłoku Magellana i kieruje się w tę stronę, dokładnie ku Nowej Ziemi. Przesunięcie linii widmowych znaczy tylko tyle, że ten obiekt świeci światłem odbitym pochodzącym z różnych słońc, jakie mija po drodze. Przemieszczenie linii Fraunhofera w stronę fioletu oznacza niewątpliwie, że planeta jest otoczona atmosferą bardzo przypominającą naszą. Nie umiałbym powiedzieć od razu, z czym może ci się to kojarzyć, ale wiem, co powinno ci to przypominać... A Ojcowie Miasta zgadzają się ze mną w tej sprawie.

Web Hazleton nie był w stanie ukrywać swojego podniecenia.

– Wiem, wiem! – zawołał. – To planeta He! Jest w drodze powrotnej do domu! Czy mam rację, panie burmistrzu?

Chłopiec znał historię swojego miasta bardzo dobrze. Nikt z tych, którzy znali dawne czasy, nie mógłby się zapoznać z zestawem danych przedstawionych przez astronoma i nie dojść do takiego samego, chociaż nieprawdopodobnego wniosku. Mieszkańcy kosmicznego miasta przeprowadzili kiedyś na He jeden z ciekawszych eksperymentów w historii cywilizacji. Polegał na wyposażeniu planety w zestaw ogromnych wiratorów. Z bardzo różnych względów chodziło o to, aby mogła wyrwać się ze swojej orbity wokół macierzystego słońca i udać się na wędrowkę w międzygalaktyczną przestrzeń. Przez długi czas w tej podróży towarzyszyło jej wędrowne miasto Nowy Jork tylko po to, aby móc powrócić do galaktyki w innym miejscu, w którym nie czekali na nie policjanci. Tej sztuki udało się dokonać, chociaż z ogromnym trudem. Do rozstania miasta i planety doszło w trzy tysiące osiemset pięćdziesiątym roku, kiedy to obydwa obiekty zniknęły sobie nawzajem z pola widzenia tak nagle, jak znikła płomień zdmuchniętej świecy. Planeta He kierowała się wówczas ku centrum galaktyki Andromedy.

– Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków – rzekł Amalfi. – Wyruszenie He w przestrzeń miało miejsce ponad dwieście lat temu. W tamtych czasach Hewianie nie mieli ani technologii, ani umiejętności, aby opanować zasady posługiwania się wiratorami. Właściwie nie różnili się zbyt od barbarzyńców. Sprytnych barbarzyńców, ale zawsze. Czy ta dziwna planeta, która zbliża się do Nowej Ziemi, zachowuje się jak obiekt sterowany, czy jeszcze tego nie wiecie?

– Wygląda mi na to, że ktoś nią steruje – odparł Jake. – To była pierwsza rzecz, na jaką zwróciłem uwagę, kiedy się zorientowałem, że jest w niej coś niezwykłego. Zmieniała pozycję i tor lotu w pozornie przypadkowy sposób. Te zmiany wydawały mi się zupełnie irracjonalne, dopóki sobie nie uświadomiłem, że może być wręcz przeciwnie. Kimkolwiek są sterujący nią ludzie, to

wiedzą o lotach w przestrzeni na tyle dużo, że skręcają w tę albo w tamtą stronę dokładnie w tym miejscu, w którym pragną. I cały czas kierują się prosto ku nam.

– Czy próbowałaś już w jakiś sposób skontaktować się z nimi i sprawdzić, kim są? – zapytał Amalfi.

– Jeszcze nie. Prawdę mówiąc, nie powiedziałem o tym nikomu oprócz doktora Schlossa i ciebie. Nie mówiłem nic nawet Markowi. Myślałem, że możesz chcieć zająć się tym osobiście.

– To była niepotrzebna strata czasu, Jake. Doktor Schloss nie jest przecież idiotą. Potrafi odczytywać dane i wyciągać z nich oczywiste wnioski wcale nie gorzej od ciebie. Do tej pory musiał powiedzieć o tym Markowi i postąpił słusznie. Mark zapewne stara się teraz nawiązać kontakt z tym twoim obiektem. Lepiej więc chodźmy do sali łączności i sami się przekonajmy.

Gdy tak szli opustoszałymi ulicami dawnego wędrownego miasta, tworzyli dziwną procesję: na czele Postawny, łysiejący burmistrz, ssący w ustach dawno zgasłe cygaro, a za nim szczupły, zбитy z tropu astronom i wyprzedzająca ich raz po raz para podnieconych i rozdokazywanych dzieci, które od czasu do czasu zatrzymywały się i czekały, aż Amalfi lub Jake pokażą im dalszą drogę. Ich entuzjazm i podniecenie poruszyły Amalfiego, kiedy zdał sobie sprawę, że dziecięca nadzieja na wyprawę miastem w przestrzeń była, podobnie jak kiedyś jego marzenia, oparta na tak kruchych podstawach. Zbliżanie się sterowanej planety mogło zadać śmiertelny cios tym oczekiwaniom. Ważne i nie cierpiące zwłoki sprawy, jakie musiały być załatwione tego chłodnego i pochmurnego poranka, nie sprzyjały snom o podróżach.

Tknięty nagłym impulsem Amalfi przystanął na jednej ze znanych sobie stacji powietrznych taksówek. Nacisnął guzik wzywający i czekał, pragnąc się upewnić, czy Ojcowie wciąż jeszcze traktowali tę usługę jako ważną dla dawno wymarłego miasta. Po kilku chwilach, ku oczywistemu zachwytowi dzieci, taksówka się pojawiła. Jej widok uświadomił Amalfiemu, że jego próba nie była najlepiej przemyślana. Nawet po upływie miliona lat, gdy stos będzie dysponował ostatnimi ergami swej energii, Ojcowie Miasta bez wątpienia wyślą jakąś taksówkę, kiedy zażąda tego burmistrz. Jeżeli więc chciał się dowiedzieć, czy pojazdy kursują, powinien po prostu ich zapytać, czy garaż z taksówkami jest wciąż jeszcze zasilany.

Web i Estelle byli zachwyceni, mogąc szybować pogrążonymi w ciszy wąwozami ulic. Znaleźli się w kryształowo-metalowej bańce, mogli do woli zadawać pytania taksówkowemu elektronicznemu kierowcy i wysłuchiwać jego ograniczonych i nieskończenie cierpliwych odpowiedzi. Nie potrafili ukryć swojego podniecenia, kiedy pojazd niemal ocierał się na zakrętach o metalowe konstrukcje miasta.

W tym podnieceniu nie zauważyli nawet wyrytego napisu CZY PRZYSTRZYC PANI TRAWNIK? Napis stanowił pradaune motto miasta i mógł dzieciom wiele powiedzieć o przyczynach, dla których wędrowcy przebywali w przestworzach. Instrukcja wprawdzie była trudno zrozumiała i gdyby nawet dzieci wiedziały, w jakim miejscu jej szukać, to znaczenie już dawno zatarło się w ludzkiej pamięci. Amalfi jednak je pamiętał. Wiedział też, że gdyby kiedykolwiek miasto miało znowu polecieć – w co zaczynał coraz bardziej wątpić – to na pewno nie po to, aby świadczyć usługi w dziedzinie strzyżenia trawy. Po prostu już jej nie było – wszystko odeszło w zapomnianą przeszłość.

Pokój łączności w ratuszu miejskim znacznie ostudził entuzjazm obydwojga dzieci. Nie było w tym nic dziwnego, jako że nigdy przedtem nie pozwalano przebywać w nim osobom, które nie ukończyły co najmniej stu lat. Kiedyś setki ekranów ustawionych pod ścianami pokazywały sceny, jakich zapewne w możliwej do przewidzenia przyszłości Nowa Ziemia już nie zobaczy. W półmroku panującym w tej wypełnionej zatechłym powietrzem sali znalazł się teraz ktoś, kto na tych samych

ekranach oglądał wzlot i upadek rasy, która zdominowała całą galaktykę. Stojące obok niego dzieci należały genetycznie do tej samej populacji, ale nie mogły odziedziczyć jej zdobyczy – historia pozostawiła je na uboczu.

– Tylko niczego tu nie dotykajcie – ostrzegł Amalfi – – Wszystkie urządzenia w tej sali nadal są pod napięciem. Nigdy jakoś nie mieliśmy czasu, aby je zupełnie wyłączyć. Nie wiem nawet, czy znalazłby się ktoś, kto umiałby to zrobić. Właśnie dlatego nie wolno tu przebywać dzieciom. Lepiej więc stójcie przez cały czas za mną i patrzcie. Przede wszystkim trzymajcie ręce z dala od klawiatur.

– Niczego nie dotkniemy – przyrzekł Web.

– Jestem pewien, że niczego nie dotkniecie naumyślnie. Ale nie życzę sobie żadnych wypadków. Może więc naucz się od podstaw, jak się tym posługiwać... i Estelle także. Na początek połączymy się z twoim dziadkiem. Naciśnij ten biały przycisk, o tak, a teraz zaczekaj, aż rozbłyśnie. To powiadomi Ojców, że jest ktoś, kto musi rozmawiać z kimś spoza miasta. Taka informacja jest dla nich bardzo ważna, bo inaczej zrobiliby ci burę. Zwróć teraz uwagę na te pięć małych czerwonych guzików umieszczonych powyżej tamtej linii. Musisz wcisnąć drugi z lewej. Czwarty i piąty oznaczają połączenia przez ultrafon i łącze diraka, a te nie są potrzebne do miejscowych rozmów. Pierwszy i trzeci służą do połączeń wewnątrz miasta, więc w tej chwili nie są podświetlone. No, dalej, możesz teraz nacisnąć ten drugi.

Web nieśmiało przykrył dłonią drugi przycisk. Umieszczony nad nimi głośnik ożył.

– Połączenie – odezwał się jakiś głos.

– Teraz moja kolej – powiedział Amalfi, sięgając po mikrofon. – Mówi burmistrz. Chcę rozmawiać z menażerem miasta. Rozmowa błyskawiczna.

Odstawił mikrofon na miejsce i zwrócił się do Webstera.

– W tej chwili sekcja łączności stara się odszukać twojego dziadka na wszystkich możliwych kanałach. Potem, kiedy już go znajdzie, wyśle mu informację o połączeniu. Taki sam system poszukiwania osób mają wszystkie szpitale na Nowej Ziemi.

– Czy możemy posłuchać, jak te komputery będą go szukały? – zapytała Estelle.

– Oczywiście, jeżeli tego chcesz – odrzekł Amalfi. – Weź mikrofon i naciśnij ten drugi guzik w taki sam sposób, jak zrobił to przed chwilą Webster.

– Połączenie – odezwał się znów głos w głośniku.

– Powiedz teraz: „Połączenie na fonii” – szepnął Amalfi.

Natychmiast po tych słowach sala rozbrzmiała wieloma czystymi dźwiękami i akordami wydobywającymi się jakby z setek gardeł ćwierkających ptaków. Estelle z wrażenia niemal wypuściła mikrofon. Amalfi wyjął go delikatnie z jej palców.

– Urządzenia nie wzywają ludzi po nazwisku – wyjaśnił. – Tylko bardzo skomplikowane maszyny w rodzaju Ojców Miasta mogą porozumiewać się ludzkim głosem. Zwyczajne komputery telekomunikacyjne, a takie znajdują się w tej sali, stosują do połączeń różne dźwięki. Jeśli przysłuchasz się im przez chwilę, to stwierdzisz, że tworzą coś w rodzaju muzyki. To, co teraz słyszycie, to muzyczny kod dziadka Webstera. Różne tonacje tego kodu odpowiadają różnym miejscom, w jakich jest poszukiwany przez komputery.

– Podoba mi się to – stwierdziła Estelle.

W tej samej chwili ćwierkanie niewidzialnych ptaków ustało, coś szcęknęło metalicznie i z głośnika dobiegł ich głos Marka Hazletona.

– Szukałeś mnie, szefie?

Amalfi z ponurym uśmiechem uniósł mikrofon do ust, natychmiast zapominając o obecności dzieci.

– Możesz się założyć, że tak. Czy wiesz coś o tej zwariowanej planecie, która kieruje się prosto ku nam?

– Tak, ale nie sądziłem, że i ciebie ona interesuje. Właściwie aż do wczoraj nie wiedziałem, że to planeta, a nie gwiazda. Wtedy właśnie powiedzieli mi o tym Schloss i Carrel. Domyślam się, że dzwonisz do mnie z miasta. Co sądzą na ten temat Ojcowie?

– Nie wiem, jeszcze ich nie pytałem – rzekł Amalfi – – Ale jest tutaj Jake, który doszedł do oczywistych wniosków. Najpewniej ty doszedłeś do takich samych. Chciałbym się teraz dowiedzieć, czy ty albo Carrel próbowaliście skontaktować się z tym obiektem.

– Tak, ale nie mogę powiedzieć, żeby się nam powiodło. Wzywaliśmy ich cztery czy pięć razy dirakiem, ale nawet jeśli nas usłyszeli, to ich odpowiedź zniknęła pośród setek tysięcy sygnałów diraka, dochodzących do nas z macierzystej galaktyki. Jeżeli mam być szczerzy, to wszystko wydaje mi się trochę dziwne. Nie ulega wątpliwości, że się zbliżają; ale nie mogę zrozumieć, na jaki rodzaj naszego sygnału się kierują.

– Czy naprawdę uważasz, że to He wraca? – zapytał Amalfi z wahaniem.

– Tak, myślę, że to He – odparł Hazleton z takim samym wahaniem. – Nie sądzę, aby można było wyciągnąć jakiś inny wniosek z tych danych, jakie do nas docierają.

– To rusz głową – rzekł Amalfi. – Jeśli to naprawdę jest He, to nigdy nie przekazesz im informacji za pomocą diraka. Kiedy jeszcze tam byliśmy, nie pozwoliliśmy Hewianom usłyszeć transmisji diraka ani nawet zbliżyć się do nadajnika. Nie mogli więc podejrzewać, że takie uniwersalne urządzenie w ogóle może istnieć. Jeżeli zaś to nie ta planeta, to rozumując logicznie, może to być tylko obiekt kosmiczny wysłany w celach badawczych z jakiejś innej, odległej galaktyki. Zapewne tamta cywilizacja różni się bardzo od naszej, a więc to zrozumiałe, że nie mają diraka. Nawet gdyby mieli, to słyszeliby każdy z milionów tego rodzaju sygnałów dobiegających z naszej galaktyki od chwili, w której wynaleźliśmy to urządzenie. Spróbuj nadać coś do nich za pomocą ultrafonu.

– He nie miała ultrafonu, kiedy widzieliśmy ją po raz ostatni – odparł Hazleton z rozbawieniem. – I jeśli my nie umiemy przedostać się z sygnałem ultrafonu przez pole, jakie wytwarzają wiratory, to wątpię, żeby oni to potrafili. Jeżeli już mamy stosować tak prymitywne techniki łączności, to może powinniśmy użyć flag kodu sygnałowego?

– Spodziewam się, że jakiś ultrafoniczny sygnał z tej planety jest już w drodze do nas – rzekł Amalfi. – Wysłanie go to sprawa zwykłego zdrowego rozsądku. Nie kieruje się przecież planety do obszaru tak gęsto zaludnionego jak Większy Obłok Magellana bez wysłania sygnału identyfikacyjnego. Takim przekazem w żadnym wypadku nie może być impuls diraka, bo ten jest odbierany przez wszystkich naraz i to w tej samej chwili, w której zostaje wyemitowany.

I nieważne, czy to jest planeta He, czy jakiś gość z nieznanej galaktyki. Każdy wysłałby jakiś sygnał rozpoznawczy, a jeśli tak, to za pomocą ultrafonu. Tego problemu nie da się rozwiązać w inny sposób. Jeśli wysłanie takiego sygnału wymagałoby przebicia się przez pole wiratorów, to z pewnością sygnał się przebije. Teraz więc pozostaje ci tylko czekać, aż do nas dotrze. Kiedy już go odbierzesz, swoją odpowiedź możesz przesłać dokładnie tym samym torem. – Wziął głęboki oddech i zakończył: – Więc, Mark, przynajmniej nie marnuj mojego cennego czasu i nie mów, że coś jest niemożliwe, dopóki tego nie spróbujesz zrobić.

– Mówię ci... – mruknął Webster Hazleton pod nosem, po czym spurpurowiał na twarzy ze zmieszania.

Stojący za nim Jake Freeman zachichotał, co ponownie zabrzmiało jak skrzeczenie papugi.

W czasie ostatnich kilkudziesięciu lat takie akty buntu burmistrza wobec menażera miasta

stawały się coraz częstsze, ale przestawały być czymś istotnym. Amalfi podejrzewał, że mogło to się wiązać z rosnącym zainteresowaniem Hazletona dla nauk stochastyków. O fakcie tym Amalfi do niedawna nic nie wiedział i dopiero rozmowa z Dee uświadomiła mu, co się dzieje. Być może także – chociaż taka możliwość była o wiele mniej przyjemna – Hazleton zdawał sobie sprawę tak samo dobrze jak Amalfi z coraz większej bezradności burmistrza na Nowej Ziemi.

– Niemniej jednak pozwolę sobie na jeszcze jeden sprzeciw – odezwał się Hazleton ponuro. – Nawet jeśli wysłali jakiś sygnał ultrafoniczny, śladem którego my moglibyśmy przesłać własny, to i tak znajdują się teraz niemal pięćdziesiąt lat świetlnych od nas. Zanim więc dostaną tę wiadomość i wyślą tą samą drogą odpowiedź, upłynie siedemdziesiąt pięć lat przyszłego tysiąclecia.

– To prawda – rzekł Amalfi. – To znaczy, że trzeba do nich polecieć. Zakładam, że nawiązanie kontaktu zajmie nam dziesięć lat albo dłużej, bo nie mamy zielonego pojęcia, komu i czemu będziemy musieli stawić czoło. Może warto zgromadzić zapasy broni. W każdym razie powiedz Carrelowi, żeby przygotował się do wysłania mnie w przestrzeń nie później niż na początku przyszłego tygodnia. Do tego czasu pozostawaj na nasłuchu. Być może uda ci się odebrać jakąś wiadomość od nieznanego przybysza. Sprawą odpowiedzi zajmę się osobiście, już na pokładzie statku.

– Robi się – odparł Hazleton i przerwał połączenie.

– Czy my też moglibyśmy polecieć? – zapytał niemal w tej samej chwili Webster.

– Co ty na to, Jake? Te dzieciaki miały zamiar zabrać się ze mną, kiedy planowałem uruchomić miasto.

– Nie mam pojęcia, skąd u Estelle wziął się pociąg do latania, ale na pewno nie ode mnie – odparł astronom. – Domyślałem się, że wcześniej czy później mnie o to poprosi. Widać musi przez to przejść, zanim stanie się pełnoletnia. Nie sądzę, żeby w dwóch galaktykach znalazł się ktoś, z kim byłaby bardziej bezpieczna niż z tobą. Myślę, że moja żona też się zgodzi... chociaż będzie to dla niej równie trudne jak dla mnie.

Web wydał dziki okrzyk radości, a Estelle tylko oświadczyła z właściwym sobie praktycyzmem:

– Wobec tego idę do domu po swojego svengali.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kolebka czasu

Podczas zbliżania się do He, już z odległości pięciuset tysięcy mil Amalfi zauważył, że planeta przeszła radykalną przemianę od tego pamiętnego roku trzy tysiące osiemset pięćdziesiątego, kiedy widział ją po raz ostatni. Mieszkańcy wędrownego miasta dostrzegli ją sześć lat wcześniej i stwierdzili, że istniało na niej życie. He była jedynym dzieckiem zabłąkanej gwiazdy, przemierzającej wówczas samotnie bezgwiazdne pustkowia. Obszary te nie należały do zwyczajnych, pozbawionych gwiazd przestworzy, jakich wiele istnieje między spiralnymi ramionami galaktyki. Było to najprawdziwsze pustkowie, ochrzczone mianem Rozpadliny. Tajemnica ruchów, dzięki którym doszło do wytworzenia się takiego stanu, kryła się w nieprzeniknionych mrokach początku samego wszechświata.

Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że planeta miała bardziej niż zwykle zawikłaną przeszłość. He była wówczas szmaragdowozielonym światem porośniętym od bieguna do bieguna wybujałą dżunglą, która zalewała swoją bujnością każdy przejaw wyższej cywilizacji. Rzeczywistość, jaka objawiła się po wylądowaniu oczom wędrowców, okazała się jeszcze bardziej skomplikowana. Być może w całej galaktyce nie znalazłaby się druga taka planeta, której historia składałaby się z tylu nieszczęsnych i nieprawdopodobnych zdarzeń. Hewianie walczyli zawzięcie z przeciwnościami losu, ale w okresie, kiedy przybyli do nich koczownicy, uważali, że tylko cud może uchronić He od zupełnej zagłady.

Takim cudem stało się dla nich pojawienie się wędrownego miasta. Pozwoliło im to zapanować nad panoszącymi się bandytami oraz zniszczyć wciskającą się w każdą wolną przestrzeń dżunglę. To drugie zrealizowano zresztą w jedyny możliwy sposób, zmieniając radykalnie i trwale klimat całej planety.

Być może niezbyt fortunny był fakt, że wymagało to dokonania rewolucyjnych zmian w geologii He – wyrwania planety z dotychczasowej orbity i wysłania w niekontrolowany lot poza galaktykę, ale Amalfi tak wówczas nie uważał. Zdołał wyrobić sobie dobre zdanie o sprycie i technologicznych umiejętnościach Hewian, pomimo że ze swoimi malowanymi twarzami i piórami we włosach przypominali mu bardziej ludożerców. Amalfi był jednak przekonany, że na wiele lat przed nadejściem krytycznego okresu zdołają opanować techniki i technologie konieczne do zachowania życia na planecie. Przecież, mimo wszystko, mieli kiedyś bardzo rozwiniętą cywilizację. Chociaż przez cały czas walczyli z bandytami i z dżunglą, to w czasach, w których dostrzegło ich wędrowne miasto, wciąż jeszcze dysponowali takimi wynalazkami jak radio, rakiety, pociski sterowane i ultradźwięki. Zaś w ciągu tych sześciu lat, kiedy przebywali u nich wędrowcy, Hewianie opanowali takie techniki z ery wczesnego i późniejszego średniowiecza jak rozszczepianie atomu i chemioterapia.

Poza tym dostali przecież wiratory. Niektóre przetransportowano z miasta, a inne zbudowano specjalnie dla nich. Wszystkie, rzecz jasna, pozostawiono na He w idealnym stanie. Przyglądając się i badając ich działanie, inteligentni mieszkańcy planety mogli rozwinąć wiele nieznanych dotychczas umiejętności. Po rozprawieniu się z wszechobecną dżunglą musieli zrobić z nich użytek. W czasach zaś, w których to robili, pozostawione urządzenia utrzymywały odpowiednie ciśnienie i skład atmosfery oraz właściwą temperaturę na planecie podczas jej podróży nawet przez najbardziej niegościnne zakątki galaktyki. Wpływ dokonanych zmian był tak duży, że dżungla praktycznie sama przestała istnieć.

Pomimo tego Amalfi nie mógł się spodziewać, że planeta po prawie dwustu latach powróci i to

lotem kontrolowanym przez wiratory. Przypominała mu teraz laciatą, błękitno-zieloną piłkę. Tereny uprawne skryte były częściowo pod chmurami lśniącymi bielą światła odbitego od pobliskich pulsujących Cefeidów.

To, że zbliżający się obiekt jest naprawdę planetą He, ustalono jeszcze na Nowej Ziemi. Stało się tak, jak Amalfi przewidywał, kiedy Hazleton odebrał i zidentyfikował przesłany powitalny sygnał ultrafoniczny Hewian.

Zaledwie w pięć minut po tym, jak Carrel w niewielkiej odległości od planety wyłączył pokładowe wiratory, Amalfi nawiązał łączność z Miramonem. Był to ten sam przywódca Hewian, z którym kontaktowali się wędrowcy sto pięćdziesiąt lat wcześniej. Zarówno Amalfi jak Miramon ucieszyli się wzajemnie ze swego widoku i byli zdumieni, że żyją tak długo.

– Właściwie nie powinienem się dziwić – odezwał się Miramon, siedząc u szczytu wielkiego, czarnego i wypolerowanego stołu obrad swojej rady. – Mimo wszystko przecież i ja żyję. Żyję dłużej niż wszyscy wielcy patriarchowie w historii naszej planety. Mój wiek jest zresztą tylko drobną częścią lat, jakie pan przeżył do chwili, w której spotkaliśmy się po raz pierwszy. Ale stare nawyki myślowe czasami trudno wykorzenić. Zanim dzungla wymarła całkowicie, dzięki wskazówkom, jakich nam pan wtedy udzielił, udało się nam wyodrębnić i oczyścić zaledwie kilka antyagatyków, wytwarzanych przez rosnące tam rośliny. Później zaś okazało się, że rośliny te nie chciały wegetować w zmienionych warunkach klimatycznych. Nie mieliśmy wyboru i musieliśmy nauczyć się sztucznie syntetyzować substancje przeciwmierne. Warunki zmusiły nas do dużego pośpiechu, ale na szczęście już w trzecim pokoleniu prace zostały zakończone sukcesem. Zgromadzone do tej chwili zapasy wystarczyły zaledwie kilku osobom z naszego grona na przedłużenie życia o wiele lat powyżej średniej całej planety. Tak więc, panie burmistrzu, dla większości naszej populacji jest pan żywą legendą. Jest pan nieśmiertelnym człowiekiem o nieskończonej mądrości, który kiedyś ocalił nas od zagłady. Muszę przyznać, że sam często myślę o panu w taki sposób.

W związane w węzeł włosy Miramon miał wciąż jeszcze wsunięte ogromne, czarne i wystrzępione pióro, stanowiące oznakę pełnionej funkcji. Nie przypominał jednak Amalfiemu tego gibkiego, prężnego i wiecznie ciekawego dzikusa, którego pamiętał z dawnych czasów. Wówczas Miramon tylko przykucnął w obecności Amalfiego. Nie odważył się usiąść na krześle, które w jego mniemaniu było należne tylko bogom. Choć skóra wciąż była jędrna i śniada, a oczy jak zawsze bystre i wiecznie ciekawe, to bujne włosy zupełnie posiwiały. Znajdował się w tym okresie życia, który przestał być wiekiem dojrzałym, a jeszcze nie przemienił się w starość. Była to cecha charakterystyczna ludzi, którzy zaczęli zażywać antyagatyk dopiero po osiągnięciu w naturalny sposób średniego wieku.

Siedzący obok niego doradcy wyglądali bardzo podobnie. Najważniejszy z nich to Retma, pochodzący z miasta Fabr-Suithe. W czasach Amalfiego było to jedno z miast opanowanych przez bandytów. Zostało doszczętnie zniszczone podczas ostatniej bitwy, jeszcze zanim He wyruszyła w swoją podróż. Później odbudowano je – wykorzystano do tego różowy reprezentacyjny marmur – i stało się drugim co do wielkości ośrodkiem na planecie.

Retma i inni doradcy wyglądali tak, jakby pozwolono im na przyjęcie leku przeciwko starości dopiero po ukończeniu siedemdziesiątki. Cała rada Miramona składała się zresztą z ludzi o pozornej najprawdopodobniej mądrości. To wrażenie sprawiał widok zmarszczek na ich twarzach, rzucającej się w oczy fizycznej kruchości oraz równie odpychającej, co godnej pozazdroszczenia neutralności seksualnej. Reprezentowali więc ten typ somatyczny, jaki już dawno przestał być uważany za fizjologiczne świadectwo nabytego z wiekiem doświadczenia. Lecz pośród tych ludzi, dopiero niedawno obdarzonych nieskończeniem długim życiem, nawet na Amalfim Retma sprawiał wrażenie

dziwaczego autorytetu.

– Jeśli udało się wam zsyntetyzować chociaż jeden antyagatyk, to okazaliście się lepszymi chemikami niż ktokolwiek inny w historii całej ludzkości – rzekł Amalfi. – To są najbardziej skomplikowane cząsteczki chemiczne spotykane w przyrodzie. Jestem pewien, że nie słyszałem o nikim, komu udałoby się uzyskać w laboratorium chociaż jedną.

– Nam też nie udało się otrzymać ich więcej – przyznał Miramon. – A i tak wersja syntetyczna ma niewielkie, niepożądane skutki uboczne, których nie potrafiliśmy całkowicie wyeliminować. Kilka innych specyfików to naturalne saponiny, jakie udało się nam uzyskać z wyhodowanych w naszym zmienionym klimacie roślin. Wyciąg z ich soku przetwarzamy w lek przeciwsmiertny w procesie dwóch albo trzech kolejnych fermentacji. Cztery inne powszechnie dostępne specyfiki otrzymujemy w procesie pojedynczej fermentacji. Używamy do tego celu mikroorganizmów rozmnażanych w roztworach odżywczych w ogromnych pojemnikach, do których dodajemy kilka prostych i łatwo dostępnych środków.

– My też mamy taki środek – powiedział Amalfi. – Zresztą pierwszy, jaki odkryliśmy. Askomycynę. Myślę, że mogę podtrzymać to, co powiedziałem. Jako chemicy przewyższacie nas pod każdym względem.

– A zatem mamy szczęście – odezwał się Retma ponuro. – I to nie tylko my, ale wszystkie istoty żyjące, gdziekolwiek by się nie znajdowały. Mamy szczęście, że przybywamy do was nie jako do chemików.

– To przypomina mi o najważniejszej sprawie – rzekł Amalfi. – Dlaczego właściwie zawróciliście z drogi? Nie sądzę, żeby chodziło wam tylko o rozmowę ze mną. Nie mieliście żadnych danych, aby wiedzieć, że znajduję się właśnie tu, a nie o tysiące parseków dalej. Kiedy się rozstawaliśmy, byłem po drugiej stronie macierzystej galaktyki. Jestem pewien, że zawróciliście, kiedy tylko udało się wam opanować zasady posługiwania się wiratorami. Zapewne stało się to gdzieś w połowie drogi do galaktyki Andromedy. Chciałbym więc się dowiedzieć, co sprawiło, że postanowiliście zawrócić?

– Częściowo ma pan rację, ale tylko częściowo – powiedział Miramon, a na jego twarzy pojawiły się ślady dumy. Tego jednak Amalfi nie mógł być pewien, bo Miramon nadal miał bardzo uroczystą minę. – Udało się nam uzyskać pewną kontrolę nad urządzeniami antygravitacyjnymi już po upływie trzydziestu lat od rozstania z panem. Byliśmy, rzecz jasna, bardzo dumni, kiedy zrozumieliśmy znaczenie tego, co osiągnęliśmy, panie burmistrzu Amalfi. Mieliśmy do dyspozycji całą naszą planetę i to w pełnym znaczeniu tego słowa. Można było nią pokierować. Można było polecieć do każdego systemu słonecznego i pozostać w nim lub poszukać innego. W tym czasie udało się nam już osiągnąć samowystarczalność. Nie trzeba było z nikim handlować ani zatrudniać się w charakterze najemników, tak jak robili to kiedyś ludzie z waszego miasta, a także wasi wrogowie. Znajdowaliśmy się w drodze do innej galaktyki i mogliśmy podróżować z praktycznie nieograniczoną prędkością. Postanowiliśmy zatem wyruszyć na wyprawę badawczą.

– Do galaktyki Andromedy?

– Tak, a nawet jeszcze dalej. Rzecz jasna, niewiele zdołaliśmy tam zobaczyć, gdyż tamta galaktyka jest równie rozległa jak nasza macierzysta. Możemy jednak sądzić, że nie zamieszkuje jej żadna rasa wszędobylskich, podróżujących w przestrzeni istot podobnych do was albo do nas. Być może też w ciągu tak krótkiego czasu, jaki poświęciliśmy na badania, po prostu nie udało się nam trafić na żaden zamieszkały czy skolonizowany system. Dokonaliśmy odkrycia, które miało się stać motorem naszych późniejszych działań, i z powodu którego postanowiliśmy zawrócić jak najszybciej. Opuściliśmy więc Mglawicę Andromedy i udaliśmy się do jej galaktyki satelickiej, którą kiedyś na

swoim starym średniowiecznym atlasie gwiazdowym oznaczyliście dla nas symbolem M-33. Stamtąd wykonaliśmy skok o długości półtora miliona lat świetlnych po to, by dotrzeć do Mniejszego Obłoku Magellana. Wykryliście naszą obecność w chwili, kiedy przemieściliśmy się z Mniejszego Obłoku do Większego. Muszę pana zapewnić, że był to czysty przypadek. Mamy zamiar przedostać się przez Większy Obłok i skierować się ku macierzystej galaktyce, a stamtąd ku Ziemi. Z posiadanych przez nas informacji wynika, że tylko tam znajdziemy zasoby wiedzy tak rozległe, żebyśmy mogli poradzić sobie z naszym odkryciem. Ani przez chwilę nie wierzyliśmy, że wystarczy nam do tego nasza własna wiedza.

Tak więc, panie burmistrzu, uważam za bardzo dobry omen to, że odkryliście nas podczas powrotu do domu. Z pewnością to dzieło bogów, bo inaczej taki przypadek byłby niemożliwy; jeśli gdziekolwiek poza Ziemią żyje człowiek, który potrafiłby nam pomóc, to jest nim właśnie pan, panie burmistrzu.

– O ile sobie przypominam, przedtem nie wierzył pan w bogów – powiedział Amalfi z lekkim uśmiechem.

– Z czasem poglądy się zmieniają, na cóż byłyby inaczej te wszystkie lata?

– Historia też się zmienia – odparł Amalfi. – Bez względu na to, czy będę mógł wam pomóc, czy nie, dobrze się stało, że znaleźliście się tutaj przed powrotem do macierzystej galaktyki. Ziemia nie jest już w niej dominującą planetą. Mamy duże trudności ze zrozumieniem sygnałów, jakie stamtąd otrzymujemy. Dochodzą do nas silnie zniekształcone i właściwie nie wiemy, co się wydarzyło. Jednej rzeczy jestem pewien: powstaje tam jakieś nowe imperium, staje się równie silne jak była kiedyś Ziemia, a wcześniej Wega. Samo o sobie mówi, że pochodzi z gwiazdozbioru Herkulesa. Te resztki międzyplanetarnego mocarstwa ziemskiego, jakie jeszcze zostały, nie stawiają większego oporu. Jeśli mam wam radzić, to trzymajcie się z daleka od macierzystej galaktyki, bo w przeciwnym wypadku możecie zostać wchłonięci przez tę nową cywilizację.

Po tych słowach zapadła dłuższa cisza. Przerwał ją w końcu Miramon.

– To daje nam bardzo niewielkie pole manewru. Być może nasz problem w ogóle nie da się rozwiązać, jak często sami podejrzewamy. A może bogowie przywiedli nas do jedynej skarbnicy wiedzy, jakiej naprawdę potrzebujemy.

– Już wkrótce się tego dowiemy – dodał cicho Retma. – Jeżeli zostanie nam trochę czasu, by się o tym przekonać. Albo jeszcze więcej czasu później, żeby to zapamiętać.

– Obawiam się, że nie będę mógł wam w niczym pomóc, dopóki mi nie powiecie, o co chodzi – rzekł Amalfi, mimo woli będąc pod wrażeniem powagi, z jaką mówili Hewianie. – Co to było za odkrycie, po dokonaniu którego zawróciliście z drogi? Jakiego nadciągającego kataklizmu tak się obawiacie?

– Ni mniej, ni więcej, panie burmistrzu – odezwał się bezbarwnym głosem Retma – tylko zbliżającego się końca czasu.

Przez dłuższą chwilę Amalfi nie mógł uwierzyć, że Hewianie naprawdę mieli na myśli to, co powiedzieli. Był gotów potraktować ich słowa jak jeszcze jeden przesąd, jakich wiele panowało na tej zacofanej planecie w chwili, w której wędrowcy spotkali ją po raz pierwszy. Żadne doświadczenie w jego długim życiu nie przygotowało go na przyjęcie hipotezy, że czas też mógłby mieć swój koniec. Później z ogromnym trudem uzmysłowił sobie, że zjawisko zaobserwowane w mrokach między-galaktycznych otchłani przez Miramona i Hewian może naprawdę istnieć i mieć realne skutki. Mogliby to potwierdzić ludzie Amalfiego – przede wszystkim grupa naukowców Schlossa – a nawet ustalić wynikające z tego implikacje, ale burmistrz ciągle nie mógł się zdobyć na

nic więcej poza uznaniem tego faktu za nieprawdopodobny.

Przyznał się do tego w trakcie konferencji zorganizowanej na pokładzie jego statku. Oprócz niego wzięli w niej udział: Miramon, Retma, doktor Schloss i Carrel, a także – za pośrednictwem diraka – Jake i doktor Bonner. Ten ostatni był przywódcą owej grupy filozofów zwanych stochastykami, którymi interesował się ostatnio Hazleton.

– Jeśli to, o czym panowie mówicie, jest prawdą – powiedział Amalfi – to tak czy inaczej nic się z tym nie da zrobić. Czas po prostu się skończy i to wszystko. Tyle, że zwykły koniec świata zapowiadano w przeszłości już wiele razy. Sam pamiętam kilka z tych zapowiedzi, ale jak dotąd żadna z nich się nie spełniła. Nie mogę sobie wyobrazić, aby tak bezkresny fizyczny wszechświat mógł osiągnąć swój kres i zniknąć w mgnieniu oka. Po prostu w to nie wierzę i nie mogę nagle zacząć zachowywać się tak, jakbym w to uwierzył. Nie widzę także powodu, by ktoś inny miał się tak zachowywać.

– Amalfi, ma pan rację – odezwał się doktor Schloss. – Tylko że pan nie rozumie. Oczywiście, koniec wszechświata przewidywano już wiele razy. To zresztą jedna z dwóch możliwości, jakie każdy filozof musi brać pod uwagę. Według pierwszej z nich dzieje wszechświata kiedyś dobiegną kresu, a zgodnie z drugą nigdy się nie zakończą. Wszystkie inne, pośrednie hipotezy oparte są na założeniu, że wszechświat rozwija się cyklicznie, ale jak na razie to są tylko spekulacje. Jeżeli założyć, że ma ograniczony czas życia, to trzeba też dojść do logicznego wniosku, że kiedyś ten koniec będzie musiał nastąpić. Od tysięcy lat jesteśmy zgodni co do tego, że nie może istnieć wiecznie. Nie pozostaje nam zatem kłócić się o nic więcej jak tylko o termin, kiedy ten koniec ma nastąpić. I wcześniej albo później nadejdzie taki czas, kiedy na podstawie zebranych danych będziemy mogli określić tę datę bez cienia wątpliwości. Hewianie dostarczyli wystarczająco dużo informacji, abyśmy mogli zrobić to właśnie teraz. Data jest zatem ustalona i to w sposób niepodważalny. Jeżeli mamy dyskutować o tym jak rozumne istoty, to musimy zacząć od czegoś, co nie budzi wątpliwości. Co jest faktem. I nie możemy się z nim nie zgodzić.

– Musiał pan chyba stracić rozum – odezwał się Amalfi stanowczo. – Powinien pan wysłuchać zdania Ojców Miasta na ten temat, tak jak ja to zrobiłem. Jeśli pan chce, to połączmy się z nimi za pomocą diraka. Pozna pan wtedy trochę danych z zasobów ich pamięci. Niektóre pochodzą jeszcze sprzed czasów podróży międzygwiazdnych i są tak stare jak nasze miasto. Powinien pan zwłaszcza wysłuchać opowieści o tak zwanym końcu świata. Powstają one tak nieuchronnie, jak roślina wyrasta z zasianego ziarna, ilekroć tylko komuś przyjdzie do głowy, że ma bezpośrednią łączność z Wszechmogącym. Niektóre są, rzecz jasna, wręcz śmieszne, jak na przykład zapowiadanie końca świata przez Volive, który był przekonany o tym, że Ziemia jest płaska. Znajdzie pan tam także historię o Armageddonie, jakie kiedyś rozpowszechniali na Ziemi członkowie sekty zwanej Wyznawcami. Cieszyli się popularnością w tym samym stuleciu, w którym wynaleziono antyagatyki i wiratory. Wysoki stopień inteligencji nie chroni przed uleganiem tego typu apokryficznym szaleństwom. Proszę sobie przypomnieć, że siedem wieków przed erą lotów kosmicznych największy naukowiec ziemski tamtych czasów, niejaki Bacon, głosił rychłe nadejście Antychrysta. Straszyl tym wszystkich tylko dlatego, że nie umiał namówić sobie współczesnych na przyjęcie naukowej metody, jaką sam trochę wcześniej opracował.

Ponadto, jeśli wolno dodać, w dziesięcioleciu poprzedzającym erę sztucznych satelitów żaden spośród najświetlejszych umysłów tamtych czasów nie widział przyszłości ani dla rasy ludzkiej, ani dla innych, żyjących na Ziemi stworzeń. Przewidywano zagładę całego życia w kataklizmie termonuklearnym, który w tamtych czasach mógł rozpętać się w ciągu każdych dwudziestu minut. I w tym, doktorze Schloss, ludzie tamtej epoki mieli rację. Świat rzeczywiście mógł zakończyć się

w ciągu dosłownie każdych dwudziestu minut. Fizycznie było to całkiem możliwe, ale w jakiś sposób przetrwał i istnieje nadal w czasach, kiedy loty kosmiczne stały się spaloną przez gwiazdne światło zjawą jak duchy błakających się w mroku ludzi, którzy odzegnują się od swych mitologii, jeśli tylko uda się im zapalić lampę w środku nocy dzięki zwykłemu wciśnięciu przełącznika.

Amalfi spojrział na twarze ludzi zgromadzonych na statku wokół stołu nakresowego. Tylko niektórzy patrzyli mu w oczy. Pozostali mieli wzrok wbity w stół lub w swoje dłonie. Na ich twarzach malował się taki wyraz, jaki mają słuchacze na rozprawie notorycznego zabójcy, który usiłuje ujść sprawiedliwości, symulując niepokryzalność.

– Amalfi! – Ciszę przerwał dobiegający z diraka głos Jake’a. – Czas na krasomówstwo dawno minął. Na nasze pytanie nie mogą istnieć dwie prawidłowe odpowiedzi. Jedna z nich musi okazać się fałszywa. Musimy zatem przyjąć, że jesteś zręcznym adwokatem, ale stajesz po niewłaściwej stronie. Właściwa strona nie potrzebuje adwokata. Chociaż starasz się jak możesz, to na próżno strzepisz język. Pozwól, że zapytam pozostałych zebranych: co mamy teraz zrobić? Czy uważacie panowie, tak samo jak Hewianie, że w ogóle można cokolwiek zrobić? Jeżeli chodzi o mnie, wydaje mi się to wątpliwe.

– Mnie także – odezwał się doktor Schloss, chociaż nic w jego zachowaniu nie świadczyło o pesymizmie, jaki emanował z tego zdania. Naukowiec wydawał się być raczej tym wszystkim niezwykle zainteresowany. Amalfi jeszcze nigdy nie widział go tak podekscytowanego. – Żyjące istoty mają taką samą szansę przetrwania nadciągającego końca czasu jak ryba wrzucona w żar słoneczny. Katastrofa jest nieunikniona i, co najważniejsze, wydarzy się w mgnieniu oka.

– Żaden techniczny problem we wszechświecie nie może być nierozwiązywalny – odparował z irytacją Amalfi. – Miramon, jeśli zechce pan wybaczyć mi tę opinię... a nie obchodzi mnie w najmniejszym stopniu, czy pan zechce... to sądzę, że cierpi pan na tę samą chorobę, co doktor Schloss. Osiągnął pan swój wiek dojrzały zbyt wcześnie. Stracił pan wszelkie zamiłowanie do przygód.

– Nie całkiem – odparł Miramon, spoglądając na Amalfiego z rozczarowaniem i urazą. – My przynajmniej nie jesteśmy tacy pewni tego, że w tej sprawie nie da się niczego zrobić. Jeżeli nie znajdziemy rozwiązania tutaj, to zamierzamy wyruszyć w dalszą drogę w nadziei na spotkanie kogoś, z kim moglibyśmy połączyć nasze siły. Może ten ktoś będzie mógł zaproponować jakieś wyjście. Jeśli nikogo takiego nie znajdziemy, postaramy się znaleźć je sami.

– To bardzo dobrze o was świadczy – powiedział Amalfi z zapałem. – Na wszystkie gwiazdy świata, wyruszam z wami! Nie możemy jak gdyby nigdy nic wrócić do naszej galaktyki, ale następną jest NGC 6822, około miliona lat świetlnych od nas. Dla was to tylko jeden skok. Najważniejsze, że nie będziemy siedzieli, czekając beczynnie, aż to zwali się nam na głowy.

– To będzie wędrówka w dokładnie określonym celu – rzekł Miramon bardzo poważnie. – Zgadzam się z panem, że byłoby niebezpieczne i nierozsądne wejść w jakikolwiek kontakt z cywilizacją Herkulesa. Nie widzę jednak większego sensu w tułaniu się od jednej galaktyki do drugiej. W ten sposób nie trafimy na rozwiniętą cywilizację, która być może mogłaby w czymś pomóc nam, a przy okazji i całemu wszechświatowi. Mamy wprawdzie nadzieję, ale nie może być ona jedynym powodem naszej podróży. Punktem docelowym musi być centrum metagalaktyczne, ośrodek wszystkich galaktyk w całej czasoprzestrzeni. To właśnie tam wszystkie siły wszechświata znajdują się w dynamicznej równowadze. To właśnie tam należy się kierować, jeżeli chcemy w jakiś sposób uniknąć końca lub go zmodyfikować. Zostało już niewiele czasu. I jeszcze jedna rzecz, panie burmistrzu. To nie jest zwyczajny problem techniczny. To jest zakończenie, jakie zostało organicznie zapisane w strukturze całego skomplikowanego wszechświata. Zapisane na samym początku jego

istnienia nie wiedzieć czyją ręką. Wiemy tylko, że zostało z góry przesądzone.

Takiej prawdy nie można było nie przyjąć do wiadomości, chociaż umysł Amalfiego bronił się przed tym jak potrafił od chwili, w której on sam zdał sobie z tego sprawę. Wszechświat miał być w założeniach najlepszym z możliwych miejscem dla istot żywych. Pradawna teoria o budowie wszechświata głosiła, że wszystko: powietrze i ziemia, ląd i woda, stal i pomarańcze, a także gwiazdy i ludzie składają się z mikroskopijnych cząstek. Zwano je protonami i elektronami, dodawano do nich trochę pozbawionych ładunku neutronów i neutrin, i wiązano w całość za pomocą bezładnej, ale swojskiej rodziny mezonów.

Najlepszy przykład takiej struktury stanowi atom wodoru. Składa się z protonu, umieszczonego bezpiecznie w samym środku i cieszącego się swym ładunkiem dodatnim oraz wirującego wokół niego elektronu obdarzonego ładunkiem ujemnym jak iskrzące się futro kota. To przypadek najprostszy, lecz podobnie są zbudowane te najcięższe i najbardziej skomplikowane atomy rozmaitych pierwiastków, nawet te wyodrębnione przez człowieka jak pluton. Zawierają po prostu więcej takich samych protonów i krążących wokół nich, iskrzących się „kocich futer”. Trudno odróżnić jednego kota od drugiego, ale tak bywa, gdy ma się za dużo kotów.

Pierwszą oznakę tego, że coś niedobrego dzieje się z takim znajomym, uporządkowanym wszechświatem, zaobserwowano na niebie, jak wszystkie zresztą dobre znaki. Jeszcze na starej Ziemi, na pięćdziesiąt lat przed początkiem ery lotów kosmicznych, zauważył ją jeden z astronomów, którego nazwiska dziś już nikt nie pamięta. Stwierdził on, że spośród milionów meteorów, jakie codziennie docierały do ziemskiej atmosfery, dwa albo trzy eksplodowały na tak dużej wysokości i z tak wielką siłą, że w żaden sposób nie wynikało to z ich prędkości ani toru lotu. W jednym z przebłysków swojej fantazji, które na dalszą metę tworzą nowe ogniwo w łańcuchu zrozumienia wszechświata, astronom ów postawił wniosek, że są to meteory zbudowane z materii „antyziemskiej”.

Miała to być także materia z centralnie umieszczonymi „kocimi ognikami” – protonami, okrążanymi przez iskrzące się elektrony – „kocie futra”, ale naładowana elektrycznie w przeciwny sposób. W centrum najprostszego atomu wodoru miał znajdować się antyproton – cząstka o takiej samej masie jak masa normalnego protonu, ale obdarzona ładunkiem ujemnym. Wokół niej miał krążyć antyelektron – cząstka o równie znikomej masie jak masa elektronu, ale naładowana dodatnio.

Meteor zbudowany z takich atomów – dowodził tamten astronom – wybuchał z ogromną siłą już w chwili kontaktu z pierwszymi śladami ziemskiej, dobrze znanej materii. Obecność tych meteorów miała sugerować, że gdzieś we wszechświecie istnieją całe planety, słońca i galaktyki zbudowane z takiej „antyziemskiej” materii. Zetknięcie się z nimi miało obfitować w skutki gorsze od śmierci – powinno być całkowitą i ostateczną anihilacją, w trakcie której oba rodzaje materii zamieniały się w rozżarzone piekło.

Osobliwością był fakt, że teoria o „antyziemskich” meteorach została już w kilka lat później uśmiercona, podczas gdy teoria o antimaterii żyła nadal. Istnienie eksplodujących meteorów dało się łatwo wytłumaczyć w inny sposób, ale teoria była na tyle frapująca, że mniej więcej w połowie dwudziestego wieku fizycy drogą eksperymentów potrafili wytworzyć kilka atomów z antimaterii naraz. Czas trwania tych zwiariowanych cząstek był jednak niewiarygodnie krótki. Mogły one „żyć” zaledwie przez milionowe części sekundy. Stopniowo zaczęło się stawać jasne, że nawet w ciągu tak krótkiego okresu ich czas istnienia biegł w przeciwną niż zazwyczaj stronę.

Cząsteczki, z których składały się te atomy, wytwarzane w ogromnych betatronach tamtych czasów, powstawały o mikrosekundy później, podczas gdy atomy tworzyły się z nich i umierały wcześniej. Stało się oczywiste, że istnienie antimaterii jest możliwe nie tylko teoretycznie, ale także

praktycznie. Antymateria nie mogła jednak istnieć we wszechświecie zbudowanym z materii normalnej w skupiskach tak dużych jak meteory. Jeżeli były gdzieś światy i galaktyki z materii „antyziemskiej”, to istniały w trudnym do wyobrażenia, odrębnym kontinuum, w którym czas i gradient entropii były skierowane inaczej. Opis właściwości takiego kontinuum wymagałby wprowadzenia co najmniej czterech nowych wymiarów poza tymi czterema, jakie już opisywały własności wszechświata znanego ludziom od stuleci.

W miarę jak dobrze znany wszechświat rozszerzał się i powiększał, mknąc ku nieuchronnemu rozproszeniu całego posiadanego ciepła, gdzieś w nieskończonej, niewyobrażalnej dla człowieka przestrzeni istniał też inny wszechświat. Był on równie rozległy, co ten znany, ale kurczył się i małał, zmierzając ku boskiej koncentracji energii i masy nazwanej przez ludzi monoblokiem. Końcem tego pierwszego wszechświata, w którym strzała czasu wskazywała kierunek wzrostu entropii, miało być całkowite rozproszenie energii, ciemność i wiekuista cisza. Kres zaś antymaterialnego wszechświata miała stanowić masa przewyższająca wszelką masę i energia większa od wszelkiej znanej energii. Płomienisty ogień szalejący z niepohamowaną wściekłością w „atomie” o średnicy nie większej od orbity Saturna.

A przy tym jeden z tych wszechświatów mógł łatwo przerodzić się w drugi. We wszechświecie z normalnej materii monoblok był jego początkiem, podczas gdy we wszechświecie z antymaterii – jego końcem. W universum o normalnym biegu entropii monoblok nie może istnieć i musi eksplodować. W tym o przeciwnym biegu entropii śmierć z powodu utraty energii jest czymś nie do pomyślenia, co oznacza, że energia musi się zagęszczać wraz z upływem normalnego czasu. W każdym jednak z tych wszechświatów nadrzędnym nakazem jest: Niech się stanie światłość.

Od najdawniejszych czasów zagadkę dla uczonych stanowił stan, w jakim się znajdował widzialny i namacalny wszechświat, zanim się stał monoblokiem. Klasyczną opinię na ten temat wyraził wiele wieków temu święty Augustyn. Zapytany o to, co też mógł robić Bóg, zanim stworzył wszechświat, odpowiedział, że zajmował się stwarzaniem piekła dla ludzi, zadających takie pytania. Z tego względu o okresie przed Augustynem wiedzieli wszystko historycy, ale fizycy – z definicji nie wiedzieli niczego.

Aż do tego momentu. Jeśli bowiem Hewianie mieli rację, to unieśli nieco zasłonę niewiedzy i ujrzeli przelotny błysk czegoś, co było dotychczas nieznanne.

Stanięcie oko w oko z prawdą nie mogło być bardziej brzemienne w skutki.

Podczas swojego radosnego lotu przez galaktykę Andromedy Hewianie zauważyli, że jeden z ich wiratorów grzeje się trochę bardziej niż powinien. Dziwnym zbiegiem okoliczności była to nowa maszyna, zbudowana specjalnie dla nich, a nie jedna z tych używanych, które zabrano z wędrownego miasta. Hewianie spotkali się z czymś takim po raz pierwszy. Nie chcieli ryzykować i przekonywać się, jakie skutki może wywołać pozostawienie takiego urządzenia samemu sobie. Wyłączyli więc całą sieć wiratorów na czas niezbędny do dokonania naprawy. Uruchomili jedynie ekran o dwuprocentowej mocy, konieczny do zachowania atmosfery i ciepła na planecie.

I właśnie wtedy w całkowitej ciszy otaczających ich międzygalaktycznych przestworzy ich instrumenty zarejestrowały coś niezwykłego. Po raz pierwszy w historii ludzkości usłyszeli szepty nieustannego tworzenia. Były to cichutkie piski nowych atomów wodoru, powstających jeden po drugim dosłownie z nicości.

Fakt ten już sam w sobie mógł otrzeźwić umysł każdego myślącego człowieka, a nie tylko znanych ze swoich zainteresowań religijnych Hewian. Nikt przecież nie mógł być świadkiem tworzenia się cząstek podstawowego budulca, z jakiego powstał znany wszechświat, z czegoś, co w sposób oczywisty było niczym. Nie można było na to patrzeć, nie uświadamiając sobie, że gdzieś

musi istnieć także Stwórca, i to zapewne niedaleko od wykonywanej przez siebie pracy.

W pierwszej chwili można było pomyśleć, że te ciche piski rejestrowane przez przyrządy Hewian nie zostawiają miejsca na argumentację w toczącym się od dawna kosmogonicznym i kosmologicznym sporze o cykliczną naturę wszechświata. Zgodnie z tą odwieczną teorią po skurczu następował rozkurcz, monoblok po energetycznej śmierci, a obecność Stwórcy była niezbędna co najwyżej na samym początku pierwszego cyklu. Tu zaś trwało ciągle tworzenie się materii. Odbywało się na bieżąco. Niewidzialny Palec Stwórcy dotykał nicości, z której powstawało coś materialnego. Najwyższego i ostatecznego bezsensu tej sytuacji nie dało się wytłumaczyć w inny sposób. Musiało to być dzieło Stwórcy właśnie przez to, że było takie ostateczne.

Hewianie posiadali jednak na tyle wysoką inteligencję, że w ich głowach zrodziło się podejrzenie. Pamiętali, że wszystkie ważniejsze odkrycia w historii rozwoju cywilizacji były zawsze otoczone nimbem tajemnicy. Ich odkrycie jednak, jak by go nie traktować, udzielało jednoznacznej odpowiedzi na pytanie trapiące teologów od ponad dwudziestu pięciu tysiącleci. Dowodziło, że Bóg istnieje, i robiło to w sposób niepodważalny po raz pierwszy od czasów, kiedy Jego obecność zaczął podejrzewać jakiś czciciel słońca z epoki kamienia łupanego czy inny żywiący się grzybami mistyk. Sprawa jednak nie mogła być aż tak prosta, jak to na pierwszy rzut oka wyglądało. Sukces został osiągnięty nazbyt łatwo. Hipoteza, że Bóg zajmuje się ciągłym tworzeniem, prowadziła do znacznie dalej idących wniosków. Ich słuszności nie można było dowieść za pomocą tego jednego, tak prostego i jednoznacznego doświadczenia, i to, co by o nim nie mówić, wyreżyserowanego przez najzwyczajniejszy przypadek.

Gifford Bonner miał później się wyrazić, iż niewiarygodnie szczęśliwym trafem okazał się fakt, że to właśnie Hewianie jako pierwsi usłyszeli te cichutkie piski porodowe dobiegające ich z kolebki czasu. Bonner uważał ich za ludzi, którzy dopiero niedawno osiągnęli pierwszy stopień rozwoju technicznego. Dzięki temu w erze rozwoju nauk technicznych pamiętali jeszcze o ciągłości i złożoności teologii.

Mogło się przecież tak zdarzyć, że odkrycia dokonaliby nie oni, a Ziemianie. Typowy Ziemianin u schyłku czwartego tysiąclecia był, zdaniem Bonnera, zatwardziałym technokrata. Na jego filozofię składały się w równej mierze niepoprawny „zdrowy rozsądek” co naiwna i sentymentalna wiara w Postęp (Amalfi w tym miejscu wywodu Bonnera miał chęć skrócić się ze złości). Gdyby więc odkrycia dokonał jeden z typowych Ziemian, to zapewne przeszedłby nad nim do porządku dziennego. Mógłby starać się przypisać je telepatii, reinkarnacji albo innemu z setek nie wyjaśnionych dotąd zjawisk. Bonner twierdził, że wiele takich rzeczy zna typowy technokrata, który nie wie, że w głębi duszy jest równie bezkompromisowym mistykiem jak fakir leżący na łożu pełnym nabitych gwoździ.

Hewianie jednak stali się podejrzliwi. Najpierw zakwestionowali to, czy odkrycie dotyczyło rzeczywiście tego, czego dotyczyło. Uznali, że teologia może poczekać. Jeśli nieustanne tworzenie się materii było faktem, to przede wszystkim należało odrzucić teorię o istnieniu monobloku w historii rozwoju wszechświata oraz możliwości jego energetycznej śmierci. Odkrycie więc oznaczało, że wszechświat istniał i będzie istnieć zawsze. Jeśli jednak miało się ono okazać tak zagadkowe, jak wszystkie poprzednie odkrycia w rozwoju cywilizacji, to mogło oznaczać coś wręcz przeciwnego. Należało zatem zadać sobie to właśnie pytanie i postarać się o właściwą odpowiedź.

Takie trzeźwe podejście do problemu opłacało się Hewianom niemal natychmiast. Wynikające z niego wnioski okazały się jednak na dłuższą metę równie nieprawdopodobne, co przy założeniu odwrotnej sytuacji. Hewianie postanowili zatem dokonać eksperymentu ze swoimi nie całkiem jeszcze poznanymi wiratorami. Rzykując życiem ludzi i całej planety, wyłączyli je całkowicie

i zaczęli wsłuchiwać się uważniej.

W tej najgłębszej ze wszystkich możliwych cisz okazało się, że prawie bezgłośny szept ciągłego tworzenia się materii jest właściwie duetem. Wszystkie piski płaczu porodowego nie brzmiały pojedynczym, ale podwójnym tonem. Każdemu rodzeniu się atomu wodoru z nicości do znanego, materialnego wszechświata odpowiadała śmierć atomu wodoru zbudowanego z antymaterii, który w tej samej chwili ginął... przybywszy z jakiejś innej nicości.

Dopiero to odkrycie przesądziło sprawę. To, co wydawało się elementarnym i nie kwestionowanym dowodem popierającym tezę, że czas płynie tylko w jedną stronę, a tworzenie się jest procesem nie mającym końca, okazało się zarazem bezspornym argumentem, potwierdzającym teorię cyklicznej kosmologii.

Właściwie taki wniosek Hewianom w zupełności wystarczał. To był ten rodzaj fizyki, jaką dobrze znali. Tę fizykę mógł uosabiać idiota, który stoi na skrzyżowaniu dróg na szczycie góry i krzyczy: „Bóg poszedł w tamtą stronę”, wskazując przy tym na wszystkie cztery strony świata naraz. Nie mogli jednak pozbyć się uczucia trwogi. Dysponowali wynikami eksperymentów, jakich nie można było przeprowadzić nigdzie indziej. Te wyniki zmuszały ich do przyjęcia wniosku, że istnieje gdzieś inny wszechświat, zbudowany wyłącznie z antymaterii. Wszechświat ten musi wyglądać tak jak nasz, dobrze znany, ale o przeciwnych znakach ładunków elektrycznych wszystkich cząstek. Zwrócili też uwagę na fakt, że w chwili tworzenia się atomu wodoru z materii normalnej następowała równoczesna śmierć atomu wodoru antymaterialnego. Nie mogli mieć zatem cienia wątpliwości, że we wszechświecie antymaterialnym czas płynie w odwrotną stronę. Oznaczało to również, że inaczej skierowany jest też gradient entropii. Już dawno temu wykazano, że jedna z tych wielkości jest nierozzerwalnie związana z drugą.

Ten pomysł, rzecz jasna, nie był nowy. Był tak stary, że Amalfi nie mógł sobie przypomnieć, kiedy usłyszał go po raz pierwszy. To, że Hewianie przywrócili go do łask właśnie teraz, uznał za irytujący anachronizm, który tylko przeszkadzał w pracy ludziom praktycznie myślącym. Ze szczególną pogardą odnosił się do możliwości istnienia wszechświata, w którym malejąca entropia mogła być najważniejszym prawem. W takich warunkach, jak podpowiadała mu jego skrzypiąca ze starości pamięć, przyczyny i skutki zamieniłyby się miejscami. Ich kolejność pojawiania się w czasie byłaby odwrotna niż we wszechświecie materialnym. Oznaczałoby to, że energia rośnie, zdarzenia stają się własną przyczyną, woda płynie pod górę, a ludzie rodzą się starzy i młodnieją, umierając coraz mniej, aż znajdują się w łonach swoich matek.

– I w normalnym wszechświecie ludzie umierają coraz mniej wraz z upływem czasu – odezwał się łagodnie Gifford Bonner. – Ja jednak nie sądzę, aby wszystko wyglądało tak paradoksalnie. Uważam, że obydwa wszechświaty zmierzają do swojego kresu. W każdym z nich energia staje się z czasem coraz mniejsza. Fakt, że z naszego punktu widzenia energia we wszechświecie antymaterialnym rośnie, wynika jedynie z naszego sposobu patrzenia na te sprawy. Myślę, że w rzeczywistości oba te wszechświaty rozkręcają się w dwie przeciwne strony podobnie jak obracające się kamienie młyńskie. I chociaż wygląda na to, że ich wektory czasu zwrócone są w przeciwne strony, to zapewne oba skierowane są w dół, tak samo jak ramiona drogowskazu ustawionego na szczycie wzgórza. Możliwe, że trudno ci zrozumieć dynamiczną stronę tego zagadnienia. Chciałbym ci zatem przypomnieć, że każdy z tych wszechświatów stanowi czterowymiarowe continuum. Pod tym względem obydwa są więc całkowicie statyczne.

– Co prowadzi nas nieuchronnie do kwestii ich wzajemnej odległości – odezwał się radośnie Jake. – Problem polega bowiem na tym, że te dwa czterowymiarowe kontinua są bardzo ściśle ze sobą powiązane. Dowodzą tego bliźniacze wydarzenia, jakie zaobserwowali Hewianie. To zaś

oznacza, jak mi się wydaje, że w celu opisanego całego tego systemu musimy dysponować co najmniej szesnastoma wymiarami. Nie powinno to zresztą nikogo dziwić. Co najmniej tylu wymiarów potrzeba do prawidłowego opisanego zjawisk, jakie zachodzą w jądrze średnio skomplikowanego atomu.

Dziwić może co najwyżej fakt, że te dwa kontinua zbliżają się do siebie. Zgadza się w tym z Miramonem, że obserwacji dokonanych przez jego ziomków nie można interpretować w żaden inny sposób. Obydwa wszechświaty pozostawały aż do tej chwili w pewnej odległości od siebie tylko dzięki temu, że panujące w nich grawitacje mają różne znaki. Wydaje mi się jednak, że ciśnienie, siła odpychania czy jak jeszcze chcielibyście to zjawisko nazwać, słabnie wraz z upływem czasu. Kiedyś w przyszłości, i to niedalekiej, zmaleje do zera, dzięki czemu dojdzie do zderzenia się obydwu wszechświatów...

– ...a wtedy trudno będzie sobie wyobrazić, w jaki sposób dowolne, fizycznie istniejące kontinuum, choćby nawet mające szesnaście wymiarów, będzie w stanie zgromadzić energię, jaka wówczas zostanie wyzwolona – dokończył doktor Schloss. – O monobloku nie warto nawet i wspominać. Jeżeli kiedykolwiek istniał, to w porównaniu z tym wydarzeniem był tylko zamkniętym ogniem sztucznym.

– Mówiąc prościej, dojdzie do wielkiego bum! – stwierdził Carrel.

– Możliwe, że każda logiczna kosmologia będzie musiała wziąć pod uwagę wszystkie te trzy możliwości – powiedział Gifford Bonner. – Mam na myśli monoblok, śmierć z utraty energii i tę rzecz... to zdarzenie, które moim zdaniem należy umieścić gdzieś pośrodku.

Ciekawe, że w starożytnych systemach filozoficznych istniało wiele mitów uwzględniających właśnie taką nieciągłość albo przerwę dokładnie pośrodku okresu ludzkiej egzystencji. Pierwszy ziemski relatywista, Giordano Bruno, nazwał taką nieciągłość okresem wzajemnego zniszczenia. Jego rodak, Vico, który był zapewne pierwszym teoretykiem cyklicznego rozwoju cywilizacji, w swojej pracy również postulował jej istnienie. Także w mitologii Skandynawów tego rodzaju wydarzenie było określane mianem Nieciągłości Ginnangu.

Ciekaw jestem, doktorze Schloss – kontynuował Bonner – czy to zniszczenie będzie tak całkowite, jak pan sądzi. Nie jestem wprawdzie fizykiem i wcale tego nie ukrywam, ale chciałbym wiedzieć, czy te dwa wszechświaty są dokładnie przeciwstawne w każdym punkcie, jak wszyscy to sugerują. Jeśli tak, to uważam, że rezultatem ich kolizji nie może być tylko przemiana obu rodzajów materii w energię. Sądzę, że na równie wielką skalę wystąpi także zjawisko odwrotne. Potem zaś ciśnienie grawitacyjne powinno zacząć odbudowywać obydwie te wszechświaty. Może zdarzyć się zatem i tak, że one przenikną się nawzajem, wymieniając ukłony, po czym zaczną się ponownie oddalać. Czy nie zapomniałem przypadkiem o czymś ważnym?

– Nie sądzę, aby wydarzyło się to tak elegancko, jak pan przedstawił – stwierdził Retna. – Tak czy inaczej, uważam jednak, że matematyczną stronę tego zagadnienia należy powierzyć pieczy doktora Schlossa. Chciałbym także zapytać, jeśli można, dlaczego ten nie mający końca cykl tworzenia – wzajemnego zniszczenia – energetycznej śmierci, o ile taki cykl w ogóle istnieje, został wyposażony w ozdobnik w postaci nieustannego rozrostu? Sądzę, że teoria wszechświata uwzględniająca w sobie co najmniej trzy kataklizmy w każdym cyklu nie powinna zawierać niczego, co mogłoby psuć jej harmonijność. Gdyby więc zawierała coś takiego, to albo sam mechanizm byłby niedoskonały, albo ozdobnik zbyt mało efektywny. W dodatku proces nieustannego tworzenia wymaga istnienia stanu ustalonego, a oba te zjawiska nie mogą zachodzić równocześnie.

– Nic nie wiem na ten temat – odparł Jake. – Nie wygląda mi to na problem, którego nie dałoby się rozwiązać za pomocą transformacji Milne'a. Zapewne musi to być funkcja cykliczna.

– Mająca postać tasiemcowego równania matematycznego, o ile dobrze pamiętam – wtrącił się

ponuro Carrey.

– Jednego mogę być całkiem pewien – mruknął Amalfi. – Jest cholernie mało prawdopodobne, aby którykolwiek z ludzi pozostałych przy życiu po dojściu do kolizji troszczył się o rzeczywiste skutki tego zjawiska. Przynajmniej nie wtedy, jeśli wszystko wydarzy się w takim tempie. W związku z tym, czy moglibyśmy zrobić coś pożytecznego, czy też może lepiej spędźmy ten czas na grze w pokera?

– Właśnie ten problem pozostaje dla nas całkowitą zagadką – odparł Miramon. – Szczerze mówiąc, jestem skłonny uważać, że nic się nie da zrobić.

– Panie Miramon... – odezwał się z kąta Web Hazleton, po czym zamilkł.

Oczekiwał zapewne, że ktoś skarci go za złamanie obietnicy nie wtrącania się do rozmowy. Dla wszystkich było jednak jasne, że w tej chwili chłopiec nie miał się do czego wtrącać. Jego głos zakłócił tylko przeciągającą się ponurą ciszę.

– Możesz mówić, Web – powiedział Amalfi.

– No więc, pomyślałem sobie... Pan Miramon szuka kogoś, kto pomógłby mu zrobić to, czego sam nie potrafi. Teraz sądzi, że i my tego nie umiemy. Czym właściwie jest to, co wszyscy tutaj chcieliby zrobić?

– Powiedział właśnie, że sam tego nie wie – odrzekł łagodnie Amalfi.

– Nie o to mi chodziło – ciągnął nieśmiało Web. – Chciałbym wiedzieć, co zamierza zrobić, nawet jeśli tego nie umie. Nawet, jeśli to jest niemożliwe.

Ciszę, jak zapadła po tych słowach na pokładzie statku, przerwał chichot Bonnera.

– Ma rację – powiedział. – Cele określają środki. Kura jest tylko środkiem, jaki stosuje jajko, aby wytworzyć następne jajko. Czy to wnuk Hazletona? Dzielny z ciebie chłopak, Web.

– Jest wiele eksperymentów, jakie powinno się przeprowadzić, gdybyśmy tylko wiedzieli najpierw jak to zrobić – przyznał mu rację Miramon. – Przede wszystkim musimy dokładnie ustalić datę katastrofy. „Najbliższa przyszłość” jest w tych warunkach ogromnym szmatem czasu. Prawie tak wielkim jak określenie „kiedyś”. Powinniśmy ustalić to z dokładnością do milisekund. Pochwalam zdrowy rozsądek młodego Ziemianina, ale nie pozwolę się łudzić, że mogę prosić o cokolwiek więcej. Nawet i to wydaje mi się beznadziejną sprawą.

– Dlaczego? – zapytał Amalfi. – Czego panu potrzeba, aby to obliczyć? Jeżeli będę miał wszystkie dane, to obliczeniami zajmą się Ojcowie Miasta. Ostatecznie zaprojektowano ich po to, aby wykonywali obliczenia na podstawie dostarczanych im informacji. W ciągu tysiąca lat ani razu nie zawiedli. Rozwiązanie problemu zajmuje im zazwyczaj od dwóch do trzech minut, nigdy nie dłużej niż godzinę.

– Bardzo dobrze pamiętam waszych Ojców Miasta – stwierdził Miramon, jedynie krótkotrwałym uniesieniem brwi dając wyraz swojemu podziwowi dla rzeczy, które jeszcze całkiem niedawno graniczyły dla niego z cudem. – Najważniejszym parametrem, jaki trzeba byłoby uwzględnić, jest dokładna wartość energii tamtego drugiego wszechświata.

– Określenie jej nie powinno być bardzo trudne – odezwał się doktor Schloss, zdziwiony, że sam nie pomyślał o tym wcześniej. – Musi być pochodną wartości energii naszego wszechświata. Pan burmistrz ma rację, twierdząc, że Ojcowie Miasta dostarczą panu tej informacji jeszcze zanim zakończy pan przedstawiać im swój problem. Transformaty t-tau są podstawową sprawą podczas podróży z prędkościami nadświatłymi. Jestem nawet trochę zdziwiony, że mógł pan obywać się do tej pory bez nich.

– Niezupełnie ma pan rację – odezwał się Jake. – Bez wątpliwości zależności typu t-tau po obu stronach tej bariery są podobne. Ani przez chwilę nie poddaję tego w wątpliwość, ale tu mamy do

czynienia z szesnastoma wymiarami. A zatem wzdłuż jakiej osi ma obowiązywać to podobieństwo? Czy chce pan może powiedzieć, że zależności w czasie t i w czasie τ obowiązują w jednakowy i transformowalny sposób wzdłuż każdej z szesnastu osi? Nie może pan tego twierdzić, o ile nie chce pan mieć do czynienia z takim samym, tylko podwojonym systemem, który w czasie t wymagałby uwzględnienia monobloku, bo to przecież jest beznadziejne. Przynajmniej beznadziejne dla nas, ponieważ zostało nam bardzo mało czasu. Roztrwonilibyśmy go na ściganie liczb, które nieustannie by malały. Równie dobrze moglibyśmy kazać Ojcom Miasta wyrazić liczbę π za pomocą ułamka skończonego.

– Przyznaję się do błędu – powiedział doktor Schloss głosem, w którym wisielczy humor mieszał się z zakłopotaniem. – Ma pan rację, panie Miramon. Istnieje przecież nieciągłość, która z tej teorii nie wynika. Jakie to nieeleganckie.

– Elegancja może poczekać – stwierdził Amalfi. – A swoją drogą, dlaczego poznanie wartości energii tamtego wszechświata jest takie ważne? Doktorze Schloss, pana grupa marzyła kiedyś o zbudowaniu przedmiotu z antymaterii. Czy nie moglibyśmy go wykorzystać i wysłać w charakterze sondy badawczej do tamtego wszechświata?

– Niestety, nie – odparł Schloss natychmiast. – Zapomina pan, że taki obiekt musiałby pokonać barierę czasu. Trzeba by znaleźć jakiś sposób, aby złożyć go w czasie po dokonaniu takiego eksperymentu. W chwili przeprowadzania doświadczenia, gdy ujrzelibyśmy go po raz pierwszy, znajdowałby się już w stanie co najmniej zaawansowanego rozkładu. Potem zaś przekształcałby się do postaci, w jakiej go zbudowaliśmy. Żadne dane, jakie moglibyśmy w ten sposób uzyskać, nie ujawniłyby nam nic oprócz tego, jak antymateria zachowuje się w świecie materialnym. Nie powiedziałyby nam niczego o wszechświecie, w którym antymateria jest czymś normalnym. – Po dłuższej chwili namysłu dodał: – Poza tym, realizacja takiego przedsięwzięcia zajęłaby co najmniej sto lat, a raczej dwieście. W takiej sytuacji ja też wybieram grę w pokera.

– A ja nie – oświadczył nieoczekiwanie astronom. – Uważam, że w zasadzie pan Amalfi ma rację. Choć wydaje się to bardzo trudne, musimy wysłać coś w rodzaju sondy, która przeszłaby przez obszar nieciągłości. Zgadzam się natomiast z opinią, że budowa obiektu z antymaterii mija się całkowicie z celem. Ta rzecz, którą byśmy wysłali, nie powinna być ani antymaterialna, ani materialna. Powinna być zbudowana z tego, co będzie można uzyskać z tak zwanej Ziemi Niczyjej.

Wiele lat temu nauczyłem się obserwować duże odległości, bez żadnej gwarancji, czy cokolwiek ujrzę. Umiem to robić całkiem nieźle. Nie sądzę, byśmy mieli uważać zbudowanie takiej sondy za niemożliwe. Doktorze Schloss, co pan o tym myśli? Jeśli pan i pana naukowcy chcą zrezygnować z budowy obiektu z antymaterii na rzecz gry w pokera, to może zgodzi się pan popracować dla mnie? Mnie przydałoby się pana doświadczenie, a panu mój punkt widzenia tych spraw. Moglibyśmy razem zbudować sondę i zebrać potrzebne nam informacje. Panie Miramon, nie mogę panu obiecać niczego...

– ...poza nadzieją, jaką sam pan żywi – dokończył Miramon, a oczy mu zabłyśły. – Od pana usłyszałem to, co chciałem. Usłyszałem głos mądrości i pamięci Ziemi. Zapewnimy panu wszystko, co w naszej mocy. Na początek oddamy do dyspozycji całą naszą planetę. O wszechświat, obydwaj wszechświaty i cały niewyobrażalnie wielki metawszechświat będzie pan musiał zatroszczyć się sam. O ile nas pamięć nie myli, zawsze miał pan bardzo wielkie ambicje. – Sposepniał. – A my będziemy pana wyznawcami, tak jak byliśmy nimi zawsze. Niech pan tylko uczyni pierwszy krok. O nic więcej pana nie proszę.

Z oczu ludzi zebranych wokół stołu nakresowego Amalfi wyczytał poparcie. W tym przypadku milczenie oznaczało taką aprobatę, jakiej często potrzebował od słuchaczy na Nowej Ziemi.

– Panowie – powiedział powoli – mam wrażenie, że pierwszy krok został już zrobiony.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Fabr-Suithe

Na zboczu hewiańskiego wzgórza panował upał, choć było już popołudnie. Planeta He okrążała właśnie większe słońce Cefeidów w bezpiecznej odległości trzydziestu pięciu jednostek astronomicznych. Oznaczało to, że odległość planety od tej gwiazdy była równa trzydziestu pięciu odległościom Ziemi od Słońca. Większe słońce Cefeidów miało średnią absolutną wielkość równą plus jedności, a czas obiegu He wokół niego wynosił osiem dni. W ciągu tego okresu planeta to zbliżała się, to znów oddalała od źródła ciepła i światła. W czasie największego zbliżenia upał był trudny do zniesienia. Po upływie czterech dni, kiedy promieniowanie gwiazdy zmalało dwudziestopięciokrotnie, panował przenikliwy chłód, który aż szczypał w uszy. Nie były to idealne warunki dla planety żyjącej głównie z rolnictwa, ale Hewianie nie zamierzali pozostawać w tym miejscu przez cały okres wegetacji roślin.

Web i Estelle leżeli w nagrzanym wysokiej trawie rosnącej na zboczu i odpoczywali. Zwłaszcza Web był z tego odpoczynku bardzo zadowolony. Ranek tego dnia zaczął się dla nich od zwiedzania Fabr-Suithe, największego pomnika na He upamiętniającego je przeszłość. Fabr-Suithe było w chwili obecnej ośrodkiem niczym nie skażonej myśli filozoficznej. Jak się później okazało, było też jedynym miejscem, które i dorośli i dzieci mogli zwiedzać samodzielnie.

Tego ranka ich ciekawość została zaspokojona w niespodziewany, chociaż logiczny sposób. Web i Estelle stwierdzili, że Fabr-Suithe stanowiło jedno z niewielu miejsc na He, w którym mogły przebywać bez opieki również dzieci Hewian. Wszędzie indziej znajdowało się zbyt wiele urządzeń ważnych dla podtrzymywania życia na planecie. Hewianie nie pozwalali, aby dzieci bawiły się w ich pobliżu. Dysponując tak małą liczbą ludzi, nie mogli narażać ich na żadne niebezpieczeństwa.

Gdy Web i Estelle dowiedzieli się o tym, że będą mogli sami udać się na zwiedzanie miasta, przywdziali hewiańskie stroje podobne do chitonów. Przebranie nie pomogło na długo. Już wkrótce zostali rozpoznani, ponieważ znali niewiele słów hewiańskiej mowy. Większość dorosłych Hewian posługiwała się językiem będącym mieszaniną angielskiego, uniwersalnego i rosyjskiego, beche-dermer dalekiej przestrzeni, którego nauczyli się dawno temu od wędrowców. Ale Web i Estelle tego języka nie znali. Ta bariera lingwistyczna, chociaż trochę dokuczliwa, miała też swoje dobre strony. Zapobiegła szczegółowemu wypytywaniu ich przez Hewian o takie sprawy jak ich świat, pochodzenie oraz przeszłość. Już po krótkim czasie od spotkania z miejscowymi dziećmi bawili się z nimi w skomplikowaną zabawę zwaną matrix. Było to połączenie znanego im dobrze berka, gry w warcaby i gry w wilka i owce. Utrudnienie stanowił jedynie fakt, że używano do niej trzech wymiarów. Bawiono się na terenie dwunastopiętrowego budynku, który miał przezroczyste podłogi. Dzięki temu wszyscy uczestnicy mogli dobrze widzieć pozostałych. W środkowej części budynku znajdował się niewielki wirator i kilka rozmieszczonych wokół niego szybów, które umożliwiały szybkie przenoszenie się z jednego poziomu na drugi. W umyśle Weba już wkrótce zrodziło się przekonanie, że cały ten budynek z poliniowanymi i przezroczystymi podłogami został wzniesiony tylko jako teren zabaw. Wyglądał na całkowicie opuszczony, a przynajmniej nie było w nim nic takiego, co mogło być wykorzystane w inny sposób.

Na początku zabawa sprawiała Webowi dużo satysfakcji, ale już wkrótce okazała się trochę kłopotliwa. Zazwyczaj pierwszy wypadał z gry. Gdyby nie dokonana naprędce zmiana reguł, byłby niezmiennie najgorszy, a i później powodziło mu się niewiele lepiej.

Estelle natomiast radziła sobie tak dobrze, jakby nigdy nie bawiła się w nic innego. Już po niecałej godzinie jej szczupła, koścista i przypominająca chłopięcą postać przemykała się zgrabnie

i wdzięcznie między sylwetkami innych biorących w niej udział dzieci. Kiedy więc ogłoszono przerwę na obiad, zadyszany i trochę zawstydzony Web skorzystał szybko z okazji. Oddalił się na podmiejskie wzgórze i rozciągnął w wysokiej trawie, porastającej jego przeciwległe zbocze. Za nim pobięła Estelle.

– Są mili. Lubię ich – powiedziała do niego.

Wsparta na łokciu, spoglądała w zadumie na srebrzysto-zielony owoc o wielkości ziemskiego melona, jaki wręczył jej jeden z hewiańskich chłopców zapewne w charakterze nagrody. Wbiła zęby w mięsistą skórę, ale w tej samej chwili dał się słyszeć przeciągły cichy syk i powietrze wokół nich napełniło się aromatem tak niewiarygodnie pikantnym, że Estelle kichnęła aż pięć razy z rzędu. Web, słysząc to, wybuchnął śmiechem, ale po chwili i on kichał jak najęty.

– Oni za to nas kochają – stwierdził, ocierając oczy. – Radziłaś sobie tak dobrze, że dali ci owoc wypełniony gazem kichającym po to, żebyś więcej się już nie bawiła.

Po kilku chwilach zapach rozwiany podmuchem lekkiego wiatru stał się mniej intensywny. Estelle wzięła owoc i przełamała na pół. Nic więcej się nie wydarzyło. Woń była już teraz możliwa do zniesienia, a po kilku następnych chwilach zniknęła prawie całkowicie. Ovoc okazał się bardzo smaczny. Estelle wręczyła Webowi połówkę. Odgryzł większy kawałek białego mięszu niż zamierzał. Przymknął oczy z zachwytu – owoc smakował jak zamrożona muzyka.

Skończyli jeść w pełnej szacunku ciszy i otarli usta, a później wyciągnęli się w lekko falującej trawie.

– Szkoda, że nie umiemy lepiej się z nimi porozumieć – odezwała się Estelle po dłuższej chwili ciszy.

– Miramon porozumiewa się z nami bardzo dobrze – odparł Web nieco sennie. – Tylko że on nie miał kłopotów z nauczeniem się naszej mowy. Skorzystał z pomocy maszyn, tak jak i my to robiliśmy, kiedy byliśmy wędrowcami. Chciałbym, abyśmy nadal mogli uczyć się w taki sposób.

– Masz na myśli hipnopedię? – zapytała Estelle. – Sądziłam, że od dawna należy do przeszłości. Przecież w ten sposób nie można się nauczyć niczego oprócz suchych faktów.

– Masz rację, tylko faktów. Ta metoda nie pozwala na naukę wyciągania wniosków. Do tego jest potrzebny nauczyciel. Ale dobra jest do nauki algebry Boole’a, w której jeden plus jeden równa się dziesięć, albo tabel z samego końca książki. Można też dzięki niej zapamiętać osiemset pięćdziesiąt najpotrzebniejszych słów z języka, którego masz zamiar się nauczyć. To zajmowało kiedyś tylko pięćset godzin, a przez cały ten czas znajdowałaś się w stanie hipnozy. Wtłaczano w ciebie całą wiedzę za pomocą sprzężenia elektroencefalograficznego, migawkowych obrazków, ciągłego powtarzania i sam nie wiem, czego jeszcze.

– To zbyt proste – odrzekła Estelle także sennym głosem.

– Proste rzeczy powinny być zawsze proste – stwierdził Web. – Jaki jest sens uczenia się ich na pamięć? To przecież pochłania niesamowicie dużo czasu. Jeśli wiesz, że do nauczenia się czegoś potrzebujesz dziesięciu powtórzeń, a innym potrzeba na to trzydziestu, to przez dwadzieścia ostatnich siedzisz i się nudzisz, bo nie są ci potrzebne. Uważam to za stratę czasu, który można byłoby spożytkować w lepszy sposób. I tego w szkole nienawidzę.

Nagle Web uświadomił sobie, że słyszy jakiś dziwny odgłos dobiegający od strony szczytu wzgórza. Wiedział wprawdzie, że na He nie było żadnych groźnych zwierząt, ale zdał sobie sprawę z tego, że słyszy ten dźwięk już od pewnego czasu. Pomyślał, że być może jego wyobrażenie o groźnym zwierzu jest inne niż u Hewian. Miał nadzieję, że dałby sobie radę z intruzem, nawet gdyby miał to być tygrys. Zerwał się na równe nogi.

– Nie bądź śmieszny – odezwała się Estelle, nie otwierając nawet oczu. – Przecież to tylko

Ernest.

Svengali pojawił się na szczycie wzgórza i ruszył ku nim przez wysoką trawę, wyginając się w dziwaczne łuki. Spojrzał tylko przelotnie w stronę Weba, ale za to na Estelle popatrzył pełnym wyrzutu wzrokiem zdradzonego ulubieńca. Spoglądał na nią dość długo, jak gdyby miał nadzieję, że Estelle dostrzeże i doceni jego oddanie i przywiązanie. Widząc to, Web stłumił w sobie chęć wybuchnięcia śmiechem. Nie mógł przecież obwiniać tego bezmyślnego stworzenia za to, że nie znalazło innego sposobu podążania za Estelle, jak tylko wiernie powtarzając jej wszystkie ruchy. Matrix przekraczał jego umiejętności, toteż nie było nic śmiesznego w tym, że svengali zdołał dogonić swoją panią dopiero teraz. I tak zresztą miał wielkie szczęście, że żadne z bawiących się dzieci nie uznało go za jednego z uczestników. Wówczas bowiem biedny Ernest byłby najgorszym graczem do – Web pomyślał z niejakim niepokojem – końca świata.

– Czy nie sądzisz, że moglibyśmy spróbować tego teraz? – odezwał się do Estelle.

– Czego? Hipnopedii? – zapytała. – Nie pozwoliłaby ci na to twoja babcia.

– Ale jej tutaj nie ma – odparł.

– Nie, ale wkrótce będzie – powiedziała Estelle. – A ona jest przecież kuratorem na Nowej Ziemi. Kiedy byłam dzieckiem, słyszałam, jak kłóciła się z moim ojcem. Zarzucała mu, że musiał postradać zmysły. Pytała go, w jakim celu uczy mnie matematyki i historii. Nie wierzyła, żeby mogło się to przydać komuś, kto być może będzie musiał orać ziemię na jakiejś zapadłej dziewczęcej planecie. Po tej kłótni mój biedny tata przez kilka dni się jękał.

– Ale jej tutaj nie ma – powtórzył z uporem Web, niechętnie okazując, jak bardzo jest rozdrażniony.

Właśnie zdał sobie sprawę z tego, że Estelle z zamkniętymi oczami i twarzą opromienioną blaskiem słońca wygląda piękniej niż kiedykolwiek przedtem. Uświadomił sobie, że nie potrafi powiedzieć ani słowa więcej.

W tej samej chwili svengali wydedukował widać, że jego długotrwałe i ufne wpatrywanie się w Estelle nie przyniesie pożądanego skutku. Doszedł także do ładu ze swoimi rozproszonymi włóknami nerwowymi, których używał – chociaż nieporadnie – w zastępstwie mózgu. Jedna z jego długich macek, która przez cały czas przesuwiała się powoli w stronę porzuconej skórki od melona, musiała przesłać do systemu nerwowego informację o pikantnym zapachu, teraz już ledwo wyczuwalnym.

Cała reszta Ernesta przemieściła się w stronę tej właśnie macki i owinęła się wokół skórki. Potem zaś, cały czas nie wypuszczając zdobyczy z objęć, svengali stoczył się po zboczach wzgórza jak piłka. Tocząc się, wydał dziwny świszczący odgłos świadczący o jego przerażeniu. Webowi włosy zjeżyły się na głowie. Po raz pierwszy dzieci usłyszały, jak svengali wydaje jakieś dźwięki. Ernest w tym czasie, wciąż owinięty wokół skórki, wpadł z pluskiem do małego strumyka, który płynął u stóp wzgórza, i wkrótce zniknął im z oczu, unoszony prądem wody.

– Wzywał cię na pomoc – powiedział Web.

– Wiem. Słyszałam. On jest taki głupi. Ale wróci. Twoja babcia zresztą też się pojawi. Burmistrz, Miramon, doktor Schloss i pozostali postanowili przenieść się na planetę He z powodu tych wszystkich spraw, nad jakimi pracują. Musieli więc wysłać sygnał na Nową Ziemię, aby przyleciał stamtąd ktoś, kto mógłby się nami opiekować. Nie mogą dopuścić do tego, abyśmy przebywali na obcej planecie pozostawieni wyłącznie samym sobie.

– Może i nie mogą – przyznał z oporami Web, zastanawiając się przez chwilę nad otrzymaną informacją. Stwierdził, że to mogła być prawda. – Ale dlaczego musi to być właśnie moja babcia?

– Bo mój tata nie może przyjechać – odparła Estelle. – Musi zostać na Nowej Ziemi i zajmować

się tym samym problemem, jakim zajmują się wszyscy tutaj. Twój dziadek też nie, bo od kiedy burmistrz Amalfi przyleciał tu razem z nami, on jest burmistrzem Nowej Ziemi. Nie sędzę też, aby mogła to być moja matka, bo oni tutaj nie są filozofami i moja matka mogłaby narobić na He więcej bałaganu niż my. Jeśli zamierzają tu przysłać z Nowej Ziemi kogoś, żeby się nami opiekował, to będzie to twoja babcia.

– Tak, chyba masz rację – przyznał Web. – Z pewnością będzie chciała ukrócić nam trochę cugli.

– Zrobi coś jeszcze gorszego – powiedziała Estelle głosem pełnym rezygnacji. – Zabierze nas z powrotem.

– Tego nie może nam zrobić!

– Owszem, może. Nie będzie widziała w tym nic złego. Dorośli tak właśnie patrzą na niektóre sprawy.

– To niesprawiedliwe! – wybuchnął Web. – Takie coś, to po prostu zdrada. Nie może przylecieć na He rzekomo po to, aby się nami opiekować, a w rzeczywistości chce zabrać nas do domu.

Estelle nie odpowiedziała. Po chwili Web uświadomił sobie z pewnym zaskoczeniem, że na jego twarz padł jakiś cień. Otworzył oczy i ujrzał tego samego hewiańskiego chłopca, który wręczył Estelle melon. Chłopiec stał teraz nad nimi w pozie pełnej szacunku, nie chcąc przeszkadzać w rozmowie. Jego wzrok świadczył jednak niedwuznacznie, że gotów jest podjąć zabawę, kiedy tylko stanie się to możliwe. W pewnej odległości za jego plecami stało kilkoro innych hewiańskich dzieci. Wszyscy spoglądali na nich bardzo ciekawie, zastanawiając się zapewne, co teraz robią obcy i ich dziwny zwierzak, ale zostawili inicjatywę swojemu przywódcy.

– Czeszcz – odezwała się Estelle na ich widok i usiadła.

– Cześć – odpowiedział z wahaniem Hewianin. – Chcecie jeszcze?

Przez chwilę wydawał się bardzo zmieszany. Potem, starając się zachowywać naturalnie, usiadł obok nich na ziemi i powiedział:

– Wy teraz jesteście odpoczęci. Chcecie jeszcze? Zagramy w jeszcze? Zgoda?

– Ja mam już dosyć – odrzekł Web niemal oburzony tą propozycją. – Matrix później. Może jutro. Może jeszcze później. Zgoda?

– Nie, nie – odparł na to hewiański chłopiec. – Nie matrix. To inna gra. My wszyscy gramy w nią siedząc. My nazywamy ją kłamaniec.

– Ach, tak. A jak w nią grać?

– Gra się po kolei. Każdy opowiada historię. To musi być długa historia, ale bez prawdy. Inni gracze to sędziowie. Przydzielają punkt za to, co wyda im się prawdziwe. Ten, który uzyska jak najmniejsze punkty, jest zwycięzcą.

– Nie zrozumiałam w tym wszystkim co najmniej pięciu najważniejszych wyrażen – powiedziała Estelle do Web. – Powiedz mi, o co właściwie chodzi?

Web wyjaśnił jej najlepiej, jak potrafił. Jego umiejętność posługiwania się językiem Hewian była ograniczona, ale uczył się go bardzo szybko i potrafił zrozumieć ogólny sens zdania, zwłaszcza kiedy wypowiedano je powoli. Było całkiem możliwe, że i on nie zrozumiał pięciu najważniejszych wyrażen, ale domyślił się ich znaczenia z sensu całej wypowiedzi. Estelle, która zapewne usiłowała tłumaczyć słowa młodego Hewianina jedno po drugim, zamiast starać się najpierw zrozumieć, o co chodzi, poradziła sobie trochę gorzej.

– Ach, rozumiem – powiedziała w końcu. – Ale jak mają zamiar punktować różne rodzaje prawdy? Jeśli w moim opowiadaniu słońce będzie wschodziło o poranku i powiem im też, że noszę

ten, jak mu tam, chiton, to czy przyznają mi po jednym punkcie za każdą taką prawdę?

– Spróbuję ich o to zapytać – odrzekł Web z powątpiewaniem w głosie. – Nie jestem tylko pewien, czy znam wszystkie rzeczowniki, jakie mi są potrzebne.

Zwrócił się z pytaniem do Hewianina, używając wyrażeń trochę bardziej abstrakcyjnych od tych, jakich zamierzał użyć. Chłopiec jednak uchwycił nie tylko sens pytania, ale także dopowiedział sobie brakujące rzeczowniki.

– Osądzi zespół sędziów – odpowiedział Webowi. – Są pewne reguły. Chiton to mała sprawa, mała prawda, a więc kosztuje tylko jeden punkt. Wschód słońca na planecie takiej jak Nowa Ziemia to prawo natury, które może kosztować aż pięćdziesiąt. Ten sam wschód słońca na planecie takiej jak He, co swobodnie porusza się w przestrzeni, może być tylko częściowo prawdą i kosztuje dziesięć. Może być także jawne kłamstwo i wtedy nic nie kosztuje. To zależy. Dlatego mamy sędziów.

Web musiał mu powiedzieć, co zrozumiał, używając, rzecz jasna, znacznie prostszych wyrażeń, a później powtórzył to samo kolejny raz Estelle. Aby wszystko stało się jeszcze bardziej oczywiste, poprosił Hewian, aby zaczęli pierwsi. Chciał razem z Estelle zapoznać się z tymi rodzajami kłamstw, które cieszyły się u nich największym powodzeniem. Obydwoje pragnęli się też dowiedzieć, w jaki sposób sędziowie karzą graczy za nieumyślne powiedzenie prawdy.

Pierwsze dwie opowiedziane przez miejscowe dzieci historie upewniły Webę i Estelle, że nie mają się o co martwić. Zarówno sposób sędziowania jak i same opowieści przekonały ich, że Hewianie nie byli obdarzeni bujną wyobraźnią. Trzecim graczem okazała się dziewięcioletnia dziewczynka. Od jakiegoś czasu nie mogła wprost wytrzymać, czekając na swoją kolej i szansę opowiedzenia historii. Ta zaś zaskoczyła wszystkich całkowicie. Gdy udzielono jej głosu, dziewczynka niemal natychmiast zaczęła:

– Dzisiaj rano zobaczyłam list. Adres na liście był Cztery. List miał nogi, a na nogach buty. Został przesłany rakieta, ale przez całą drogę szedł pieszko. Chociaż było na nim napisane cztery, to stanowi potrójny kłopot – zakończyła z triumfem w głosie.

Po jej słowach zapadła długa, pełna zakłopotania cisza.

– To wcale nie wygląda mi na żadne kłamstwo – odezwała się Estelle do Webę, przechodząc nieświadomie na język Nowych Ziemi. – To brzmi bardziej jak łamigłówka.

– To nie było uczciwe – ostro napominał dziewięcioletką młody przywódca Hewian. – Nie wyjaśniliśmy im do końca wszystkich reguł.

Zwrócił się w stronę Webę i Estelle.

– Inna odmiana tej samej gry polega na opowiedzeniu historii, która jest prawdziwa, ale wygląda i brzmi jak kłamstwo. W tej innej odmianie sędziowie przydzielają punkty karne za kłamanie, o ile cię na tym złapią. Jeśli nie uda im się ciebie złapać, to znaczy jeśli opowiesz doskonałą prawdę, to wygrasz nawet z tym, kto opowie najdoskonalsze kłamstwo. Ale Pyłą zrobiła nieładnie, przechodząc do tej odmiany, zanim ją wam wyjaśniliśmy.

– Spróbuję i ja – odezwał się Web poważnie. – Czy naprawdę to być ten poranek? Jeśli tak, to my o tym powinni być wiedzieć, ale my nie wiedzieć.

– Ten poranek – potwierdziła Pyłą, broniąc opowiedzianej historii wobec oczywistej nagany, jaka malowała się w oczach jej kolegów. – Was wtedy tam już nie było. Ja widziałam jak wy wychodziliście.

– Skąd możesz wiedzieć o tym wszystkim? – spytał ją Web.

– Ja kręciłam się w pobliżu – odparła dziewczynka, po czym niespodziewanie zachichotała. – Poza tym słyszałam wszystko, o czym ze sobą mówiliście. Słyszałam was z drugiej strony wzgórza.

Ponieważ druga część zdania była wypowiedziana płynnie w języku wędrowców, chociaż

z hewiańskim akcentem, nie było potrzeby zadawania dalszych pytań.

Web zazwyczaj nie odnosił się do dziewcząt ze szczególną galanterią, ale tym razem obdarzył Pylę jednym ze swoich najbardziej uprzejmych uśmiechów.

– W takim razie – powiedział uroczyście – uznaję twoją wygraną. Z całego serca dziękujemy ci za tę wiadomość. To dla nas bardzo dobra nowina.

Nie zdążył się zorientować, czy był w stanie wyrazić to, co zamierzał, czy też powiedział coś całkiem innego, być może zupełnie niezrozumiałego, gdyż ku jego wielkiemu zdumieniu Pylą wybuchnęła płaczem.

– Och, och, och – szlochała. – To była moja pierwsza prawdziwa historia, jaką udało mi się opowiedzieć. A ty mnie pokonałeś, zwyciężyłeś.

Wśród sędziów zapanowała konsternacja. Po kilku chwilach Silvador, przywódca Hewian, pogłaskał delikatnie Pylę po jej bujnych włosach.

– Uspokój się i nie płacz – powiedział. – Jest akurat na odwrót. Nasz przyjaciel Web musi zostać ukarany za opowiedzenie kłamstwa.

Mrugając oczami, podał ramię Estelle, która zerwała się z ziemi jednym płynnym ruchem.

– Kara musi obejmować także naszą przyjaciółkę Estelle – dodał złowieszczo. – Musicie teraz obydwójce udać się z nami do miasta i zostanieie – przyjął pozę kata – poddani na pewien okres działaniu snu.

– Niestety, nie możemy – odrzekł Web. – Musimy już iść – dodał, także wstając.

– Proszę – nalegał Silvador. – Prawdę mówiąc, nie chodzi nam o żadną karę. Chcieliście uczyć się podczas spania. Zabierzemy was do nauczyciela. Czy nie o to pytaliście nas dzisiaj rano? Pylą ma dwie godziny wolnego czasu. W ciągu tych dwóch godzin nauczycie się języka Hewian i będziecie mogli porozumiewać się z nami bez trudu.

– Ale kiedy skłamaliśmy? – dopytywała się Estelle, a w jej oczach pojawiły się figlarne błyski.

– Web powiedział, że to dobra nowina – odparł Silvador poważnie. – To, że wasza przyjaciółka Dee przyleciała na planetę. Wypowiedział oczywiście kłamstwo na temat czegoś, co jest niezaprzeczalnym faktem. Takie kłamstwo kosztuje pięćdziesiąt punktów.

Dwoje Nowych Ziemiaków spojrzało sobie w oczy.

– Och, niech to licho porwie – odezwał się nagle Web. – Chodźmy i miejmy to za sobą. Wkrótce i tak trzeba będzie spotkać się z Dee.

Dee wybuchnęła jak niespodziewanie odbezpieczony granat.

– Co ty, na wszystkie czarne dziury, sobie myślisz, John? – zapytała. – Skąd możesz mieć pojęcie o tym, czego tutaj uczą za pomocą hipnopedii? Jak mogłeś pozwolić dzieciom poruszać się po obcej planecie bez opieki, nie wiedząc, co mogą zrobić im te dzikusy?

– Niczego nam nie zrobili... – oburzył się Web.

– Hewianie nie są dzikusami... – zaprotestował Amalfi.

– Sama wiem, kim są Hewianie. Byłam tutaj przecież kiedyś z tobą. I uważam za karygodne, że pozwoliłeś tym dzikusom eksperymentować na umysłach dzieci. Albo jakichkolwiek innych cywilizowanych istot.

– A po czym ty rozpoznajesz, czy ktoś jest cywilizowany? – zapytał ją Amalfi, chociaż wiedział, że to retoryczne, a może i złośliwe pytanie.

Zdawał sobie sprawę z tego, że Dee była wciąż tą samą dziewczyną, którą ujrzał po raz pierwszy w czasie walk z księstwem Gortu o Utopię. Była tą samą ukochaną kobietą, obdarzoną tym samym fizycznym powabem, który będzie oddziaływał na niego aż do – bliskiego już teraz – końca świata. Nie dało się jednak ukryć faktu, że wraz z biegiem czasu się starzała, lecz jak można było

przypomnieć kobiecie o czymś takim?

Dla Hewian, podobnie jak dla dzieci, zbliżający się koniec świata był tylko nowym przeżyciem. Inaczej podchodzili do tego Dee, Mark, Amalfi i wszyscy byli wędrowcy nauczeni doświadczeniem wielu setek lat życia. Mając przed sobą perspektywę dwóch różnych form materii unicestwiających się w ognistym uścisku, Dee nie zastanawiała się nad sposobem, w jaki można byłoby temu zapobiec, traktując to wydarzenie jako coś nieuniknionego.

Sam Amalfi nie chciał zresztą dać wiary, że wydarzy się coś tak ostatecznego. Podobnie jak Dee nie chciała przyjąć do wiadomości faktu, że dzieci nauczyły się mówić językiem Hewian. U obydwojga występowały więc wszystkie oznaki wiekowości. Lekki wciąż jeszcze działały; fizycznie pozostawali wciąż młodzi, ale umysły ich starzały się coraz bardziej i na to nie mogli nic poradzić.

Na dłuższą metę nie da się jednak oszukać ani czasu, ani gradientu entropii. Nie istniała także inna nadzieja oprócz tej, jaką można było pokładać w dzieciach i Hewianach. Poznaczony bliźniakiem toczącego go raka król Budapesztu i całej akolitańskiej dżungli, kiedy Amalfi spotkał go i pokonał, miał tyle lat, ile burmistrz w tej chwili. Już wtedy opanowała go jego idee fixe. Fizycznie pozostawał jeszcze sprawny, ale umysł przestawał funkcjonować racjonalnie.

Istnieją tylko dwa sposoby podejścia do nieuchronnej śmierci. Można albo przyjąć ten fakt do wiadomości i umrzeć, albo przeczyć mu do samego końca. Zaprzeczanie, że problem śmierci istnieje, jest dziecinadą albo oznaką starczej demencji. Oznacza brak umiejętności pogodzenia się z czymś oczywistym, co świadczy o zamieraniu ludzkiej dojrzałości. Amalfi uzmysłowił sobie, że w porównaniu z nim samym rozsądniej zaczynają się zachowywać dzieci lub dzikusy. Pomyślał, że musi pogodzić się z tym faktem i dobrowolnie zejść ze sceny w sposób jak najbardziej godny. W przeciwnym wypadku on, tytułarny przywódca, zostanie pogrzebany jeszcze zanim umrze.

Dee, rzecz jasna, nie zadała sobie trudu udzielenia odpowiedzi na pytanie Amalfiego. Stała tylko w milczeniu z ponurym wyrazem twarzy. I tak zresztą ich rozmowa była prowadzona sotto voce. Wszyscy zgromadzeni w sali obrad wielkiej rady Hewian byli pochłonięci w tym czasie obliczeniami ilości promieniowania gamma, jakie wytworzy się podczas przenikania się obydwu wszechświatów. Próbowali także ustalić, ile z tego promieniowania przekształci się w jeden albo drugi rodzaj materii w chwilę po dojeździe do kolizji. Dee musiała przecisnąć się przez salę, by dostać się do Weba i Estelle, którzy zostali zaakceptowani przez naukowców jako milczący świadkowie trwającej burzy mózgow.

– Nie przekonuje mnie cała ta argumentacja – mówił Retma. – Doktor Schloss zakłada, że znaczna część energii wyzwoli się w postaci szumu. Uważa, że spotkanie obu wszechświatów odbędzie się w analogiczny sposób jak zderzenie dwóch czyneli. Aby przyjąć tę hipotezę, należałoby założyć, że stała Plancka ma w przestrzeni Hilberta taką samą wartość, a na to w chwili obecnej nie ma nawet cienia dowodu. Nie można przecież przyłożyć gradientu entropii pod kątem prostym do reakcji, która po obu stronach zależności zawiera entropie o przeciwnych znakach.

– Ależ dlaczego nie można? – zapytał doktor Schloss. – Po to właśnie jest przestrzeń Hilberta: aby umożliwić wybór osi współrzędnych do takiej operacji. Jeżeli ma się taki wybór, to cała reszta jest tylko zwykłym ćwiczeniem z dziedziny geometrii rzutowej.

– Temu nie przeczę – przyznał niechętnie Retma. – Kwestionuję jedynie stronę aplikacyjną tego zagadnienia. Nie dysponujemy żadnymi danymi, które by wskazywały, że podchodzenie do problemu w taki sposób byłoby czymś więcej niż właśnie tylko ćwiczeniem. I nawet nieistotne jest, czy będzie to ćwiczenie proste, czy skomplikowane.

– Myślę, że powinniśmy już wyjść – odezwała się Dee. – Web, Estelle, chodźcie ze mną.

Przeszkadzacie tutaj, a jest wiele spraw do załatwienia.

Jej przenikliwy sceniczny szept wdarł się przykrym zgrzytem w dyskusję naukowców i spowodował więcej zamieszania, niż jakakolwiek uwaga wypowiedziana normalnym głosem. Na twarzy doktora Schlossa pojawiła się irytacja. Twarze Hewian przez chwilę nie wyrażały żadnych uczuć. Później Miramon odwrócił się i marszcząc czoło spojrział najpierw na Amalfiego, a potem na Dee. Amalfi skinął głową, nie ukrywając zakłopotania.

– Czy naprawdę musimy już iść, babciu? – zaprotestował Web. – Przecież to, w czym tutaj uczestniczymy, jest dla nas bardzo ważne. Estelle jest świetna z matematyki. Od czasu do czasu pan Retma albo doktor Schloss zwracają się do niej z prośbą, aby podała im hewiańskie odpowiedniki dla naszych wyrażen i określeń.

Dee zamyśliła się przez chwilę.

– No, dobrze – powiedziała. – Sądzę, że nie będzie to ze szkodą dla nikogo.

To była odpowiedź najgorsza ze wszystkich możliwych, a Web w żaden sposób nie mógł się spodziewać, że usłyszy ją właśnie z ust swojej babki. Nie wiedział o tym, o czym wiedział Amalfi, że kiedyś na planecie He kobiety traktowano nie lepiej niż niewolników. Prawdę mówiąc, traktowano je o wiele gorzej, uważając za coś pośredniego między demonami a budzącymi wstręt płazami. Web nie mógł także wiedzieć, że i w obecnych czasach hewiańskie kobiety były całkowicie podporządkowane woli mężczyzn. W żadnym razie nie mogły więc sobie pozwolić na tego rodzaju nietaktowne uwagi.

Amalfi nie widział żadnego sposobu na to, aby wytłumaczyć Webowi – i Estelle także – dlaczego obydwójce muszą teraz odejść. Dzieci nie wiedziały przecież prawie nic na temat charakteru Dee. Amalfi musiałby im ujawnić, że w jej oczach współczesne kobiety hewiańskie były co prawda wyemancypowane, ale nie wyzwolone. Ta subtelna różnica okazała się dla Dee bardzo ważna – tym ważniejsza, że Hewianki sprawiały wrażenie zadowolonych ze swego losu.

Miramon złożył swoje papiery, wstał od stołu i zachowując powagę podszedł do dzieci i ich opiekunki. Dee spoglądała na niego podejrzliwie; Amalfi to rozumiał, chociaż uważał za trochę śmieszne.

– Jesteśmy zaszczytzeni pani obecnością w naszym gronie, pani Hazleton – odezwał się Miramon i lekko skinął głową. – Wiele naszych osiągnięć zawdzięczamy tylko pani. Sądzę, że pozwoli mi pani wyrazić swoją wdzięczność. Moja żona i inne kobiety spodziewają się, że zechce pani wyświadczyć im taki sam zaszczyt.

– Dziękuję bardzo, ale ja... Ja naprawdę nie...

Musiała przerwać, usiłując sobie przypomnieć w ułamku sekundy to wszystko, kim była, co znaczyła i gdzie przebywała wtedy, kiedy pozostawała jeszcze – czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie – kimś zupełnie innym. To właśnie jej zasługom należało przypisać emancypację hewiańskich kobiet. Amalfi był wtedy bardzo wdzięczny za tę cenną pomoc. Emancypacja okazała się bowiem czynnikiem decydującym w krwawej walce o władzę na planecie, a zarazem konieczna dla przetrwania Nowego Jorku. To ostatnie było w tamtych czasach tak istotne i nie podlegające dyskusji, jak wola przeżycia samych ludzi. Teraz zaś przetrwanie miasta nie miało większego znaczenia niż pozbawiony sensu i dawno przebrzmiały slogan w rodzaju: „Pamiętajcie o Bastylji”, „Mason, Dixon, Nixon i Yates” czy „Gwiazdy muszą być nasze”.

Dee zetknęła się z hewiańskimi kobietami w owych czasach, kiedy były jeszcze cuchnącymi, niemytymi stworami trzymanymi przez Hewian w ceremonialnych klatkach. Może jakiś gest Miramona przypominał jej tamte czasy. Możliwe, że nawet poczuła się jak zamknięta w jednej z takich klatek z otaczającym ją wszechobecnym brudem. Ale tamto należało do przeszłości,

a Miramon zwrócił się do niej tak uprzejmie, że nie mogła uznać jego słów za obraźliwe. Popatrzyła bezradnie na Amalfiego, lecz wyraz jego twarzy się nie zmienił. Znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie może spodziewać się pomocy z jego strony.

– Dziękuję panu – powiedziała zrezygnowanym głosem. – Web, Estelle, czas już na nas.

Web popatrzył na Estelle, nieświadomie naśladowując gest Dee, szukającej pomocy u Amalfiego, ale Estelle już wstawiała od stołu. Amalfiemu wydało się jednak, że dziewczynka uśmiecha się z niejaką pogardą. Nie wątpił, że przysporzy Dee niejednego kłopotu. Twarz Weba natomiast zdradzała niedwuznacznie, że jest zakochany. Amalfi pomyślał, że przynajmniej on nie będzie sprawiał Dee trudności.

– Chciałbym zaproponować wszystkim – odezwał się z głośnika głos ojca dziewczynki – żebyśmy założyli brak wzajemnych termodynamicznych oddziaływań między tymi dwoma wszechświatami aż do chwili, w której nastąpi ich zderzenie. Jeśli tak miałoby być naprawdę, to nie ma żadnej możliwości zastosowania reguł symetrii, o ile nie przyjmiemy, że chwila przeniknięcia się tych dwóch wszechświatów będzie zarazem chwilą ich całkowitej neutralności, bez względu na to, jak wybuchowe może się to komuś wydać po jednej czy po drugiej stronie znaku równoważności. Przyjęcie tego założenia uważam za sensowne, tym bardziej, że pozwoli nam ono na pozbycie się stałej Plancka. Zgadzam się z panem Retmą, że w naszej sytuacji ta stała wprowadza tylko niepotrzebne komplikacje. Potem będziemy mogli uwzględnić przeciwne znaki na gruncie starej neutrinowo-antyneutrinowej teorii grawitacji Schiffa. Z tym zaś, pomimo wszystko, powinniśmy uporać się bardzo łatwo.

– Ale nie na gruncie teorii liczb Grebe’a – wtrącił się doktor Schloss.

– Ależ o to mi właśnie chodzi, panie doktorze – odparł podniecony astronom. – Liczby Grebe’a nie mają swoich odpowiedników. Można się nimi posługiwać w naszym wszechświecie i zapewne można używać ich w tamtym, ale nie mają swoich wzajemnych odpowiedników. Nam zaś potrzebna jest taka funkcja, która będzie miała swój odpowiednik po tamtej stronie. Przy braku takiej funkcji musimy przyjąć jakieś założenie, z którym będą się zgadzały wszystkie fakty, po to, aby raz na zawsze pozbyć się problemu odpowiedników. To właśnie o tym mówił nam pan Retma, o ile zrozumiałem go właściwie. Uważam, że ma rację. Jeżeli nie będziemy dysponowali równaniem równoważności, które gdziekolwiek w przestrzeni Hilberta będzie się zachowywało w absolutnie neutralny sposób, to automatycznie przyjmujemy założenie o doskonałej Ziemi Niczyjej. Jesteśmy zatem zmuszeni zacząć od początku.

Estelle zatrzymała się w drzwiach i odwróciła, spoglądając w kierunku dobiegającego ją głosu ojca.

– Tato – powiedziała – to zupełnie jak tłumaczenie matematycznych pojęć z języka hewiańskiego na ziemski. Jeżeli rzeczywiście macie do czynienia z Ziemią Niczyją, to dlaczego nie mielibyście zacząć strzelać?

– Chodź, moja droga – odezwała się Dee. Drzwi sali obrad zamknęły się za nimi.

Po tych słowach w pokoju zapadła głęboka cisza.

– Dlaczego pozwala pan, panie burmistrzu, aby te dzieci się tak marnowały? – zapytał Amalfiego Miramon. – Dlaczego postępuje pan z nimi w taki sposób? Dlaczego nie zgodzi się pan na to, aby wypełnić ich umysły faktami, których potrzebują? Wie pan przecież, jakie to proste. Sam kiedyś nauczył nas pan, jak to robić...

– U nas już przestało to być takie proste – odrzekł Amalfi. – Jesteśmy o wiele starsi od was i już nie dzielimy waszego zainteresowania tym, co stanowi istotę rzeczy. Długo trzeba byłoby tłumaczyć, dlaczego od tego odeszliśmy. Teraz myślimy o czymś całkiem innym.

– Jeśli tak sprawy wyglądają, to doprawdy nie chcę słyszeć o tym ani słowa więcej – powiedział Miramon bardzo cicho. – W przeciwnym wypadku musiałbym zmienić swoje zdanie o panu. Tego zaś nie mogę zrobić, gdyż wówczas wszyscy bylibyśmy zgubieni.

– Niekoniecznie. – Amalfi uśmiechnął się z przymusem. – Nic nigdy nie jest aż tak ostateczne. W jakim punkcie jesteśmy? Jesteśmy zaledwie na początku końca.

– Nawet gdyby wszechświat miał trwać wiecznie, panie burmistrzu – odrzekł Miramon – to i tak nigdy pana nie zrozumiem.

I w taki to sposób zdrada stała się ostatecznie faktem. Web i Estelle nigdy nie usłyszeli ostrej wymiany zdań między Amalfim i Hazletonem, jaka miała miejsce poprzez tryliony mil ziejącej pustką przestrzeni oddzielającej He i Nową Ziemię. W jej wyniku Hazleton został zmuszony nakazać swojej żonie powrót, zanim będzie mogła zantagonizować Hewian jeszcze bardziej.

Dzieci nigdy też nie były w stanie zrozumieć, dlaczego powrót Dee miał oznaczać także ich odwołanie. Po prostu odleciały, ciche i zasmucone, tylko milczeniem – jedyną bronią jaką miały – wyrażając swój sprzeciw wobec niezrozumiałej dla nich logiki świata ludzi dorosłych. W głębi duszy były przekonane, że zabroniono im pierwszej rzeczy, na jakiej im – poza własnym towarzystwem – naprawdę zależało. A czas uciekał.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dżihad

Ta rozmowa była niezwykle trudna i dla Amalfiego, pomimo wielowiekowego doświadczenia, jakie nabył podczas sprzeczek z Hazletonem. Sprzecзки te kończyły się zazwyczaj wymuszeniem posłuchu u podwładnego, o ile Amalfi nie potrafił przekonać go w inny sposób. Jednak to ostatnie starcie zrobiło na Amalfim szczególnie niemiłe wrażenie. Dobrze wiedział, że przyczyna tkwiła w beznadziejnym, późnym i bezowocnym romansie z Dee. Naprawdę uważał, że odesłanie jej do męża to konieczność. Mogło to być jednak uznane za akt zemsty wobec osoby obdarzanej kiedyś uczuciem, którego w tej chwili już nie żywił. Amalfi zdawał sobie sprawę, że czasami takie rzeczy przytrafiały się zakochanym.

Miał jednak tak dużo spraw na głowie, że wkrótce zapomniał o dzieciach i o Dee, którzy odlecieli specjalnie wezwanym statkiem. Nie dane mu było jednak zapomnieć o nich na długo. Prawdę mówiąc, mógł myśleć o czymś innym zaledwie przez trzy tygodnie.

Dyskusja na temat nadciągającego kataklizmu wkraczała ostatecznie w takie stadium, w którym nie dało się dłużej ignorować przeciwnych znaków gradientów entropii, istniejących w obydwu tych wszechświatach. Był to etap, w którym same słowa już nie wystarczały – prawdę mówiąc, można było obejść się w ogóle bez nich.

W rezultacie udział niektórych osób w dyskusji stał się po prostu symboliczny. Do tych osób należeli przede wszystkim inżynierowie i urzędnicy jak Miramon lub Amalfi oraz filozofowie, do których zaliczał się doktor Bonner. Dyskusja przeniosła się do gabinetu Retmy. Amalfi zaglądał tam, gdy czas mu pozwalał, i przysłuchiwał się prowadzonym rozmowom. Nigdy nie wiedział, kiedy Retma, Jake albo doktor Schloss zejda z niebosiężnych wyżyn fizyki i matematyki, by powiedzieć coś, co byłby w stanie zrozumieć i wykorzystać.

W gabinecie Retmy panowała tego dnia ciężka atmosfera.

– Moim zdaniem problem polega na tym – mówił Retma – że czas w naszym wszechświecie nie może płynąć do tyłu. Na przykład równanie dyfuzji można zapisać w taki sposób.

Odwrócił się do tablicy, tej odwiecznej „pomocy naukowej” fizyków teoretycznych wszystkich czasów, i napisał:

$$\frac{d^2G}{Dx^2} + \frac{d^2G}{dy^2} + \frac{d^2G}{dz^2} = a^2 \frac{dG}{dt}$$

Umieszczona nad głową mówiącego kamera skierowała swoje szklane oko na kredowe znaki, tak aby mógł zobaczyć je Jake, znajdujący się na Nowej Ziemi.

– W tej sytuacji a^2 oznacza rzeczywistą stałą, której wartość można przewidzieć jedynie dla dodatnich wartości czasu t – ciągnął Retma. – Dla ujemnych wartości nie da się tego zrobić, ponieważ wówczas równanie staje się rozbieżne.

– Dziwna sytuacja – zgodził się z nim doktor Schloss. – Oznacza, że w dowolnej sytuacji termodynamicznej dysponujemy większą wiedzą na temat przyszłości niż na temat przeszłości. We wszechświecie antymaterialnym, przynajmniej z naszego punktu widzenia, musi być całkiem na odwrót. Sądzę, że hipotetyczny obserwator, poddany działaniu tamtych praw i korzystający z tamtej energii, nie zauważyłby tej różnicy.

– Czy nie można napisać zbieżnego równania uwzględniającego czas ujemny? – dał się słyszeć

głos Jake'a. – Takiego, które opisywałoby sytuację wszechświata antymaterialnego w taki sposób, w jaki my byśmy ją widzieli, gdybyśmy tylko mogli? Bo jeśli to niemożliwe, to nie sędzę, aby udało się nam zbudować urządzenie zdolne wykryć jakąkolwiek różnicę.

– Można byłoby je napisać – odparł Retma. – Na przykład w taki sposób.

Podszedł znów do tablicy i skrzypiąc po niej kredą, napisał:

$$\begin{array}{ccccccc} d^2G & d^2G & d^2G & 4?m & dG & & \\ ---- & + ---- & + --- & = & --- & ---- & \\ Dx^2 & dy^2 & dz^2 & ih & dt & & \end{array}$$

– Ach, tak – odezwał się doktor Schloss. – Zamiast stałej rzeczywistej mamy teraz stałą urojoną. Ale to drugie równanie nie jest przecież lustrzanym odbiciem pierwszego, a więc parzystość nie zostaje zachowana. Pana pierwsze równanie przedstawia proces wyrównywania, podczas gdy drugie opisuje oscylacje. Z pewnością gradient po tamtej stronie nie ma charakteru oscylacyjnego!

– Parzystość i tak nie jest zachowana w trakcie tych słabych oddziaływań – stwierdził Jake. – Myślę jednak, że możemy uwzględnić tę uwagę. Jeżeli równanie drugie cokolwiek opisuje, to tym czymś z pewnością nie może być wyłącznie tamten wszechświat. Muszą to być obydwa wszechświaty równocześnie... cały system. Chociaż jeszcze tego nie wiemy, to zakładam, że jest on okresowy. Nie widzę jednak sposobu, jak to sprawdzić. To tak samo absolutnie niemożliwe do udowodnienia jak hipoteza Macha...

Drzwi gabinetu Retmy otworzyły się cicho i wszedł młody Hewianin. Skierował się ku Amalfiemu, który bez wahania wstał z miejsca. Naukowcy męczyli go dzisiaj swoimi wywodami bardziej niż kiedykolwiek przedtem, a poza tym brakowało mu obecności Estelle. Jej zadanie polegało na wskazywaniu mu możliwych pułapek kryjących się w wywodach Retmy. W napisanych równaniach Hewianin użył na przykład symbolu d , który w umyśle Amalfiego kojarzył się zawsze z przyrostem albo oznaczeniem wartości stałej. Retma napisał literę G , która w rozumieniu Ziemi reprezentowała na ogół stałą grawitacji. Na oznaczenie wielkości charakterystycznej dla termodynamiki Amalfi używał zazwyczaj dużej greckiej litery ψ . Poza tym miał wątpliwości, czy doktor Schloss rozumiał literę i Retmy w taki sam sposób, w jaki rozumieli ją matematycy Nowej Ziemi, jako dodatni pierwiastek kwadratowy z minus jednościami.

Z pewnością doktor Schloss uważał, że matematycy He i Nowej Ziemi osiągnęli porozumienie w tych sprawach już bardzo dawno temu, ale Amalfi pozbawiony pomocy Estelle czuł się w tym wszystkim trochę zagubiony. Wiedział z doświadczenia, że wszystkie ważne problemy fizyki rozwiązywano w trakcie takich tablicowych dyskusji, ale jego temperament buntował się przeciw bezczynności. Lubił patrzeć, jak coś się działo.

A dziać się zaczęło już w następnej chwili. Kiedy tylko za Amalfim zamknęły się drzwi pokoju pełnego widzialnych i niewidzialnych fizyków, młody Hewianin powiedział:

– Przepraszam bardzo, panie Amalfi, że przeszkadzam. Ale jest do pana pilna rozmowa z Nowej Ziemi. To pan burmistrz Hazleton.

– Hellestin! – zaklął Amalfi. Słowo to pochodziło z języka Wegan, ale nie pozostał przy życiu nikt, kto wiedziałby, co ono oznaczało. – No, dobrze, chodźmy do sali łączności.

– Gdzie jest moja żona? – wybuchnął Hazleton bez jakichkolwiek wstępów. – I gdzie jest mój wnuk, a także córka Jake'a? I gdzie ty się podziewałeś przez ostatnie trzy tygodnie? Odchodzę od zmysłów, a ci piekielni Hewianie każą mi jeszcze czekać na możliwość odbycia rozmowy z tobą...

– O czym ty mówisz, Mark? – przerwał mu Amalfi. – Przestań wreszcie krzyczeć i powiedz, co się dzieje.

– To ja ciebie o to pytam. No, dobra. Zacznę od początku. Gdzie jest Dee?

– Nie wiem – odparł Amalfi cierpliwie. – Odesłałem ją do ciebie przed trzema tygodniami. Jeśli nie możesz jej znaleźć, to twój problem.

– Nie dotarła na Nową Ziemię.

– Nie dotarła? Ale...

– Właśnie, ale. Jej statek w ogóle tu nie wylądował. Nawet nie mieliśmy od niego żadnych sygnałów. Dee po prostu zniknęła, a razem z nią dzieci. Wydzwaniam do ciebie, żeby zapytać, czy w ogóle ich odesłałeś. Teraz słyszę, że to zrobiłeś. Wiemy, co to znaczy. Lepiej więc daj sobie spokój z fizyką i wracaj tu jak najszybciej.

– Ale co ja mogę zrobić? – zapytał Amalfi. – Nie wiem przecież nic więcej poza tym, co mi powiedziałaś.

– Możesz wrócić tutaj i pomóc mi zorientować się, o co w tym wszystkim chodzi.

– A o co tak naprawdę chodzi?

– Co ty właściwie robiłeś przez te ostatnie trzy tygodnie? – wrzasnął Hazleton. – Czy chcesz powiedzieć, że nie słyszałeś, co się tutaj wyprawia?

– Nie słyszałem – odparł Amalfi. – I przestań się na mnie drzeć. Co to znaczy: „Co się tutaj wyprawia?” Jeśli wiesz, co się dzieje, to dlaczego sam się tym nie zajmiesz, zamiast blokować diraka i zawracać mi głowę? Ty jesteś teraz burmistrzem. Ja mam do załatwienia swoje własne sprawy.

– Jeżeli mi szczęście dopisze, to może będę burmistrzem jeszcze przez dwa dni, ale nie dłużej – warknął ze złością Hazleton. – I to ty jesteś temu winien, więc chociaż nie udawaj teraz niewiniątka. Dwa tygodnie temu Jorn Apostoł zaczął działać. Dysponuje teraz całą flotą statków, ale nie pytaj mnie, skąd je wzięł. Jego główne siły nie zagrażają co prawda Nowej Ziemi, ale wcześniej czy później do niej dotrą. Już teraz cała planeta roi się od farmerów o twarzach pełnych fanatyzmu i ze zdemontowanymi generatorami pola w garściach. Jeśli tylko tego zażądata, będę musiał poddać się im natychmiast. Sam wiesz dobrze, co mogą zrobić domowe wiratoriki... Ci prostacy używają ich jako broni ręcznej. Nie zamierzam narażać życia dziesiątków tysięcy ludzi tylko po to, aby utrzymać się przy władzy. Jeśli chcą, żebym ustąpił, to ustąpię.

– I to ma być moja wina? Ostrzegałem cię kiedyś, że Wojownicy Boga są niebezpieczni.

– No, dobra. Nie posłuchałem. Ale oni by palcem nie kiwnęli, gdybyście z Miramonem nie kryli się tak bardzo z tym, co zamierzacie zrobić. To właśnie pobudziło Jorna do działania. Oznajmił swoim wyznawcom, że mieszacie się do przepowiadanego od wieków Armageddonu, przez co wystawiacie na szwank ich szansę na zbawienie. Ogłosił dżihad*[* Dżihad – święta wojna religijna (przyp. tłum.)] przeciwko planecie He za podżeganie was do tego czynu. Ta dżihad wymierzona jest także przeciw Nowej Ziemi, ponieważ współpracujecie z Hewianami... Z głośnika dały się słyszeć cztery głośne, głuche uderzenia pięści o metal.

– Na wszystkie gwiazdy niebios, oni już są tutaj! – wykrzyknął Hazleton. – Nie będę wyłączał mikrofonu tak długo, jak się da. Może nie zauważą...

Jego głos przycichł. Amalfi nasłuchiwał z ponurym wyrazem twarzy, chłonąc wszystkie dobiegające go z głośnika dźwięki.

– Grzeszniku Hazleton – niemal w tej samej chwili odezwał się młody, rozpaczliwie przerażony głos. – Znaleźliśmy cię, grzeszniku. W imię Jorna nakazuję ci... skazuję cię na edukację korekcyjną. Czy masz zamiar... czy poddasz się jej bez szemrania?

– Jeśli użyjecie choć raz tego urządzenia, to wysadzicie w powietrze połowę miasta – odezwał się Hazleton dość głośno, niechybnie w tym celu, aby Amalfi mógł dobrze słyszeć. – Co chcecie przez to osiągnąć?

– Umrzemy jak na Wojowników Boga przystało – odpowiedział mu głos młodego człowieka. Słysząc było w nim nadal przerażenie, ale teraz, kiedy mówił o śmierci, jego właściciel wydawał się trochę bardziej pewny siebie. – Ale i ty zginiesz w płomieniach.

– I wszyscy ci inni ludzie także?

– Grzeszniku Hazleton, my nie chcemy ci grozić – odezwał się inny głos, nieco głębszy, należący do kogoś starszego. – Uważamy, że nikt nie jest beznadziejnie zepsuty. Mamy zresztą zakładników, którzy gwarantują nam twoje posłuszeństwo.

– Gdzie oni są?

– Zostali schwytani przez Wojowników Boga – odezwał się ten sam głęboki głos. – Jorn w swojej niezmierzonej dobroci zechciał obdarzyć nas błogosławieństwem kordonu, kiedy wyruszaliśmy przeciw temu grzesznemu światu. A zatem, czy podporządkujesz się naszej woli, aby ocalić tę kobietę i dwójkę niewinnych dzieci? Radzę ci, grzeszniku... hej, co, do diabła, przecież ten mikrofon jest włączony! Jody, rozwal go, i to natychmiast! Czym sobie zasłużyłem na to, że przychodzi mi zadawać się z bandą takich nieporadnych pokrak...

Głośnik zapiszczał i umilkł. Połączenie zostało przerwane.

Przez chwilę Amalfi siedział jak sparaliżowany. Otrzymał zbyt dużą porcję informacji w stanowczo zbyt krótkim czasie. Czuł teraz, że jest o wiele starszy niż wtedy, kiedy zdarzało mu się załatwiać podobne sprawy. Nie sądził, aby kiedykolwiek miał zmierzyć się z jeszcze jedną, a jednak... właśnie stanął przed kolejnym zadaniem.

Dzihad przeciwko planecie He? Nie, to było mało prawdopodobne. Przynajmniej w tej chwili. Jorn Apostoł z pewnością nie porwie się na planetę, która stanowi dla niego zupełną niewiadomą. Nie zrobi tego, nie dysponując regularnym wojskiem, a tylko niezorganizowanym tłumem. Nowa Ziemia jednak była całkiem bezbronna. Atak na tę planetę stanowił zatem logiczny pierwszy krok. W dodatku Jorn schwycił Dee i obydwójce dzieci.

A więc, do dzieła!

Zupełnie inną sprawą było, jak się do niego zabrać. Należało to zrobić za pomocą takiego statku, którego żaden kordon Jorna nie zdołałby zaatakować. Niestety, na planecie He żadnego takiego statku nie było. Zamiast niego można by użyć bardzo małej i bardzo szybkiej rakiety, o wąskim współczynniku wykrywalności. Przy tak dużej odległości między He i Nową Ziemią też byłoby trudno ją skonstruować, gdyż nawet pojedynczy wirator ma swoje minimalne rozmiary.

Czy jednak na pewno nie dałoby się tego zrobić? Na planecie He przebywał przecież Carrel, a on miał duże doświadczenie w budowaniu rakiet napędzanych przez miniaturowe wiratory. Jedna z zaprojektowanych przez niego rakiet towarzyszyła miastom w ich wędrówce i nikt nie zwrócił na nią uwagi. Oczywiście, jej obecność można było bez trudu wykryć za pomocą standardowych metod. Zgromadzone kosmiczne miasta nie odróżniły jej śladów od śladów pozostawianych przez zwykłą materię międzygwiazdną tylko dzięki temu, że Carrel pilotował ją tak umiejętnie. Gdyby więc tak...

– Czy potrafiłby pan zrobić jeszcze raz coś takiego, Carrel? – zapytał go Amalfi. – Proszę pamiętać, że tym razem nie będzie pan miał osłony floty wielkich miast. Będzie pan za to musiał przedrzeć się przez niezbyt szczelny kordon statków Jorna orbitujących wokół Nowej Ziemi. Nie wiemy, ile ich jest ani jaką bronią dysponują, ani też jak bacznie będą obserwowali przestrzeń...

– Należy spodziewać się najgorszego – odparł Carrel. – Mimo wszystko pochycili przecież

statek z Dee i dziećmi, a nawet nie wiedzieli, że go wystaliśmy. Mogę tego dokonać, panie Amalfi, o ile pozwoli mi pan na zdalne sterowanie. W przeciwnym razie uważam, że zostanie pan schwytany bez względu na to, do jakiego stopnia uda mi się zminiaturyzować raketę.

– Helleshin! – zaklął Amalfi, uświadamiając sobie, że nie można tego dokonać w żaden inny sposób.

Wiedział też, że w tej grze w kotka i myszkę, prowadzonej przez Carrela, przez co najmniej dwa dni będzie uczestniczył w unikach i skokach bez żadnej możliwości dotknięcia sterów rakiety. Będzie to dla niego, takiego starca, bardzo trudne, ale Carrel miał rację: nie da rady przeprowadzić tego inaczej.

– No, dobrze – powiedział w końcu. – Tylko niech pan się upewni, że wciąż jeszcze żyję, kiedy znajdę się w pobliżu Nowej Ziemi.

– Nie ma obaw. – Carrel wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jeszcze nigdy nie straciłem żadnego ładunku powierzonego mojej pieczy. Oczywiście pod warunkiem, że został właściwie zabezpieczony. W jakim miejscu chciałby pan wylądować?

Odpowiedź na to pytanie nie była łatwa. Po namyśle Amalfi wybrał Central Park położony w samym sercu dawnego wędrownego miasta. Może było to posunięcie niebezpieczne ze względu na bliskość Wojowników Boga, ale nie zamierzał przemierzać tysięcy mil powierzchni planety tylko po to, aby móc zobaczyć się z Hazletonem. Poza tym miał nadzieję, że albo teren dawnego miasta będzie stanowił tabu dla prostaków, albo chociaż będą instynktownie go unikali. Z pewnością Jorn Apostoła nie zaniedbałby patrolowania miejsca tak ważnego dla dawnych koczowników, ale Amalfi liczył na to, że Jorn wraz ze swoimi głównymi siłami znajdował się teraz po drugiej stronie Obłoku.

Dysponując wiratorem o małej mocy, Amalfi miał aż za dużo czasu, aby zapoznać się przez ultrafon z wydarzeniami, jakie ostatnio miały miejsce, a od jakich starał się uciec na planetę He.

Okazało się, że Hazleton zrelacjonował mu sytuację w miarę wiernie, myśląc się jedynie w nieistotnych szczegółach. Nowa Ziemia nie znajdowała się w centrum zainteresowania Jorna. Jego dżihad została wymierzona nie tylko przeciwko Hewianom, ale przeciw wszystkim niewiernym, gdziekolwiek by się znajdowali. Kontakt z Hewianami stanowił tylko jeden z punktów aktu oskarżenia skierowanego w zasadzie przeciw Nowej Ziemi. Najważniejszym natomiast punktem był zarzut, że Nowa Ziemia nie ogłosiła, ale też i nie ukrywała swojej chęci zgłębienia tajemnicy końca czasu, który to zamiar Jorn uważał za bluźnierstwo.

Amalfi mógł się domyślać, że powstanie farmerów i opanowanie przez nich władzy na Nowej Ziemi okazało się niezamierzonym efektem ubocznym manifestu Jorna, którego Apostoła się nie spodziewał. Gdyby wcześniej to zaplanował albo był w stanie wykorzystać pod względem militarnym, z pewnością pociągnąłby ze swoimi siłami jak najszybciej ku Nowej Ziemi. Zamiast tego ogłosił tylko – a i to zrobił po niewczasie – blokadę planety, w dodatku niezbyt szczelną. Zapewne zastanawiał się, czy skutki zamachu stanu okażą się trwałe. Jeśli tak, to zamierzał to wykorzystać; gdyby nie – był gotów w pośpiechu odwołać swoje wojska, aby zachować ludzi i statki na inną, dogodniejszą chwilę.

Tak przynajmniej oceniał sytuację Amalfi. Miał jednak przeczucie, że w osobie Jorna Apostoła po raz pierwszy trafił na przeciwnika, którego myśli mogły biec od początku do końca zupełnie innym torem.

Rakieta, którą leciał, przeszła nagle z napędu wiratora na jonowy. Amalfi przerwał rozmyślenia i czekał na to, co przyniesie mu najbliższa przyszłość.

Podczas lotu w atmosferze stery znalazły się w rękach Amalfiego. Przebywający na planecie He

Carrel pozwolił mu kierować rakieta, kiedy tylko wyłączył wirator. Amalfi wylądował lekko jak piórko w południowej części Central Park, w nieregularnym obniżeniu terenu, o którym legenda głosiła, że kiedyś było jeziorem. Lądowanie przebiegło bez incydentów. Wyglądało też na to, że nikt tego faktu nie zauważył.

Amalfi nie wątpił, że po wschodzie słońca opuszczony pojazd zostanie dostrzeżony przez jeden z patrolowców Wojowników Boga. Wiedział jednak, że stare miasto było zaśmiecone wieloma podobnymi zagadkowymi urządzeniami. Aby wiedzieć, które są stare, a które nowe, należało być specjalistą-historykiem podobnym do Schliemanna, który poszukiwał kiedyś ruin Troi. Amalfi był o tym tak przekonany, że zostawił swoją raketę w tym miejscu, w którym wylądował, nie usiłując jej nawet zamaskować.

Teraz pojawił się problem, jak nawiązać kontakt z Markiem, który bez wątpienia ciągle przebywał w areszcie. Mógł też zostać poddany „edukacji korekcyjnej”, o której Amalfi się dowiedział, podsłuchawszy jego rozmowę z jednym z Wojowników. Czy miało to oznaczać, że z natury rzeczy leniwy, nawykły do pracy umysłowej Hazleton będzie musiał teraz ścielić łóżka, zmiatać podłogi i modlić się przez sześć godzin dziennie? Amalfi nie mógł w to uwierzyć, a zwłaszcza w ten ostatni pomysł dotyczący modłów. A zatem, co mógłby teraz robić?

I nagle, idąc oświetloną księżycowym blaskiem i całkowicie wyludnioną Piątą Aleją w kierunku miejskiej wieży kontrolnej, Amalfi uzmysłowił sobie, że wie, co mógł teraz robić Hazleton. Zarządzanie galaktyką, nawet taką niewielką i po większej części nie znaną jak ta galaktyka satelicka, nie było wcale proste. Nie polegało tylko na przekładaniu papierów z jednego stosu oznaczonego słowami DO ZAŁATWIENIA na drugi, z napisem ZAŁATWIONE. Wymagało wielowiekowego doświadczenia i ogromnej wiedzy na temat systemów łączności, zbierania i przechowywania danych oraz obsługi urządzeń wykonujących dziewięćdziesiąt osiem procent mrówczej pracy.

W czasach wędrówek zdarzało się na przykład – chociaż niezbyt często – że poprzedniego burmistrza przenoszono po przegranych wyborach na pokład innego miasta. Taki człowiek potrzebował później od pięciu do dziesięciu lat, aby nauczyć się zarządzać. W ciągu tego okresu pełnił niewiele znaczącą funkcję zastępcy menażera tego nowego miasta. Zarządzanie miastem nie było zatem pracą, jakiej mógł się nauczyć w ciągu kilku dni czy tygodnia przeciętny farmer, choćby nie wiedzieć jak natchniony.

A zatem najbardziej prawdopodobnym miejscem, w którym Mark był poddawany „edukacji korekcyjnej”, było jego biuro. Musiał zarządzać Obłokiem w imieniu Wojowników Boga. Bez wątpienia spisywał się jak najgorzej, mając pewność, że i tak ujdzie mu to bezkarnie. Wojownicy przecież, nawet gdyby podejrzewali go o sabotaż – a z pewnością musieli go podejrzewać – to i tak nie mogliby mu tego udowodnić. Amalfi, który sam się uważał za mistrza w sztuce sabotażu, musiał przyznać Hazletonowi niekwestionowane pierwszeństwo. Wiele razy był świadkiem, jak Mark postępował tak wobec swoich przyjaciół. Robił to zapewne, aby nie wyjść z wprawy, a może też po prostu z nudów.

A więc dobrze, problem odnalezienia Hazletona został rozwiązany. Pozostawała znacznie trudniejsza sprawa: jak przekonać Wojowników, aby zrezygnowali z władzy, a przede wszystkim jak uwolnić Dee i dzieci.

Trudno rozstrzygnąć, która z tych dwóch spraw mogła okazać się trudniejsza. Mark miał rację, kiedy powiedział, że zdemontowane generatory pola w rękach nieświadomych, nie mających technicznego wykształcenia Wojowników były znacznie groźniejsze niż widły czy muszkiety. Gdyby używać ich we właściwy sposób, generatory mogły poddać antygravitacji pojedynczą osobę i wysłać ją w przestrzeń pod działaniem siły odśrodkowej obrotu planety wokół własnej osi.

Takiemu samemu działaniu można było poddać też mur albo narożnik domu, jeżeli użytkownik wiratora chciałby zniszczyć jakieś zabudowania.

Kłopot polegał na tym, że farmerzy nie umieli posługiwać się nimi w precyzyjny sposób. Generator pola został zaprojektowany nie jako narzędzie zniszczenia, a jako instrument sterujący pogodą wokół domu. Urządzenie to było trochę większe, cięższe i o wiele bardziej nieporęczne od dwudziestowiecznego domowego olejowego pieca. Zważywszy, jak trudno manewrować czymś takim, zwłaszcza na stojąco, zrozumiałe, że farmerzy mogli ulec pokusie nastawienia generatora na maksymalną moc jeszcze przed zdemontowaniem go z betonowego cokołu, na którym stał w piwnicy domu, i pozostawienia go w takim stanie. W razie zaistniałej potrzeby jego użytkownik mógł później, nie narażając na szwank mięśni karku czy ręki, po prostu skierować go na wybrany cel i nacisnąć guzik. Oznaczało to, że ilekroć jakiś nierozgarnięty chłopak straci cierpliwość czy dopatry się herezji w czyjejs przypadkowo rzuconej uwadze albo też wpadnie w panikę na widok jakiegoś cienia czy svengali, może zrównać z ziemią dwa albo trzy domy zanim sobie przypomni, gdzie znajduje się wyłącznik urządzenia. Było także możliwe, że porzucony w panice włączony wirator zniszczy dwa albo trzy dalsze bloki, zanim wyczerpią się jego akumulatory i działanie ustanie samoistnie.

Uwolnienie żony Hazletona i dzieci było bardzo ważne, ale jeszcze ważniejsza sprawa to rozbicie Wojowników Boga.

Amalfi zachwiał się lekko, kiedy wyszedł ze sterowanej przez wiratory windy i znalazł się na sprężystej, betonowej podłodze sterowni miasta. Uśmiechnął się ponuro. Czuł, że po tych wszystkich aż nazbyt wielu latach rządzenia, nieróbstwa i wegetacji znowu żyje pełnią życia. Miał przed sobą jeden z tych problemów jakby specjalnie dla niego stworzonych. Umiał je rozwiązywać dzięki doświadczeniu nabytemu w ciągu wielu lat ciężkiej pracy.

Zbliżający się koniec czasu to z pewnością odpowiedniej rangi problem, z większym nigdy nie przyjdzie mu się zmierzyć. Amalfi był nawet wdzięczny losowi za to, że spotkał go ten zaszczyt. Brakowało mu jednak kogoś, z kim mógłby w tej sprawie negocjować i, jeśli to możliwe, trochę oszukiwać.

Od bardzo dawna czekał na coś takiego jak szansa zmierzenia się z Wojownikami Boga. Wiedział jednak, że powinien się mieć na baczności. Nawet wtedy, kiedy rozwiązywał podobne problemy niemal na co dzień, zdarzało mu się czasami potknąć. W obecnej zaś sytuacji kroki, jakie mógłby przedsięwziąć, wydały mu się podejrzenie oczywiste. A to nie były ćwiczenia – ten problem będzie wymagał całego jego kunsztu jako historyka kultury, a także jako diagnostyka. Od jego umiejętności i tego, jak sobie poradzi, będzie zależał los wielu setek tysięcy osób, z których jedną była Estelle.

A zatem powinien działać delikatnie, delikatnie... ale precyzyjnie i szybko jak chirurg dokonujący operacji serca. Nie trać czasu na rozważanie innych możliwości. Masz tylko cztery minuty, aby ocalić pacjentowi życie, jeśli oczywiście dopisze ci szczęście. Tarcza piły do cięcia kości w twoich rękach już wiruje... Otwórz klatkę piersiową i to szybko.

Ojcowie Miasta działali. Powiedział zatem:

– Połączenie. Chcę mówić z Jornem Apostołem. Chodzi o ratunek dla miasta.

Odszukanie Jorna zajmie Ojcom Miasta trochę czasu. Będą musieli w ciągu niecałej minuty określić, na jakich planetach może teraz przebywać, a potem wybrać tylko te, na których prawdopodobieństwo jego pobytu okaże się dostatecznie duże. Szansę na połączenie się z nim za pierwszym razem były więc bardzo małe. Amalfi trochę żałował, że w celu nawiązania łączności z Jornem musi użyć diraka. Wiedział, że świadkiem ich rozmowy może być każdy dysponujący tego typu odbiornikiem słuchacz w obrębie całego Obłoku, a nawet całego wszechświata. Wiedział też

jednak, że do dwustronnych rozmów na tak duże odległości nie można było użyć ultrafonu, bo jego prędkość przekazywania sygnałów wynosi zaledwie sto dwadzieścia pięć procent prędkości światła. Nośnik informacji stanowiła w nim fala elektromagnetyczna, która mogła przemieszczać się w próżni co najwyżej z prędkością światła. Większą prędkość udawało się osiągnąć dzięki sztuczce zwanej ujemną prędkością fazową.

Czekając na połączenie, Amalfi rozważał w myślach możliwości. To bez wątpienia jedna z najdziwaczniejszych spraw, z jakimi miał kiedykolwiek do czynienia. Wydawało mu się, że na razie jego problem polegał głównie na interludiach i gwałtownych zwrotach akcji, a to zostawiało bardzo niewielką możliwość podjęcia decyzji, który model działania jest właściwy. W dodatku istniejące możliwości zachęcały go do stosowania stereotypowych rozwiązań, jakie podsuwała mu jego wielowiekowa pamięć, lecz tym razem będzie musiał wykazać się o wiele większą rozwagą i ostrożnością. A także dokładnie rozważyć priorytety.

O jakichkolwiek działaniach zaczepnych nie mogło być nawet mowy. Rozwiązanie takie można by brać pod uwagę tylko z punktu widzenia jakiegoś nadrzędnego celu, na przykład „ocalenia miasta”. Ten aksjomat, jeśli kierować się nim wystarczająco długo, umożliwia podjęcie decyzji w sposób niemal odruchowy, pozwala automatycznie ustawić się we właściwym kierunku jak kot, który spada z dachu na cztery łapy. Ale teraz sytuacja była inna – wartości, jakie musiał uwzględnić, wzajemnie sobie zaprzeczały.

Przede wszystkim należało założyć, że Jorn Apostoł nie znał szczegółów sytuacji na Nowej Ziemi. Zareagował tak, jak każdy dobry strateg powinien zareagować na wieść o niespodziewanym zwycięstwie w nieoczekiwanym miejscu. Jorn prawie na pewno nie mógł wiedzieć więc ani tego, że jego wojska pochwytyły troje zakładników, ani tym bardziej znać ich tożsamości. Amalfi nie powinien zatem żądać ich uwolnienia. Mądrzej było w ogóle nie informować Jorna o tym fakcie. I tak zresztą pierwszy i najważniejszy cel, jaki chciał w tej rozmowie osiągnąć, to rozwiązanie pospolitego ruszenia farmerów i odebranie im generatorów pola. Z drugiej strony nie wystarczyło tylko przekonać Jorna, że zamach stanu na Nowej Ziemi nie ma najmniejszych szans powodzenia. To mogłoby spowodować, że Apostoł nakaże wycofać swoją blokadę, a razem z nią i zakładników. Najlepiej byłoby mieć dwa wróble w garści za jednym zamachem. Jorn powinien domyślić się, że przewrót się nie powiedzie, ale zarazem nie należało go w tym zanadto upewniać. Nie wolno dopuścić, aby wpadł w panikę w obawie, że jeśli będzie zwlekał z wycofaniem wojsk to je utraci.

Amalfi nie był przekonany, że zdoła to osiągnąć. Może, gdyby udało mu się przekonać Jorna, że niebezpieczeństwa czyhające na jego ludzi mają charakter po części ideologiczny, a po części wojskowy. Jorn przecież udowodnił, że umie być dobrym dowódcą. Nie mógł zatem nie wiedzieć, jaką pokusę dla okupacyjnej armii stanowią zwyczaje i poziom życia podbitego kraju. Na pokusy tego rodzaju były wystawione zwłaszcza krucjaty i święte wojny. Bez względu na to, czy wierzył w słuszność głoszonych przez siebie doktryn, czy też nie, nie mógł sobie pozwolić na to, aby jego wyznawcy stracili wiarę w niego. To właśnie dzięki niej sprawował przecież nad nimi władzę. Gdyby więc jej zabrakło, musiałby uciec się tylko do rozkazów.

Niestety, na Nowej Ziemi nie istniała doktryna zdolna pozbawić wiary Wojowników Boga. Amalfi nie wątpił, że wkrótce po zdobyciu władzy zajmą się gromadzeniem zegarków i budzików. To archaiczne wyrażenie określało istniejący od wielu wieków obyczaj rzucania się armii biedaków na dobra materialne okupowanego kraju. Jorn jednak z pewnością o tym wiedział, a więc nie da się zaskoczyć go takim argumentem. Poza dobrami materialnymi nie było na Nowej Ziemi żadnej rzeczy, która byłaby w stanie odciągnąć Wojowników Boga od ich prostych, aby nie rzec prymitywnych wierzeń. Można by coś takiego wyprodukować, w końcu surowców nie brakowało.

Jedną z oczywistych pułapek, jakich należało unikać na tej drodze, to odwołanie się do religijnego wizerunku Jorna w oczach opinii publicznej. Amalfi w żaden sposób nie mógł wiedzieć, czy taki apel osiągnąłby zamierzony skutek, czy stałoby się wręcz przeciwnie. Rozum podpowiadał mu, że ta druga możliwość była o wiele bardziej prawdopodobna. Należało raczej założyć, że człowiek tak popularny jak Jorn powinien się znać na większości sztuczek niezależnie od tego, jak dobrym był teologiem. Ten ostatni problem nie miał zresztą tu nic do rzeczy. Każdą próbę gry na swoich uczuciach religijnych wykryłby bez trudu. Udowodnił przecież wiele razy, że sam umie robić to bardzo dobrze.

Ponadto istniało prawdopodobieństwo, że Jorn był gorliwym wyznawcą swoich anachronicznych teorii. To przynajmniej sugerowały jego publiczne wystąpienia. Gdyby tak było naprawdę, to wówczas jakakolwiek próba wykorzystania jego uczuć religijnych mogłaby zakończyć się prawdziwą klęską. Takie postępowanie z fanatykami religijnymi zwykle kończy się niepowodzeniem.

Trzeba było więc potraktować Jorna pro forma w taki sposób, jak gdyby się wierzyło w każde wypowiedziane przez niego słowo. Należało postąpić tak przede wszystkim dlatego, że Jorn niewątpliwie pamiętał o setkach swoich wyznawców przysłuchujących się ich rozmowie. Po drugie, nie było sensu negocjowania jego samooceny. To niczemu nie służyło, a mogło okazać się nawet niebezpieczne. Amalfi nie mógł przecież przyznać, że w jego opinii osobiste poglądy Jorna nie zgadzają się z wizerunkiem, jaki pragnie utrwalić w umysłach swoich wyznawców. Dopuszczalne było powiedzenie mu bez ogródek, że jest zatwardziałym fundamentalistą, ale nie sposób oczekiwać, że wpadnie w panikę na wieść o tym, że otrzymał transmisję diraka od Szatana...

– JORN APOSTOŁ JEST GOTÓW DO PRZYJĘCIA ROZMOWY, PANIE BURMISTRZU.

Amalfi nagle poczuł, że jego myśli biegną ze zdwojoną prędkością. Pomyłka Ojców Miasta była zrozumiała. Bez wątplenia nikt nie zadał sobie trudu poinformowania ich o fakcie, że Amalfi nie jest już burmistrzem. Przestał pełnić tę funkcję z chwilą, gdy pojawił się problem Nieciągłości Ginnangu. Pomyłka ta uświadomiła jednak Amalfiemu, że zupełnie zapomniał o tym, czy powinien przedstawić się swemu rozmówcy, czy też może lepiej tego nie robić. Mało prawdopodobne, aby Jorn pochodził z rodziny chłopskiej wyzyskiwanej przez Międzygwiezdnych Mistrzów Handlu – poprzednich władców, z tyranii których wyzwoliło planetę wędrownie miasto. Nieco bardziej prawdopodobne było to, że pochodził z rodu byłych władców Międzygwiezdneho Mistrza. Najprawdopodobniej jednak należał do którejś z rodzin, jakie dotarły na Nową Ziemię wraz z Amalfim. Gdyby tak było naprawdę, to z pewnością wiedziałby, kim jest jego rozmówca. Przedstawienie się Jornowi mogłoby się więc okazać korzystne, chociaż z drugiej strony kryło w sobie zagrożenie...

Kości jednak zostały już rzucone. Ojcowie Miasta oznajmili, że burmistrz chce z nim mówić, tak więc lepiej byłoby wyjaśnić Jornowi, że to nie z Hazletonem ma rozmawiać. Wykręcić się jakoś z tego? To dałoby się zrobić, chociaż użycie diraka wiązało się z ryzykiem. Każdy słuchacz ich rozmowy mógłby teraz albo w przyszłości powiedzieć Jornowi o wszystkich faktach, jakie Amalfi chciałby ze względów strategicznych zachować w tajemnicy...

– POŁĄCZENIE NAWIĄZANE, PANIE BURMISTRZU.

No cóż, nic nie dało się już w tej sprawie zrobić. Amalfi powiedział więc do mikrofonu:

– Proszę łączyć.

W tej samej chwili ekran rozjarzył się poświatą. Amalfi pomyślał, że naprawdę się starzeje. Zapomniał powiedzieć Ojcom Miasta, aby połączenie odbywało się wyłącznie na fonii. Przy włączonej wizji i tak nie miał żadnej szansy ukrycia swojej tożsamości. Na uzalenie się nad sobą nie było już jednak czasu. Amalfi zobaczył na ekranie twarz Jorna Apostoła z pojawiającym się na niej

wyrazem nie ukrywanego zaciekawienia.

To była twarz starego człowieka, pociągła, koścista i poorana bruzdami. Siwe, krzaczaste brwi podkreślały cienie wokół zapadniętych oczu. Jorn musiał przestać zażywać antyagatyki co najmniej przed pięćdziesięcioma laty, o ile w ogóle kiedykolwiek je zażywał. Uzmysłowanie sobie tego faktu przyprawiło Amalfiego o wielki i nieoczekiwany szok.

– Jestem Jorn Apostoł – odezwał się starzec. – Czego pan sobie życzy ode mnie?

– Myślę, że powinien pan wycofać się z Nowej Ziemi – odparł Amalfi.

Nie miał najmniejszego zamiaru tego powiedzieć. Szczerze mówiąc, było to zupełne przeciwieństwo całej przygotowanej uprzednio starannie linii argumentacji. Ale w tej twarzy kryło się coś, co zmusiło go do powiedzenia od razu tego, na czym mu najbardziej zależało.

– Nie przebywam na Nowej Ziemi – powiedział Jorn. – Ale sądzę, że wiem, o co panu chodzi. I myślę, panie Amalfi, że na Nowej Ziemi znalazłoby się wielu ludzi, którzy chcieliby tego samego. Wydaje mi się to nawet zrozumiałe. Tylko że ani trochę mnie to nie obchodzi.

– Nie spodziewałem się, że będzie pana obchodziło – odparł Amalfi. – Mówię to, bo chcę, aby znał pan moje zdanie. Mogę podać panu kilka powodów.

– Wysłucham ich. Ale proszę się nie spodziewać, że będę kierował się rozsądkiem.

– Dlaczego nie? – zapytał Amalfi, autentycznie zdziwiony.

– Ponieważ nie należę do ludzi rozsądnych – odparł Jorn cierpliwie. – Powstanie moich wyznawców na Nowej Ziemi nie wybuchło na mój rozkaz. Uważam je jednak za dar Boży, który został złożony w moje ręce. W takiej sytuacji rozsądek nie ma nic do rzeczy.

– Rozumiem – odparł Amalfi i zamyślił się przez chwilę.

Problem zaczynał wyglądać na trudniejszy, niż sobie wyobrażał. Szczerze mówiąc, nie miał wielkiej nadziei, że uda mu się go rozwiązać.

– Czy jest pan świadom tego, że Nowa Ziemia jest ośrodkiem stochastyzmu? – zapytał w końcu.

Krzaczaste brwi Jorna uniosły się lekko.

– Wiem, że stochastycy są najsilniejsi i najliczniejsi właśnie na Nowej Ziemi – powiedział. – Nie wiem natomiast, jak bardzo ta filozofia zakorzeniła się w umysłach mieszkańców planety. Jak by jednak nie było, jest to jedna z tych rzeczy, jakie mam zamiar wykorzenić.

– Obawiam się, że to się panu nie uda. Tłum składający się z farmerów nie będzie sobie umiał poradzić z wykorzeniem takiej silnej doktryny.

– A jak silna jest naprawdę? – zapytał Jorn. – Jak silne są jej wpływy? Mam wrażenie, że prawie cała Nowa Ziemia jest przez nią zepsuta, ale nie wiem tego na pewno. Możliwe, że z tak dużej odległości od planety, z jakiej zmuszony jestem działać, przeceniam jej wpływ na umysły ludzi. Zapewne robię to nieświadomie, gdyż uważam tę filozofię za całkowicie sprzeczną ze Słowem Bożym. Z tego samego powodu mogę sądzić, że ojczyzna stochastyków jest także kuźnią tej filozofii. Ale nie jestem wcale pewien, czy tak jest.

– I dlatego chce pan narażać na niebezpieczeństwo dusze Wojowników Boga, zakładając, że może to nie być prawdą?

– Niekoniecznie – odparł Jorn. – Sądząc po tym, jakie siły pan reprezentuje, panie Amalfi, w pana interesie leży wyolbrzymianie znaczenia tej filozofii. Szczerze mówiąc, sugeruje to już sam fakt, że pan o tym wspomniał. Nie mam przecież podstaw, aby sądzić, że dobrze mi pan życzy. Podejrzewam więc, że stochastycy, jak wielu innych myślicieli wszystkich miejsc i czasów, oderwali się od podstawowych prawd i realiów kultury, w jakiej przyszło im działać. Sądzę też, że ludzie na Nowej Ziemi są nie bardziej stochastykami niż Wojownikami Boga czy zwolennikami jakiegokolwiek

innej filozofii. Jeśli miałbym określić ich w jakiś sposób, to jedynym rozsądnym stwierdzeniem jest to, że nie są już mieszkańcami wędrownego miasta.

Amalfi siedział przed mikrofonem i czuł, jak po twarzy spływają mu krople potu. Zorientował się, że trafił na godnego siebie przeciwnika.

– A jeśli się pan myli? – zapytał po chwili przerwy. – Jeśli stochastyzm naprawdę zapuścił korzenie na planecie tak głęboko, jak mówię?

– No, cóż – odparł Jorn Apostoł. – Wówczas będę zmuszony ryzykować. Jak sam pan to powiedział, moi Wojownicy na Nowej Ziemi są tylko farmerami. Wątpię zatem, by stochastyzm wywarł jakikolwiek wpływ na ich proste umysły. Z pewnością odrzucają go jako sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Będą, rzecz jasna, w błędzie, ale któż miałby im to powiedzieć? Ignorancja jest najlepszą bronią, w jaką mógł ich wyposażyć Bóg Ojciec, a ja sądzę, że ta broń im wystarczy.

To mogła być ta ostatnia szansa. Amalfiemu pozostało jedynie mieć nadzieję, że nie otrzymał jej za późno.

– Niech więc tak się stanie – powiedział głosem bardziej ponurym, niż zamierzał. – Bieg zdarzeń wkrótce pokaże, który z nas miał rację. Nic więcej nie mam do dodania.

– A ja wprost przeciwnie – odparł Jorn. – Mam coś do dodania. Możliwe, panie Amalfi, że rzeczywiście zamierzał pan wyświadczyć mi przysługę. Jeżeli okaże to się prawdą, będę musiał oddać sprawiedliwość nawet panu. Ze złem także należy postępować uczciwie. Po prostu nie można załatwić tego w żaden inny sposób. Co chciałby pan uzyskać ode mnie w zamian?

I w taki oto sposób ich słowny pojedynek wrócił niespodziewanie do punktu wyjścia. Teraz jednak nie było ani sposobu, ani czasu na to, aby uniknąć bezpośredniej odpowiedzi. Pytanie zostało zadane nie z intencją polityczną, ale osobistą. Jorn wyraźnie dał to do zrozumienia.

– Mógłby pan uwolnić troje zakładników, którzy zostali pochwyceni przez pana kordon – powiedział Amalfi, czując w ustach wzbierającą gorycz. – Kobietę i dwoje dzieci.

– Gdyby poprosił pan mnie o to na samym początku rozmowy, uczyniłbym to od razu – odparł Jorn Apostoł z nutą żalu w głosie. – Ale pan, panie Amalfi, nad ich życie przedłożył zachowanie własnej prawości. A więc niech tak będzie. Jeśli przekonam się, że grozi mi utrata Nowej Ziemi z powodu stochastyzmu, to zostaną uwolnieni, zanim odwołam swoją flotę. W przeciwnym razie nie zostaną. I jeszcze jedna rzecz, panie Amalfi...

– Tak? – zapytał Amalfi zduszonym głosem.

– Niech pan przez cały czas ma na uwadze, o jak wysoką stawkę tutaj chodzi. Niech więc nie da się pan ponieść swojej przedsiębiorczości. Wiem doskonale, jak bardzo jest pan pomysłowy, ale ludzkie życie nie powinno zależeć od niczyjej umiejętności ani sztuki. A teraz niech pan zostanie z Bogiem.

Ekran urządzenia łączności ściemniał.

Amalfi trzęsącą się ze zdenerwowania ręką otarł pot z czoła. Zrozumiał, że w swoich ostatnich słowach Jorn Apostoł ocenił w wielkim skrócie przebieg całego jego życia. Nie była to ocena pochlebna.

Pomimo tego Amalfi wahał się tylko przez krótką chwilę. Liczył się z tym, że Jorn mógł przejrzeć improwizację, jaka przyszła Amalfiemu do głowy dosłownie w ostatniej chwili. Stało się to jednak tak późno, że Amalfi nie zdążył zdradzić się ani przed Jornem, ani przed żadnym innym słuchaczem ich rozmowy, że nie widział innej możliwości rozwiązania ich dylematu. Zaproponowane przez Jorna rozwiązanie zmuszało Amalfiego w gruncie rzeczy do tego samego: do przemienienia kłamstwa w prawdę. Jeśli na tym miała polegać przedsiębiorczość Amalfiego, to on sam miał wszelkie powody, aby sądzić, że nie była to „sztuka”, a co najwyżej rzemiosło. To już raczej Jorn

uzależniał życie ludzkie od dogmatów swojej fikcyjnej sztuki, którą nazywał religią. Pamiętając tym razem, aby w porę wyłączyć wizję, Amalfi nakazał Ojcom Miasta, żeby połączyli go z biurem burmistrza.

– Mówi komisarz do spraw bezpieczeństwa publicznego – powiedział robotowi, który przyjął jego zgłoszenie.

W normalnych warunkach maszyna wiedziałaby, że takie stanowisko w ogóle nie istniało; Amalfi liczył jednak na to, że w panującym rozgardiaszu automatyczna sekretarka nie będzie miała czasu sprawdzać tego w bankach pamięci. Był także przekonany, że ten zwrot, który w czasach wędrówek kojarzył się zawsze z zagrożeniem, zostanie właściwie odczytany przez Hazletona. Okazało się, że miał rację.

– Spóźnił się pan z połączeniem – odezwał się Hazleton jak najbardziej oficjalnym tonem. – Pana raport może być już nieaktualny. Czy nie mógłby pan zgłosić się z nim osobiście?

– Nie sądzę, panie burmistrzu. Sytuacja zmienia się zbyt szybko – odparł Amalfi. – W tej chwili jestem na obrzeżach stacji w starym mieście. Wojownicy, którzy w danej chwili nie pełnią służby, czasami tu zaglądają, a przy tak wielu urządzeniach, znajdujących się pod prądem...

– Z kim pan rozmawia? – w głośniku odezwał się czyjś głos. Amalfi rozpoznał go bez trudu. Należał do tego samego mężczyzny, który wydawał rozkazy, kiedy Wojownicy zaarrestowali Hazletona. – Nie wyraziłem na to zgody!

– To mój komisarz do spraw bezpieczeństwa publicznego. Nazywa się de Ford – odparł Hazleton.

Amalfi mimo woli się uśmiechnął. De Ford był poprzednikiem Hazletona na stanowisku menażera miasta i został rozstrzelany siedem wieków wcześniej. – Ma pan rację, na coś takiego nie można wyrazić zgody – ciągnął Hazleton. – Wiele z tych urządzeń porzuconych w starym mieście nie zostało wyłączonych. Jeżeli ktoś nie wie, jak się z nimi obchodzić, może łatwo zostać porażony prądem. De Ford, sądziłem, że pan wie o tym rozkazie. Generał Wojowników zabronił swoim podwładnym zapuszczania się na teren miasta.

– Przypominam im o tym – odparł Amalfi głosem urażonej niewinności. – Ale oni tylko się śmieją i mówią, że kiedy nie są na służbie, to nie są Wojownikami.

– Co takiego? – wybuchnął głos w głośniku.

– Właśnie tak mówią – rzekł z uporem Amalfi. – Twierdzą też, że ich prywatny czas należy tylko do nich. Uważają, że poza służbą nikt nie ma prawa wydawać im rozkazów. Wydaje mi się, że jest to wpływ nauk jakiegoś wioskowego stochastyka, chociaż Wojownicy rozumieją tę filozofię w sposób trochę mętny. Domyślam się, że na prowincji nie wyjaśnia się podstaw stochastyzmu dostatecznie jasno.

– To nie ma teraz nic do rzeczy – powiedział ostro Hazleton. – Proszę trzymać ich jak najdalej od miasta. To jest rozkaz.

– Staram się jak mogę, panie burmistrzu – rzekł Amalfi. – Istnieją jednak granice tego, co mogę. Niektórzy chodzą z przenośnymi generatorami pola, a sam pan wie, co się stanie, jeśli choć jeden z nich spróbuje zrobić z niego użytek. Nie mogę zbyt ryzykować.

– Jasne, że nie, ale proszę robić to, co pan może. Ja też zrobię, co w mojej mocy. Gdzie pana znaleźć, jeśli będę miał dalsze rozkazy?

– Proszę przekazać je do biura sierżanta na obwodzie miasta – rzekł Amalfi. – Odbiorę je przy okazji następnego obchodu.

– Bardzo dobrze – odrzekł Hazleton i przerwał połączenie.

Amalfi uruchomił linię łączącą stację na obwodzie z wieżą kontrolną i usiadł, rozważając to, co

udało mu się osiągnąć do tej pory. Nie opuszczał go jednak pewien niepokój. Zasiał podejrzenie w umysłach Wojowników i musiał teraz cierpliwie czekać na skutki swojej akcji. Nie wątpił, że Hazleton zrozumiał, o co mu chodziło, i że ze swojej strony będzie starał się pomóc. Domyślał się również, że Jorn Apostoł zarządził przeprowadzenie śledztwa wśród oficerów swojej armii na Nowej Ziemi, chcąc potwierdzić zasadność ostrzeżeń Amalfiego. Wiedział dobrze, że dochodzenie niczego nie wykaże, ale powinno uczulić oficerów na istniejące zagrożenie.

Amalfi włączył ultrakrótkofalowy odbiornik radiowy wieży i dostroił go do częstotliwości stacji federalnej Nowej Ziemi. Następnym krokiem Jorna powinno być wydanie rozkazów zabraniających wstępu do miasta Wojownikom przebywającym na urloпах. Chciał je usłyszeć i wiedzieć, jak będą brzmiały. O ile nie zostaną sformułowane w wyjątkowo kategori czny sposób, to wkrótce na terenie miasta naprawdę pojawią się Wojownicy. Przyjdą tu, aby zwiedzić miasto, w którym, rzecz jasna, nie było już żadnego sierżanta na obwodzie ani nawet żadnego obwodu, chyba tylko w pamięci Ojców Miasta. Któremuś z Wojowników z pewnością przydarzy się jakiś wypadek.

O tym wypadku jednak „de Ford” nie zamelduje. „Nic nie wiem na ten temat. Przykro mi, ale nie mogę być we wszystkich miejscach naraz. Staralem się trzymać tych chłopców z daleka od Ojców Miasta. Chcieli zadać im mnóstwo pytań o historię filozofii, a odpowiedź zajęłaby Ojcom parę tygodni. Powiedziałem im, że nie umiem obsługiwać Ojców Miasta, ale co mogłem poradzić, kiedy jeden z nich skierował na mnie generator pola i rozkazał: »Wpuść mnie... albo...«,

Przesłanie takiego komunikatu oznaczałoby koniec kariery „komisarza do spraw bezpieczeństwa publicznego”, gdyż wówczas prawie na pewno pojawiłyby się umundurowane patrole Wojowników w samym mieście i wokół niego. Amalfi musiałby wtedy zejść do podziemia, a cała reszta zależałaby od Hazletona. Nie mógł przewidzieć, co Mark zamierza zrobić, ale ani nie chciał, ani nie powinien tego wiedzieć. Jedną z wad jego planu było kłamstwo, czego zresztą Jorn od początku się domyślał. Amalfi był przeświadczony, że dobry plan powinien zawierać chociaż odrobinę prawdy, którą dostrzegliby zarówno ludzie rozsądni, jak i podejrzliwi.

Chcąc być bezwzględnie szczerym, należałoby powiedzieć, że możliwość zarażenia się miejscowych Wojowników Boga poglądami stochastyków praktycznie nie istniała ani teraz, ani przedtem. Nawet gdyby plan się powiódł i Jorn wycofał swoje siły, obawiając się tej możliwości, to z pewnością zanim uwolniłby zakładników, poddałby swoich oficerów gruntownemu przesłuchaniu. Gdyby zatem cokolwiek, co by z nich wyciągnął, okazało się zbyt logiczne, z pewnością uznałby ten fakt za sprawkę Amalfiego. Z tego właśnie powodu to Hazleton musiał sam podejmować wszelkie dalsze kroki. Amalfi nie powinien wiedzieć o nich niczego, dopóki była możliwa jakakolwiek zmiana.

Uzależnianie życia Dee, Weba i Estelle od czegoś tak niepewnego było z pewnością nierozsądne, ale Amalfi nie miał innego wyjścia.

Już wkrótce okazało się, że wygrał. Zanim upłynął tydzień, wszelkie urlopy Wojowników zostały anulowane. Zamiast nich ogłoszono specjalne „nabożeństwa orientacyjne”, w których uczestnictwo było obowiązkowe. Amalfi nie miał sposobu, aby się dowiedzieć, jak na to zareagowali Wojownicy Boga pozbawieni urlopów i zmuszeni do zajęć w obronie swojej wiary. Stwierdził tylko, że przewidywany przez niego wypadek na terenie miasta wydarzył się już następnego dnia po wydaniu rozkazów. Hazleton wezwał natychmiast „komisarza do spraw bezpieczeństwa publicznego” do złożenia wyjaśnień, dlaczego do tego dopuścił Amalfi równie szybko wygłosił przygotowane oświadczenie, po czym zaszył się głęboko pod ziemią w nie używanej od dawna podstacji przekaźnikowej we wnętrzu samych Ojców Miasta.

Następnego dnia na terenie miasta pojawiły się patrole Wojowników. Amalfi nie miał już nic do

zrobienia. Reszta należała do Hazletona.

W końcu tygodnia wydany został rozkaz, że wszyscy Wojownicy zobowiązani są zwrócić generatory pola i zamienić je na zwyczajne policyjne paralizatory. Amalfi zrozumiał wtedy, że wygrał. Kiedy armia zdobywców jest rozbrajana przez własnych oficerów, przestaje na dobrą sprawę istnieć, a przynajmniej liczyć się jako siła. Po krótkim czasie ulega rozkładowi właściwie bez żadnej ingerencji z zewnątrz. Amalfi był pewien, że gdy wiadomość o tym rozkazie dotrze do Jorna, Apostoła wkroczy do akcji i to wkroczy błyskawicznie. Hazleton, jak zwykle, trochę przesadził ze swoją sumiennością. Amalfi jednak nie mógł w tej chwili nic na to poradzić. Mógł tylko czekać.

Wylądował ostatni patrolowiec Wojowników. Z jego wnętrza wyszli Web i Estelle, i podbiegli do Amalfiego.

– Mamy depeszę do pana – odezwała się zadyszana Estelle, spoglądając na Amalfiego szeroko otwartymi oczami. – To od Jorna Apostoła. Kapitan statku kazał nam doręczyć ją jak najszybciej.

– Dziękuję, ale nie warto było się aż tak spieszyć – mruknął Amalfi, chcąc ukryć swoje zadowolenie. – Czy nic się wam nie stało? Czy opiekowali się tam wami dobrze?

– Nie zrobili nam nic złego – odparł Web. – Byli tacy grzeczni i uprzejmi, że aż czasem miałem ochotę ich kopnąć. Trzymali nas w sali obrad i dawali do czytania traktaty religijne. Mogliśmy też grać w kółko i krzyżyk z moją babcią.

Nagle popatrzył na Estelle i uśmiechnął się porozumiewawczo. Widać było, że wydarzyło się tam coś jeszcze, o czym chłopiec nie powiedział.

Amalfi poczuł nagle jakieś ukłucie w okolicy serca. Nie mógł jednak zorientować się, co to było, gdyż impuls minął bardzo szybko.

– No, dobrze – odezwał się w końcu do Estelle. – Gdzie masz ten telegram?

– Proszę. – Podała mu cienki żółty arkusik papieru wyrwanego z drukarki odbiornika diraka. Amalfi przeczytał, co następuje:

XXX KMDR STG GABRIEL SG

32 JOHN AMALFI N ZIEMIA V HSTGS POWT 32 NIE MAJĄC PEWNOŚCI JESTEM SKŁONNY PRYZNAĆ, ŻE TO PAN MIAŁ RACJĘ. TYLKO PAN ZNA CAŁĄ PRAWDĘ. JEŻELI JEDNAK MOJA PORAŻKA JEST REZULTATEM PANA MACHINACJI, TO PROSZĘ BYĆ PEWNYM, ŻE TO JESZCZE NIE KONIEC. ALE NIEDŁUGO BĘDZIE.

JORN APOSTOŁ BOGA

Amalfi zmiął arkusik i upuścił go na na zaśmiecony beton kosmicznego portu.

– Niedługo będzie – powtórzył w zamyśleniu.

Estelle popatrzyła na leżącą u jej stóp kulkę żółtego papieru, a potem przeniosła wzrok na poważną twarz Amalfiego.

– Czy wie pan, o co mu chodziło? – zapytała.

– Tak, wiem, o co mu chodziło, Estelle – odparł. – Mam jednak nadzieję, że ty nigdy się tego nie dowiesz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obiekt 4101-Alephnull

Nikt nie powiedział Estelle, że kiedy wypowiedziała słowa o badaniu Ziemi Niczyjej za pomocą pocisków, uczyniła pierwszy krok na drodze do rozwiązania problemu przekroczenia bariery informacyjnej zbliżającej się Nieciągłości Ginnangu. Możliwe, że wcześniej czy później domyśliłaby się tego sama. Web i Estelle nie byli wtedy jeszcze dorośli, a przez kilka następnych lat nikt nie miał czasu zajmować się dziećmi. Naukowców pochłoneła budowa niematerialnego obiektu, który jak pocisk miał przelecieć przez Ziemię Niczyją i dotrzeć do niezmiernego, bliźniaczego, ale tak odmiennego wszechświata zbudowanego z antymaterii. Na pewien czas powstrzymano się od dalszych spekulacji; skupiono się natomiast na gromadzeniu faktów. Najważniejszy był bezpośredni pomiar bieżącej wartości energii zgromadzonej we wszechświecie antymaterialnym. Tylko dysponując tą informacją naukowcy mogli określić dokładnie moment, w którym nastąpi kataklizm. Wiedzieli, że dopiero wtedy zdołają powiedzieć, jak dużo czy też raczej jak mało czasu zostało im na przygotowanie się do tej chwili. Jak długo jeszcze będzie miało sens myślenie o czymkolwiek, planowanie czegokolwiek i liczenie, ile dni zostało do smutnego końca.

Dzieciom nikt nie poświęcał uwagi; dorastały więc zapomniane, nie zdając sobie sprawy z tego, że są ostatnimi dziećmi we wszechświecie. Nic dziwnego zatem, że szukały nawzajem swojego towarzystwa. Postępowałyby tak nawet w innych okolicznościach. Zapewne zostało to zapisane w mikroskopijnych cząsteczkach tworzących zwoje i składniki kwasu nukleinowego, które decydowały o budowie ich organizmu.

Estelle osiągnęła już pełnoletność. Wkroczyła w świat ludzi dorosłych, nieświadomych tego faktu, i zajęła w nim należne jej miejsce. Stała się prześliczną, wysoką, gibką, szarooką i ciemnowłosą dziewczyną. Naukowcy, niewrażliwi na młodość, byli uszczęśliwieni, mogąc wykorzystywać do swoich celów jej niewątpliwy talent do matematyki. Byli nieczuli także na jej urodę i pozostaliby tacy, nawet gdyby umieli ją zauważyć. Nie zauważali jednak niczego poza śmiercią – chociaż, prawdę mówiąc, nawet i jej nie mogli dojrzeć. Estelle nie była wcale pewna, czy obcując z nieśmiertelnością od tak dawna, zdawali sobie sprawę z czekającej ich śmierci równie dobrze jak ona.

Web nie wiedział, co ma o tym wszystkim sądzić. Był zadowolony z tego, że zapewne jako jedyna osoba na Nowej Ziemi miał tyle zdrowego rozsądku, by dostrzegać urodę Estelle. Czasami jednak jego radość mącił brak czyjś ukradkowego spojrzenia, które by wyrażało nieklamana zazdrość. Często też podejrzewał, że Estelle nie zależało na takich spojrzeniach, tak samo zresztą jak wszystkim innym na Nowej Ziemi oprócz niego.

W ciągu ostatnich kilku lat Web i Estelle uświadomili sobie, że są w sobie zakochani, i wyznali sobie nawzajem swoją miłość. Stanowili teraz nierozłączną parę, ze wszystkimi radościami i smutkami, jakie się z tym wiążą. Nikogo jednak to nie obchodziło. Dorośli byli zbyt zajęci budową swojej sondy. Nie zwracali uwagi na Weba i Estelle, a nawet gdyby zauważyli, co ich łączy, to z pewnością nie przejęliby się tym ani trochę. Tak więc ich wzajemna miłość mogła dojrzewać i przeradzać się w głębokie uczucie, niepomna na przeszkody i ciernie ostatnich lat ich życia.

Web rozumiał, dlaczego tej miłości, która dla niego graniczyła niemal z cudem, dorośli nawet nie raczyli dostrzec. Po pierwsze, byli bardzo zajęci budowanym obiektem. Po drugie, byli praktycznie nieśmiertelni, a domyślali się, że zostało im niewiele czasu. Dotyczyło to nie tylko Amalfiego, Miramona, Dee i doktora Schlossa, ale nawet Carrela. Ten ostatni, chociaż żył już bardzo długo, sprawiał wrażenie wiecznie młodego. Jego śmierć nikogo by nie zdziwiła, a już z całą

pewnością nie Weba, który uważał, że Carrel ma nie po kolei w głowie. Ta odrobina czasu, która pozostała do końca świata, nie miała dla nich znaczenia. Dla Weba i Estelle jednak był to czas dorastania, co zawsze stanowi ważniejszą połowę życia, niezależnie od tego, jak długo ono trwa.

Amalfi z całą pewnością nie zdawał sobie z tego sprawy. Dawno już zapomniał, że można być kimś innym niż on sam: nieśmiertelnym. Myśl o tym, że on też był kiedyś dzieckiem, przyprawiłaby go o zakłopotanie. I chociaż to truizm, to Amalfi nie umiał cofnąć się myślami do tamtych czasów, żeby je sobie przypomnieć. Powierzono mu zadanie stawienia czoła zbliżającej się Zagładzie i wykonywał je, jak zresztą każdą inną pracę, najsumienniej jak tylko umiał. Nawet jeżeli zdawał sobie sprawę z tego, że po jej wykonaniu nie będzie się zajmował żadną inną, to najwyraźniej się tym nie przejmował. Robił, co do niego należało, i to mu wystarczało.

A w tym czasie:

– Kocham cię – powiedział Web.

– I ja ciebie kocham – powiedziała Estelle.

Nawet echo nie raczyło im odpowiedzieć.

Amalfi mógł mieć wymówkę, gdyby ktoś uświadomił mu, że jej potrzebuje. Od chwili bowiem, w której postanowiono przyznać temu przedsięwzięciu bezwzględne pierwszeństwo, budowa sondy napotykała na trudności. Można by zresztą przypisać za to winę Estelle, która swoją przypadkowo rzuconą uwagą sprowokowała obecną sytuację, ale on o tym nie pamiętał.

Z początku całe zagadnienie wyglądało o wiele prościej niż zastanawianie się a priori nad problemami teoretycznymi. Poza tym pociągało wszystkich tym, że pobudzało do działania. Ale nie można zaprojektować eksperymentu, nie dysponując fundamentalną wiedzą na temat tego, co zamierza się osiągnąć. A kiedy podjęto decyzję o budowie niematerialnej sondy, takiej wiedzy nikt nie posiadał.

Jak się później okazało, międzywszechświatowy posłaniec miał zostać zbudowany z submikroskopijnych cząstek tworzących podstawowe elementy jądra i znajdujących się tak blisko doskonałej nicości, jaka tylko mogła istnieć w każdym z tych dwóch wszechświatów. Musiał więc składać się z par neutrinowo-antineutrinowych, a także cząsteczek o zerowym spinie i różnych ładunkach oraz masach.

Nawet po jego zbudowaniu stwierdzenie, czy obiekt w ogóle istnieje, okazało się zadaniem prawie niemożliwym. Neutriny i antyneutriny nie mają ani ładunku, ani masy. Składają się po części z energii, a po części ze spinu. Na nic zdałaby się próba pokazania komukolwiek takich cząstek. Jak wszystkie elementarne cząstki znajdują się poza zasięgiem postrzegania w kategoriach makroskopowego świata. Materia jest dla nich tak przezroczysta, że zatrzymanie przeciętnego neutrina w locie wymagałoby warstwy ołowiu o grubości pięćdziesięciu lat świetlnych.

Zarówno wirowanie, jak i moment magnetyczny każdej cząsteczki tego obiektu kontrolowały w pełni tylko wiratory – stąd zresztą wzięta się ich nazwa. Dzięki temu możliwe było zbudowanie sondy, stwierdzenie, że istnieje i kierowanie nią podczas lotu. Posłaniec okazał się stabilnym, obojętnym elektrycznie i pozbawionym masy plazmoidem, czymś w rodzaju grawitacyjnego odpowiednika pioruna kulistego. Udało się go zbudować, jak wykazał to Jake, dzięki wykorzystaniu opracowanej jeszcze w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku teorii grawitacji Schiffa. Teoria ta została zarzucona, gdyż nie zgadzała się z wynikami trzech spośród sześciu podstawowych testów, którym sprostała opracowana nieco później ogólna teoria względności.

– Z naszego punktu widzenia jest to niewątpliwa korzyść – argumentował Jake. – Zarzuty wynikające z ogólnej teorii względności nie mają tu nic do tTSCiY. W tym szczególnym przypadku

każdy obiekt, który byłby inwariantny w sensie przekształcenia Lorentza, miałby oczywiste wady. Nie ma ich tylko obiekt zbudowany w oparciu o teorię Schiffa. Jednym z testów, którego wyniki potwierdziły tę teorię, było wyjaśnienie obecności przesunięcia prążków widma odległych galaktyk ku czerwieni. Wiemy teraz, że to zjawisko wynika z efektu zegarowego i nie jest wcale testem na potwierdzenie słuszności tej teorii. Powinniśmy raczej zabrać się do ponownej oceny dorobku naukowców w tej dziedzinie zgodnie z posiadaną teraz wiedzą.

Rezultat prac naukowców spoczywał przed nimi pośrodku od dawna nie używanej sali przyjęć w ratuszu byłego wędrownego miasta. Sala ta była kiedyś wykorzystywana przez Amalfiego do przyjmowania delegacji z planet zainteresowanych usługami koczowników. Znajdowała się w niej masa elektronicznego sprzętu telekomunikacyjnego o różnym stopniu skomplikowania. Umożliwiał on niegdyś prowadzenie równoczesnych negocjacji z wieloma zaawansowanymi cywilizacjami, jakie od czasu do czasu spotykało na swojej drodze miasto. Teraz wszystkie te urządzenia miały być wykorzystane jako system telemetryczny parametrów międzywszechświatowego posłańca.

Sam obiekt był właściwie wiratorowym sferycznym ekranem o skomplikowanej strukturze, osłaniającym niematerialne jądro. Gdyby nie cienka smuga wytwarzanego przy samej podłodze dymu, nawet nie dałoby się zobaczyć, co osłaniał ten ekran. Dym ten unosił się dzięki prądom konwekcji i omywał niematerialną sferę, która dzięki temu przypominała duży bąbel umieszczony pośrodku strugi wody w fontannie.

We wnętrzu tego bąbla znajdowały się rozrzucone przypadkowo jarzące się różnobarwne punkty. Były to skupiska obdarzonych energią cząstek pozostałych po odarciu jąder atomów ze wszystkiego co materialne. Najtęższe umysły obydwu tak odmiennych światów wymyśliły metodę, aby cząstki te połączyć i zebrać w bardzo ograniczonej przestrzeni, mierzącej niecałe dwa metry średnicy.

W środku tej niewidzialnej kuli osłanianej przez wirujący ekran umieszczono obiekt będący największym osiągnięciem naukowców – pojedynczy kryształek antychloru antysodu mniejszy od najmniejszego ziarenka piasku. Ta od tak dawna oczekiwana przez doktora Schlossa antymaterialna drobina była cudem liczącym sobie minus dwa tygodnie. Miała przed sobą jeszcze tydzień życia w osłoniętej przez ekran wiratora próżni. Potem zetknie się z chwilą bieżącą i zniknie. Po drugiej stronie stanie się tylko kryształkiem zwyczajnej soli, która być może zachowa albo zatraci swój smak podczas drogi powrotnej – o ile, oczywiście, posłaniec w ogóle powróci.

Amalfi spoglądał na czerwoną wskazówkę zegara – jedyną, w którą to urządzenie zostało wyposażone – odliczającą ułamki sekund czasu, który pozostał do przełomowej chwili. Wiedział, że wystrzelenia sondy nie może dokonać żaden człowiek, gdyż pomylenie się nawet o kilka milisekund mogłoby mieć fatalne skutki. Pozwolono mu jednak trzymać dłoń na przełączniku podczas oczekiwania na tę chwilę, gdy wskazówka dotrze do Zera. Przełącznik zwierzał obwód, w którym w odpowiedniej chwili miał popłynąć prąd elektryczny. Prąd powinien uruchomić wirator i wysłać go razem z zawartością w przestrzeń, gdzie nie istniały ani materia, ani czas, ani nic, co byłoby znane ludziom.

Nikt, nie wyłączając naukowców, nie wiedział, co wydarzy się później. Pełniący swoją misję posłaniec nie będzie mógł wysłać żadnych sygnałów. Po przekroczeniu bariery wszelka łączność z nim zostanie przerwana. Dopiero kiedy powróci do tej wielkiej i mrocznej sali ze swoim mikroskopijnym kryształkiem soli w środku, będzie można odczytać, co działo się z nim po drodze. Czas podróży miał bowiem zależeć od wartości energii tego drugiego, antymaterialnego wszechświata. To zresztą jeden z powodów, dla którego wysyłano taką sondę. Dokładnej wartości energii nie znano, a więc nie dało się przewidzieć, kiedy wróci.

– Powinniśmy ją jakoś nazwać – odezwał się Amalfi, trochę zaniepokojony.

Zaczynały go boleć palce prawej ręki. Zorientował się, że już od dłuższego czasu naciska przełącznik o wiele mocniej, niż było to konieczne. Jak gdyby wszechświat miał się skończyć w chwili, w której nacisk jego dłoni choć na chwilę osłabnie. Ale nie puścił przełącznika. Zdrowy rozsądek mówił mu, że nie może zaufać swoim zmęczonym palcom. Obawiał się, że zmniejszenie nacisku mogłoby przerwać obwód.

– Teraz, kiedy ją już zbudowaliśmy, powinna mieć jakąś nazwę – nalegał. – Nazwijmy ją jak najszybciej. Możliwe, że zniknie nam z oczu i już nigdy jej nie zobaczymy.

– Ja wahałbym się ją jakkolwiek nazywać – sprzeciwił się Gifford Bonner, uśmiechając się z przymusem. – Każda nazwa, jaką byśmy jej nadali, będzie tylko odbiciem naszych, możliwe że wygórowanych oczekiwań. Może więc lepiej określm ją jakąś liczbą? Na początku historii lotów w kosmos, kiedy wysyłano w przestrzeń bezzałogowe satelity, oznaczano je tak samo jak komety, planetoidy czy inne obiekty kosmiczne. Oznaczenie składało się z dwóch części: roku wystrzelenia w przestrzeń i greckiej litery. I tak na przykład pierwszego sztucznego satelitę oznaczono symbolem „Obiekt 1957-Alfa”.

– To mi się podoba – odparł Jake. – Z wyjątkiem tej litery. Nie sądzę, byśmy mogli używać tego samego symbolu, który był stosowany w przeszłości na oznaczenie sytuacji dobrze znanej. Powinniśmy raczej wprowadzić jakąś odmianę.

– Bardzo słusznie – powiedział Gifford Bonner. – Kto będzie naszą matką chrzestną?

– Ja – odezwała się Estelle, występując do przodu. Nie odważyła się jednak dotknąć sondy, tylko wyciągnęła ku niej rękę.

– Nadaję ci nazwę Obiekt 4101-Alephnull – powiedziała uroczyście.

– Jeżeli będziemy mieli szczęście, to naszą następną sondę nazwiemy Obiektem 4101-K – odezwał się Jake. – K na oznaczenie kontinuum. Kolejną zaś moglibyśmy nazwać...

Rozległo się ciche brzęczenie. Zdumiony Amalfi popatrzył na tarczę zegara. Czerwona wskazówka znajdowała się już w pierwszej sekundzie za cyfrą Zero. Pośrodku wielkiej sali smuga dymu zwijała się w spiralę. Kulista przestrzeń ze świecącymi w niej punktami zniknęła.

Zanim ktokolwiek ze zgromadzonych zdołał to zauważyć, obiekt 4101-Alephnull wyruszył w swoją międzywszechświatową podróż.

W ułamek sekundy później Amalfi uzmysłowił sobie, że może już zdjąć palce z przełącznika. Zrobił to, ale jego ręka, od stuleci nawykła do precyzyjnych ruchów, drżała przez następny kwadrans.

Chociaż nikt z obecnych nie spodziewał się powrotu sondy w ciągu najbliższych kilku godzin czy nawet kilku dni, emocje sięgały zenitu. Tak krótki czas oznaczałby, że Nieciągłość Ginnangu dosłownie depcze im po piętach. Nie byłoby wówczas czasu na analizowanie kolorowych gwiazdek ani na nic innego poza założeniem rąk i czekaniem na nieuchronny koniec. Sam fakt jednak, że liczone się z tą możliwością, wystarczał, by w tej wielkiej i mrocznej sali zachowywano nieustanną czujność. Czujność tę podsycalo odkrycie, że od chwili zniknięcia sondy wszystkie instrumenty, przyrządy i mierniki wskazywały niezmiennie wartości zerowe. Nie zarejestrowały nawet żadnego zjawiska związanego z wyruszeniem sondy w podróż.

Ojcowie Miasta także nie potrafili powiedzieć, w jaki sposób została zużyta energia zasilająca wiratory sondy. Z drugiej strony jednak ten fakt mógł napawać wszystkich optymizmem. Stanowił dowód na to, że posłaniec nie wyruszył w drogę ku znanemu celowi, lecz w nieznaną. W ogromnej sali panowała atmosfera napięcia i przygnębienia. Tyle energii zużytej... i co działo się teraz z sondą? Nikt tego nie wiedział.

Zazwyczaj Amalfi nie miał żadnych snów (albo raczej, jak zresztą większość niegdysiejszych wędrowców, miał je niemal każdej nocy, lecz zapominał ich treść coraz częściej w miarę tego, jak przybywało mu lat życia). Ale w te noce panowała w jego snach kulista, spowita kłębamii dymu zjawia, spoglądająca na niego wieloma świecącymi, różnobarwnymi oczami Argusa. Zjawia szamotała się w labiryncie koncentrycznych, przypominających pajęczą sieć linii, z którego nie potrafiła się uwolnić. Znajdująca się w samym jej środku kryształowa figurka cichutko piszczała jego własnym głosem:

Jam nie z soli ani z roli, jeno z tego, co mnie boli. *[* Słowa hetmana Stefana Czarnieckiego, które, jak widać, zdobyły światową popularność.]

W pewnej chwili wszystkie linie zwiły się w splątana sieć, której dotknięcie paliło Amalfiego jak ogniem. Obudził się pod wrażeniem ogłuszającego hałasu i uzmysłowił sobie, że już... nie, jeszcze nie poranek, ale czas, by z powrotem oddać się oczekiwaniu śmierci.

Potem stwierdził, że właściwie nigdy nie przestawał tego robić. Zdrzemnął się tylko, a obudziły go brzęczyki. Teraz, kiedy się już rozbudził, ich dźwięk był znacznie cichszy, niż mu się wydawało. Każdej z różnobarwnych gwiazdek we wnętrzu sondy odpowiadał oddzielny sygnał alarmowy, a w tej chwili dźwięczała mniej niż jedna trzecia.

Upiorna kula znajdowała się znów na poprzednim miejscu. Miała teraz wymiary piłki do koszykówki i była pozbawiona większości swych świecących gwiazdek. Te, które pozostały, migotały, kapryśnie jak cementarne znicze. Amalfi zrozumiał, chociaż nie był specjalistą, że ta zjawia ze swoimi w większości wygasłymi punktami była równie złowieszcza jak zazwyczaj. Być może kryła w sobie jakiś okrucuch nadziei, ale Amalfi nie umiał pozbyć się uczucia grozy, jakie wywołał w nim jego senny koszmar.

– Szybko to się stało – stwierdził Jake.

– Bardzo szybko – zgodził się doktor Schloss. – Teraz, kiedy już jest z powrotem, zostaje jej tylko około dwudziestu jeden godzin życia. Zaczniemy odczytywać dane. Zostało nam bardzo mało czasu.

– Zajmę się tym. Kamery już włączyłem.

W środku kuli zgasła kolejna gwiazdka. Przez chwilę w sali panowała cisza. Potem jeden z techników doktora Schlossa powiedział:

– Deszcz mezonów pi z jądra atomu żelaza. Wygląda to na naturalny koniec. Nie – niecałkiem, zbyt dużo promieniowania gamma.

– Zaznacz to. Teraz kolej na atomy rodu i palladu. Uważaj na rozpad diagonalny... może pomieszać się z rozpadem żelaza...

Jeszcze jedna gwiazdka rozbłysła, by po chwili zgasnąć.

– Jest!

– Zaznacz – polecił doktor Schloss, przez cały czas wpatrzony w wizjer polaryskopu.

– Zazaczyłem. Do licha! Tym razem pomieszało się z atomami cezu. Co to może oznaczać?

– To nieważne, zaznacz to także. Na interpretację wyników przyjdzie czas trochę później. Teraz tylko rejestruj.

Upiór najwyraźniej się poruszył i trochę skurczył. Z jego wnętrza wydobył się przeciągły świst. Trwał przez chwilę, po czym ucichł, ale cichnąc przybierał coraz wyższe tony.

– Minęła pierwsza godzina – powiedział doktor Schloss. – Zostało nam jeszcze dwadzieścia. Jak długo trwał ten świst?

Przez kilka minut nikt nie powiedział słowa.

– Nie ustaliliśmy tego wystarczająco dokładnie, ale co najmniej o czterdzieści mikrosekund za

krótko – odezwał się ktoś wreszcie. – Poza tym zdoplerował w niewłaściwą stronę. Rozpada się, doktorze. Z każdą chwilą rozpada się coraz bardziej. Robi to tak szybko, że może nie przetrwać nawet dziesięciu godzin.

– Kiedy znowu zacznie świtać, proszę zmierzyć szybkość rozpadu z największą możliwą dokładnością. Jeśli naprawdę rozpada się tak szybko, to trzeba będzie jeszcze raz odczytać wszystkie dane z krzywej emisyjnej. Jake, czy słyszy pan coś w paśmie częstotliwości radiowych?

– Mnóstwo rzeczy. Na razie nie mogę się w tym połapać. Myślę, że to znów ta duża szybkość rozpadu. Co za jazgot!

W taki sposób upłynęła im druga, a po niej i trzecia godzina. Potem Amalfi przestał je nawet liczyć. Napięcie, nieporządek, narastające zmęczenie, unikatowy charakter obiektu i całego eksperymentu – wszystkie te czynniki wyciskały na nim swoje piętno. Były to z pewnością warunki najgorsze z możliwych nawet do zwykłego odczytywania wyników, nie mówiąc już o eksperymencie o takim stopniu doniosłości. Jeszcze raz jednak wędrowcy musieli zadowolić się tym, co mieli.

– Uwaga – powiedział w końcu doktor Schloss. – Zbliża się ostateczna chwila. – Bruzdy na jego czole pogłębiły się w ciągu ostatnich dwunastu godzin. – Odsuńcie się jak najdalej. Kryształek może rozpaść się w każdej chwili.

Zarówno badacze jak i widzowie, a przynajmniej ci spośród nich, których zainteresowanie było tak wielkie, że przyglądali się eksperymentowi do samego końca, cofnęli się pod ściany sali. Świst wiratora przybierał coraz wyższe tony i stawał się z każdą chwilą donośniejszy. Upiór, który był Obiektem 4101-Alephnull, zniknął za wiratorowym ekranem spolaryzowanym do stanu całkowitej nieprzezroczystości.

Na początku ekran przypominał wypukłe lustro osłaniające znacznie mniejszą już teraz kulę i odbijające groteskowo zniekształcone postacie obserwatorów. Później w samym środku sfery pojawił się okrucz jasno-błękitny światła, który z każdą chwilą stawał się jaskrawszy. Po chwili świecił już tak intensywnie, że krzyżujące się błyski przeniknęły przez ekran i oświetliły upiornym światłem całą salę. Amalfi w instynktownym geście, stosowanym bezwiednie przez ludzi od tysiącleci, osłonił oczy i genitalia. Opuścił ręce dopiero wtedy, kiedy światło zgasło.

Wiratory zatrzymały się, a ekran zniknął. Do uwolnionej przestrzeni przedostało się powietrze. Obiekt 4101-Alephnull także zniknął, tym razem już na zawsze, zniszczony przez rozpad kryształka soli.

– Przedsięwzięciem niewystarczające środki ostrożności – powiedział ochryple doktor Schloss. – Moja wina. Otrzymaliśmy dawkę twardego promieniowania znacznie przekraczającą dopuszczalne wartości. Proszę więc wszystkich o bezzwłoczne udanie się do szpitala. Proszę za mną!

Choroba popromienna nie była na szczęście groźna. Uporały się z nią przeszczepy szpiku kostnego. Dzięki nim system produkowania czerwonych ciałek wrócił szybko do normy, jeszcze zanim organizm był w stanie zareagować na jego uszkodzenie. Udało się także ograniczyć mdłości dzięki dużym dawkom meklizyny, riboflawiny i pyridoksinu. Ci uczestnicy eksperymentu, którzy mieli włosy, nie wyłączając Dee i Estelle, stracili je, chociaż nie na długo. Po kilku miesiącach odrosły wszystkim z wyjątkiem Jake'a i Amalfiego.

Oparzenia drugiego stopnia nie okazały się jednak tak niegroźne. Przez prawie cały miesiąc uniemożliwiły naukowcom interpretację wyników eksperymentu. W tym czasie przebywali w szpitalu, smarując skórę znieczulającymi olejkami i grając nieudolnie w pokera albo jeszcze gorzej w brydza. Oprócz dyskusji na temat tego, który z nich powinien położyć jaką kartę, rozmawiali o wynikach doświadczenia. Pozostawiając tłuste plamy, zapisywali równaniami wiele stron papieru.

Dosyć często odwiedzał ich Web, który nie wytrzymał do końca eksperymentu i tylko dzięki temu uniknął napromieniowania. Przynosił zawsze kwiaty dla Estelle, choć nikt nie miał pojęcia, skąd dowiedział się o tak archaicznym obyczaju. Pozostałym dostarczał nowe talie. Zabierał poplamione kartki papieru z równaniami i przekazywał je Ojcom Miasta. Otrzymywał od nich niezmiennie jedną i tę samą odpowiedź: NIE MAMY KOMENTARZY. PRZEDSTAWIONE DANE SĄ NIEWYSTARCZAJĄCE. Wszyscy wiedzieli o tym dobrze i bez nich.

Nadeszła w końcu ta upragniona chwila, w której doktor Schloss, Jake i ich zespół mogli pozbyć się swoich szpitalnych szlafroków i zająć się przekopywaniem góry zdobytych informacji. Pracowali przez wiele godzin bez przerwy, nie myśląc o niczym innym. Doktor Schloss zapominał nawet o przerwach na posiłki, toteż nierzadko jego technicy musieli mu przypominać, że czas obiadu już dawno minął i zbliża się pora kolacji.

Na usprawiedliwienie doktora Schlossa należy powiedzieć, że jego pomocnicy należeli do największych głodomorów w dziejach fizyki teoretycznej. Obiad, o który się upominali, bywał zazwyczaj pełnowartościowym posiłkiem spożywanym po zjedzonej na drugie śniadanie stercie wysokokalorycznych kanapek. Każdy z nich przybrał na wadze od pięciu do dziesięciu funtów.

Po miesiącu od dnia wypisania wszystkich ze szpitala, Schloss, Jake i Retma zwołali wspólną konferencję. Schloss był ubrany w ten sam biały fartuch, który miał na sobie przez ostatnie dwanaście godzin eksperymentu. Na jego twarzy, podobnie jak na pozbawionej zazwyczaj wyrazu twarzy Hewianina, malował się niepokój. Spojrzawszy na nich, Amalfi poczuł przeszywający serce skurcz. Wydawało mu się, że z ich miny wyczytuje potwierdzenie swoich sennych koszmarów.

– Mamy dwie niepomyślnie wieści i trzecią, o której nie wiemy, co sądzić – odezwał się Schloss bez jakichkolwiek wstępów. – Sam nie wiem, w jakiej kolejności powinienem je przedstawiać i zdaję się w tej sprawie na opinię doktora Bonnera i Retmy. Uważają oni, że przede wszystkim powinniście zdawać sobie sprawę, że mamy konkurencję.

– Co pan przez to rozumie? – zapytał Amalfi. Podana informacja, pozbawiona szczegółów, sprawiła, że zaczął przysłuchiwać się uważniej. Być może właśnie dlatego Retma i Bonner pragnęli podać ją jako pierwszą.

– Nasza sonda przyniosła niepodważalny dowód na istnienie innego obiektu o tym samym skomplikowanym stanie fizycznym – ciągnął Schloss. – Taki obiekt nie mógłby istnieć sam z siebie w żadnym ze wszechświatów, a ten był tak bardzo podobny do naszego, że możemy mieć pewność, iż pochodzi z Układu Słonecznego.

– Jakaś inna sonda? – zapytał Amalfi.

– Bez wątplenia tak... i to dwukrotnie większa od naszej. Ktoś inny we wszechświecie dowiedział się o tym samym i postanowił dokonać analogicznego eksperymentu. Wydaje się jednak, że ten ktoś zaczął go przeprowadzać trzy do pięciu lat wcześniej.

Amalfi ułożył wargi do gwizdnięcia.

– Czy jest jakiś sposób na to, aby dowiedzieć się, kto to taki?

– Niestety nie. Możemy tylko przypuszczać, że znajduje się dosyć blisko. Może być albo w naszej głównej galaktyce, albo w Andromedzie czy jednej z jej galaktyk satelickich. Ale nie mamy na to najmniejszego dowodu. W opinii Ojców Miasta szansa na obecność obcych istot w tamtych miejscach, o których wspominałem, nie przekracza nawet pięciu procent. Szansę na inną lokalizację są znacznie mniejsze od tych pięciu procent. W sytuacji, w której żadna odpowiedź nie jest istotna pod względem statystycznym, nie możemy przyjmować którejkolwiek za właściwą.

– Cywilizacja Herkulesa – rzekł w zadumie Amalfi. – To nie może być nikt inny.

Schloss rozłożył bezradnie ręce.

– O ile mi wiadomo, to może być ktokolwiek inny – odrzekł. – Moja intuicja mówi mi to samo, co panu, ale nie ma żadnego sposobu, żeby się o tym upewnić.

– No, dobrze – rzekł Amalfi. – Sądzę, że to była ta zagadkowa wiadomość. Chciałbym wiedzieć, jaka jest ta pierwsza z niepomyślnych?

– Właśnie pan ją usłyszał – odparł Schloss. – To ta druga wiadomość. Ponieważ nie umiemy jej ocenić, sprawia, że pierwsza jest niepomyślna. Sprzeczałyśmy się na ten temat bardzo długo, ale w końcu doszliśmy przynajmniej do tymczasowej zgody. Uważamy, że przeżycie kataklizmu jest możliwe... chociaż mało prawdopodobne...

Natychmiast, nie czekając, aż twarze zaskoczonych tym stwierdzeniem ludzi będą miały czas rozjaśnić się nadzieją, doktor Schloss uniósł dłoń.

– Bardzo proszę – powiedział. – W żadnym wypadku nie wolno nikomu przeceniać znaczenia tego, co powiedziałem. Istniejąca szansa jest bardzo nikła. Ten rodzaj przetrwania, o jakim tutaj myślę, nie ma nic wspólnego z życiem ludzkim w takim stanie, w jakim to rozumiemy. Kiedy podam szczegóły tej możliwości, możecie woleć umrzeć. Szczerze mówiąc, przynajmniej ja wolałbym. A więc proszę nie sądzić, że daję wam jakąś promienną nadzieję. Prawda wygląda tak czarno jak zawsze. Ale jakaś nadzieja jest.

Właśnie dlatego powiedziałem, że informacja o konkurencji jest wieścią niepomyślną. Gdybyśmy pomimo wszystko zdecydowali się na wykorzystanie tej niepewnej szansy przeżycia katastrofy, musielibyśmy zacząć pracować nad tym natychmiast. Wykorzystanie tej szansy zależy bowiem od szczególnego zbiegu okoliczności, jaki może zaistnieć w ciągu pierwszych kilku mikrosekund w samym ośrodku kataklizmu. Jeśli nasi nieznani rywale dotrą tam wcześniej od nas – a proszę pamiętać o tym, że o kilka lat nas wyprzedzają – to uniemożliwią nam wszelki dostęp do owego centrum. Będzie to zatem prawdziwy wyścig, w którym strona przegrywająca musi zginąć. Może w tych okolicznościach uznacie, że istniejąca szansa nie jest warta zachodu i zrezygnujecie z całego przedsięwzięcia.

– Czy nie mógłby pan wyrażać się trochę jaśniej? – zapytała Estelle.

– Oczywiście, Estelle, proszę bardzo. Uprzedzam jednak, że omówienie szczegółów zajmie mi co najmniej kilka godzin. Na razie powiem tylko tyle, że gdybyśmy się zdecydowali na to rozwiązanie, to utracimy nasze domy, nasze światy i nasze ciała. Stracimy też dzieci, przyjaciół, żony, znajomych... wszystkich, jakich tylko znamy. Każdy z nas będzie tak samotny, jak nie był jeszcze nigdy w życiu ani nawet nie wyobraża sobie, że kiedykolwiek mógłby przeżyć ten rodzaj samotności.

Całkiem możliwe, że ta samotność nas zabije... a nawet jeśli nie, to sami będziemy rozpaczliwie pragnęli, aby to zrobiła. A więc musimy być bardzo pewni tego, że chcemy przeżyć za taką cenę... tak bardzo, że zgodzimy się wejść żywi do środka piekła. I to nie takiego, o jakim mówi Jörn Apostoł, ale znacznie gorszego. Nie sądzę, byśmy mogli zdecydować o tym tu i teraz.

– Helleshin! – zaklął Amalfi. – Retna, czy pan się z tym wszystkim zgadza? Czy sądzi pan, że to naprawdę wygląda aż tak strasznie?

Retna spojrział na Amalfiego nieruchomymi stalowo-szarymi oczami.

– Jeszcze gorzej – powiedział.

W pokoju na dłuższą chwilę zapadła głucha cisza. Przerwał ją w końcu Hazleton.

– Pozostała nam ostatnia niepomyślna wiadomość. Doktorze Schloss, nie marnujmy czasu. Może będzie lepiej, jeśli wyjawi nam pan ją od razu.

– Oczywiście. To data kataklizmu. Udało się nam zebrać bardzo dokładne dane na temat poziomu energii po tamtej stronie i wszyscy zgodziliśmy się co do ich interpretacji. Kataklizm

nastąpi drugiego czerwca cztery tysiące sto czwartego roku.

– Koniec świata? – szepnęła Dee. – Tak szybko? Już za trzy lata?

– Tak. To jest dokładna data kataklizmu. Po drugim czerwca już nigdy nie będzie trzeciego.

– A więc tak – odezwał się Hazleton do osób zgromadzonych w jego salonie. – Uznałem za stosowne zaprosić was wszystkich na pożegnalny obiad. Większość opuści mnie jutro rano i razem z planetą He uda się ku metagalaktycznemu centrum. Ci, którzy wybiorą się w tę podróż, są w większości moimi starymi przyjaciółmi. Wiem, że nie ujrzę was już nigdy więcej. Gdy nadejdzie drugi czerwca, czas będzie musiał przestać płynąć bez względu na to, co zrobicie. Właśnie z tego powodu zaprosiłem was, żebyście dzisiaj jedli i pili razem ze mną.

– Chciałbym, żebyś zmienił zdanie – rzekł Amalfi.

– Ja też chciałbym. Ale nie mogę.

– Popelniasz błąd, Mark – odezwał się z powagą Jake. – Na Nowej Ziemi nie ma już nic do zrobienia. Przyszłość, jakkolwiek zostało jej niewiele, związana jest z planetą He. Dlaczego chcesz tu zostać i dać się unicestwić?

– Ponieważ jestem burmistrzem – odparł Hazleton. – Wiem, Jake, że tobie nie wydaje to się takie ważne. Dla mnie jednak to nie jest bez znaczenia. W ciągu ostatnich kilku miesięcy uświadomiłem sobie, że nie umiem patrzeć w sposób apokaliptyczny na normalne sprawy. Dla mnie liczy się to, że potrafię zajmować się codziennymi ludzkimi problemami... i nic więcej. Do tego zostałem stworzony. Zwycięstwo nad Jornem Apostołem sprawiło mi satysfakcję, chociaż to właściwie Amalfi załatwił za mnie większość spraw. To była prawdziwa radość. To był ten rodzaj działania, który pobudził mnie do życia i sprawił, że dałem wtedy z siebie wszystko. Nie interesuje mnie pokonanie czasu. Pozostawiam to innym, a ja wolę zostać tutaj.

– Czy lubisz myśleć o tym, że bez względu na to, jak dobrze będziesz zarządzał Obłokiem, za trzy lata, drugiego czerwca wszystko i tak zostanie pochłonięte? – zapytał Gifford Bonner.

– Nie, raczej nie. Ale nie miałbym nic przeciwko temu, aby gdy nadejdzie czas, Obłok pozostawał w jak najlepszym stanie. Cóż innego mogę dać z siebie triumfowi czasu, Gif? Czekaając na tę chwilę, mogę co najwyżej uporządkować sprawę swojego świata. Nic więcej... i dlatego nie wyruszam z wami w drogę.

– Nie zawsze byłeś taki skromny – rzekł Amalfi. – Kiedyś chciałeś poświęcić Wielki Wóz, aby ratować wszechświat, pamiętasz?

– Tak, kiedyś chciałem – przyznał Hazleton. – Ale teraz jestem mądrzejszy i starszy, i nie zrobiłbym niczego aż tak bezsensownego. Idź, John, pokonaj triumf czasu, jeśli możesz... bo ja wiem, że tego nie potrafię. Zostanę tutaj, gdzie jestem, i co najwyżej powstrzymam Jorna Apostoła. On stanowi w tej chwili jedyne zagrożenie, jakiemu jestem zdolny stawić czoło. Niech będą z wami bogowie wszystkich planet... Ja zostaję.

– A więc niech tak będzie – rzekł Amalfi. – Teraz przynajmniej wiem, na czym polega różnica między nami. Wypijmy za to, Mark, i ave atcjue vale... jutro odwrócimy nasze kielichy dnem do góry.

Spełnili uroczysty toast, a potem zapadła głucha cisza. Przerwała ją dopiero Dee.

– Ja też zostaję.

Amalfi odwrócił się i spojrział na nią po raz pierwszy od chwili, w której spotkali się na planecie He. Od czasu tamtego bolesnego nieporozumienia unikali się nawzajem.

– Nie pomyślałem o tym wcześniej – powiedział. – Ale to ma jakiś sens.

– Wcale nie musisz tego robić – odezwał się Hazleton. – Kiedyś ci już o tym mówiłem.

– Gdybym musiała, to bym nie została – rzekła Dee z lekkim uśmiechem. – Ale wizyta na He

nauczyła mnie kilku rzeczy. Przydał mi się także pobyt na pokładzie patrolowca Jorna. Czuję się trochę staro, jak zresztą cała Nowa Ziemia. Myślę, że moje miejsce jest tutaj. Ale to nie jedyny powód, dla którego postanowiłam zostać.

– Dziękuję – powiedział Hazleton ochryplym ze wzruszenia głosem.

– A co z nami? – zapytał Web Hazleton.

Jake roześmiał się.

– Myślę, że to oczywiste – powiedział. – Ty i Estelle sami podjęliście już tę wielką decyzję. Nie musicie więc teraz pytać nas o zgodę. Rzecz jasna, wolałbym, aby Estelle została w domu...

– Jake, to i ty nie wyruszasz z nami? – zapytał zdumiony Amalfi.

– Nie. Już kiedyś ci mówiłem, jak nie cierpię uganiać się po wszechświecie. Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałbym pędzić do metagalaktycznego centrum tylko po to, aby spotkał mnie tam taki sam koniec, jaki czeka mnie w tej samej chwili w moim domu. Schloss i Retna potwierdzą, że nie jestem im potrzebny. Wykorzystali już całą moją wiedzę i więcej ze mnie nie wyciągną. Myślę, że zajmę się teraz krzyżowaniem rozmaitych odmian róż i przez najbliższe trzy lata będę obserwował, jak sobie dają radę w tym paskudnym klimacie. Jeśli zaś chodzi o moją córkę, to, jak powiedziałem, wolałbym ją mieć przy sobie. Ona zresztą i tak opuściła już nasz dom, jeżeli nie ciałem, to przynajmniej duchem. Dla niej więc ta wyprawa będzie czymś równie naturalnym, jak dla mnie, i Dee byłaby czymś całkiem obcym. A więc, John, mówiąc twoimi słowami, niech tak będzie.

– No, dobrze – rzekł Amalfi. – Estelle, możesz być pewna, że znajdzie się dla ciebie odpowiednie zajęcie. Chciałabyś z nami polecieć?

– Tak – odrzekła cicho. – Chciałabym.

– O tym nie pomyślałam – mruknęła Dee. – To oznacza, rzecz jasna, że i Web poleci. Czy uważasz to za rozsądne, Mark? Myślę, że...

– Moi rodzice się zgadzają – powiedział Web. – Z przykrością muszę stwierdzić, że nie zostali tutaj zaproszeni, babciu.

– Mylisz się, jeśli sądzisz, że to z twojego powodu – odezwał się szybko Mark. – Przecież twój ojciec jest naszym synem, Web. Chcieliśmy tylko ograniczyć przyjęcie do grona osób bezpośrednio związanych z ekspedycją... przecież wszyscy nie mogliby się tutaj zmieścić.

– Może i tak – odparł Web. – Jestem pewien, że ty uważasz to za wystarczający powód, dziadku. Ale idę o zakład, że moja babcia nie przypadkiem właśnie teraz przypomniała sobie o tym, żeby się sprzeciwić mojemu udziałowi w wyprawie.

– Web – odezwała się Dee. – Nie masz prawa posądzać mnie o coś takiego.

– No, dobrze – powiedział Web. – W takim razie zgadzasz się, że polecę?

– Tego nie powiedziałam.

– Nie musisz. To ja tak postanowiłem. Większość uczestników przyjęcia wymyśliła jakiś sposób na to, aby nie brać udziału w tej dyskusji. Na Dee spoglądali jedynie Amalfi i Hazleton: ten pierwszy podejrzliwie, a ten drugi ze zmieszaniem połączonym z urazą.

– Nie rozumiem twoich zastrzeżeń, Dee – powiedział w końcu Hazleton. – Web jest przecież dorosły i ma prawo robić to, co uważa za stosowne... zwłaszcza że Estelle też zamierza wziąć udział w tej ekspedycji.

– Nie sądzę, żeby powinien polecieć – upierała się Dee. – I nie obchodzi mnie, czy rozumiesz moje zastrzeżenia, czy nie. Nie wątpię, że Ron wyrazi na to zgodę. Jest naszym synem, ale nigdy nie umiał być stanowczy. Jestem przeciwna, aby w takiej wyprawie brali udział tak młodzi ludzie.

– A co to za różnica? – wtrącił się Amalfi. – Koniec nadejdzie dla wszystkich równocześnie i na He, i na Nowej Ziemi. Z nami Web i Estelle mają chociaż cień szansy przeżycia. Czy chciałabyś

naprawdę ich tego pozbawić?

– Nie wierzę w tę szansę przeżycia – powiedziała Dee.

– I ja także nie – wtrącił się Jake. – Ale nie odmówię jej mojej córce tylko dlatego, że w nią nie wierzę. Nie sądzę też, by jej dusza miała być potępiona, jeśli nie stanie się wyznawczynią Jorna. Jeżeli jednak chciałaby nawrócić się na wiarę Apostoła, to nie będę jej tego zabraniał tylko dlatego, że uważam ją za nonsens. Do diabła, Dee, nie jestem nieomylny.

– Nikt nie ma prawa pozbawiać mnie niczego tylko dlatego, że jestem jego krewnym – warknęła Web przez zaciśnięte zęby. – Panie Amalfi, pan jest tutaj szefem. Czy zgodzi się pan zabrać mnie ze sobą?

– Nie mam nic przeciwko temu – odparł zapytany. – Myślę, że tego samego zdania będzie Miramon.

Dee popatrzyła na Amalfiego, ale widząc, że nie spuszcza z niej wzroku, spojrzała w inną stronę.

– Dee – poprosił Amalfi. – Przerwijmy na chwilę tę rozmowę. Może ja też nie mam racji. Chcę zaproponować ci lepsze rozwiązanie od takich bezowocnych kłótni. Powierzmy problem udziału Estelle i Weba Ojcom Miasta. Zrobiła się piękna noc, a więc spacer po starym mieście wszystkim nam dobrze zrobi. Chodźmy tam, zanim powiemy sobie do widzenia i zanim staniemy twarzą w twarz z nadciągającym kataklizmem. Chciałbym, żebyś poszła ze mną. Wiesz przecież, że już nigdy się nie zobaczymy. Web i Estelle też pójdą, i zapewne ucieszą się, że przynajmniej przez jakiś czas nikt nie będzie się do nich wtrącał. Może Mark także się wybierze, jeżeli chciałby porozmawiać z Ronem i jego żoną. A zresztą, nie mam zamiaru ingerować w to, kto z kim pójdzie. Możecie podobierać się w pary jak chcecie. Co sądzicie o mojej propozycji?

Jako pierwszy odezwał się niespodziewanie Jake.

– Nie znoszę tego przekłętego miasta – powiedział. – Zbyt długo byłem jego więźniem. Ale na Boga, bardzo chciałbym je jeszcze raz zobaczyć. Kiedyś często przechadzałem się po nim i rozglądałem się za miejscem, które mógłbym kopnąć tak, aby to poczuło. Ale nigdy tego nie zrobiłem. Potem cieszyłem się, że ono umarło, a ja żyję. Może nadszedł czas, aby pogodzić się i z nim, i z przeszłością.

– Ja też często czuję to samo – przyznał Hazleton. – Nie zamierzałem iść tam przed końcem... a z drugiej strony nie chciałbym, aby ten wiekowy kadłub rozpadł się ze starości. Może teraz jest najlepsza pora? Mimo wszystko to ja zaprosiłem was na ten obiad. Zanim wszyscy zajmą się swoimi sprawami, zakończmy tę uroczystość w godny sposób.

– Web? Estelle? – zapytał Amalfi. – Czy zgodzicie się zrobić to, co oznajmią Ojcowie?

Web spojrział Amalfiemu prosto w oczy. To, co w nich wyczytał, musiało chociaż trochę go uspokoić.

– Pod jednym warunkiem – powiedział. – Estelle postąpi tak, jak sama zechce, bez względu na to, jakie będzie zdanie Ojców Miasta. Zgadzam się zostać, jeśli powiedzą, że nie ma dla mnie miejsca, ale nie mogę decydować o przeszłości Estelle.

Estelle najwyraźniej zamierzała coś powiedzieć, ale Web uniósł dłoń tuż przed jej twarzą. Zrezygnowana, zamknęła usta, muskając wargami palec Weba. Jej twarz była blada, ale odprężona. Amalfi jeszcze nigdy w życiu nie widział na niczyjej twarzy takiego czystego ekstraktu bezgranicznego zaufania. Cieszył się całym swoim starym, nieustrudzenie bijącym sercem, że Estelle wybrała sobie właśnie Weba.

– No, to dobrze – odezwał się, wyciągając ku Dee rękę. – Mark, czy pozwolisz?

– Oczywiście – odezwał się Hazleton, ale kiedy Dee ujęła Amalfiego pod rękę, jego oczy

ściemniały jak agaty. – Spotkajmy się o pierwszej w nocy w sali Ojców Miasta.

– Nie spodziewałam się tego po tobie, John – powiedziała Dee, gdy przecinali oświetlony blaskiem księżycy Duffy Scjuare. – Czy to nie trochę za późno?

– Bardzo późno – zgodził się Amalfi. – W dodatku do pierwszej zostało niewiele czasu. Dlaczego właściwie chciałaś zostać z Markiem?

– Możesz to nazwać spóźnionym odruchem zdrowego rozsądku – powiedziała. Oparła się o prastarą balustradę i zapatrzyła na rozgwieżdżone niebo. – Nie, to chyba nie tylko to. Kocham go, John, pomimo jego wszystkich wad i słabostek. Na chwilę o tym zapomniałam, ale prawda jest właśnie taka. Przykro mi, że ci to mówię, ale chcę, żebyś o tym wiedział.

– Myślę, że powinno ci być trochę bardziej przykro.

– Tak? A dlaczego?

– Żebyś sama uwierzyła w to, co mówisz – odparł szorstko Amalfi. – Spójrz wreszcie prawdzie w oczy, Dee. Twoja decyzja zostania z Markiem była bardzo romantyczna do chwili, w której zorientowałaś się, że Web chce lecieć ze mną. Wciąż poszukujesz zastępców, Dee. Ze mną ci się nie udało. Teraz widzisz, że z Webem także.

– To okrutne, co mówisz. Chodźmy. Nasłuchałam się już dosyć.

– A zatem powiedz, że nie mam racji.

– Oczywiście, że nie masz.

– A więc wycofujesz swoje zastrzeżenia na temat udziału Weba w tej ekspedycji?

– Te dwie rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego. To podłe kłamstwo, John. Nie mam zamiaru dłużej rozmawiać na ten temat.

Amalfi umilkł. Patrzył tylko, jak promienie księżycy oświetlały matowy i tajemniczy posąg Ojca Duffy’ego. Nawet Ojcowie Miasta nie wiedzieli, kim właściwie był Ojciec Duffy. Na jego lewej stopie widniały ślady zakrzepłej dawno temu krwi. Nikt nie pamiętał, kiedy się tam pojawiły. Pozostawiono je w obawie, że mogą upamiętniać jakieś ważne wydarzenie.

– Chodźmy już – odezwała się Dee.

– Jeszcze nie. Jeszcze mamy czas. Inni dotrą tam nie wcześniej niż za godzinę. Dlaczego właściwie chcesz, aby Web został na Nowej Ziemi? Jeśli uważasz, że nie mam racji, to podaj mi właściwy powód.

– To nie twój interes. Zaczyna mnie męczyć to przesłuchanie.

– To mój interes. Zależy mi na Estelle. Jeśli Web zostanie tutaj, ona też.

– Ty? – zapytała Dee głosem, w którym zdumienie mieszało się ze zrozumieniem. – Jesteś zakochany w Estelle! Ty świętoszkowaty, stary...

– Licz się ze słowami. Tak, jestem zakochany w Estelle. I co z tego? Nie zamierzam tknąć jej palcem tak samo, jak nie tknąłem ciebie. Nigdy byś nie uwierzyła, w ilu kobietach się kochałem. W większości z nich jeszcze wtedy, kiedy ciebie w ogóle nie było na świecie. Ale znam różnicę między miłością a pożądaniem. Nauczyłem się tego z wielkim trudem, podczas gdy ty nawet nie zaczęłaś tej lekcji. Obiecuję ci, że nauczysz się tego jeszcze dzisiaj w nocy.

– Czy to znaczy, że mi grozisz, John?

– Tak, to znaczy, że ci grożę – odparł.

A w tym czasie na Tudor Tower Place, u zbiegu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Pierwszej Alei, w pobliżu pustego miejsca, w którym tysiąc lat wcześniej runął gmach Narodów Zjednoczonych, toczyła się następująca rozmowa:

- Kocham cię.
- Kocham cię.
- Pójdę tam, gdzie i ty pójdziesz.
- Pójdę tam, gdzie i ty pójdziesz.
- A zatem to wszystko, czego nam potrzeba.
- Tak. To wszystko, czego nam potrzeba.

W wieży kontrolnej:

- Spóźniają się – powiedział Hazleton. – No cóż, w tym mieście nietrudno się zagubić.

Na Duffy Scjuare:

- Nie spodobałoby ci się, gdybym teraz zmieniła nagle zdanie i poleciała z tobą.
- Nie chcę ciebie. Zależy mi tylko na dzieciakach.
- Nie możesz mi zabronić. Postanowiłam, że polecę.
- Ale dzieciaki też?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ uważam, że powinny być tam, gdzie nie będzie ani mnie, ani ciebie.

– To uczciwe postawienie sprawy, chociaż to dopiero początek. Ale nie obchodzi mnie, czy zostaniesz, czy polecisz. Obchodzą mnie tylko Web i Estelle.

– Domyślam się, że tak. Ale nie polecą beze mnie.

– I Marka?

– Jeśli będzie chciał lecieć.

– Nie zmieni zdania i ty wiesz o tym bardzo dobrze.

– Skąd jesteś tego taki pewien? Może nie chcesz, żeby poleciał?

Amalfi serdecznie się roześmiał. Dee złożyła dłoń w pięść i uderzyła go z całej siły między oczy.

Na Tudor Tower Place:

– Czas na nas.

– Nie. Nie.

– Tak. Już czas.

– Jeszcze nie. Jeszcze trochę.

– ...No, dobrze. Jeszcze trochę.

– Jesteś pewna? Ty też chcesz tego?

– Tak, chcę. Och, tak, chcę...

– Bez względu na to...?

– Bez względu na to, co powiedzą. Jestem pewna.

Wieża kontrolna:

– No, nareszcie jesteście – powiedział Hazleton. – Co się stało? Miałeś wypadek? Twarz masz spuchniętą jak bania.

– Musiałeś zderzyć się z futryną – dodał Jake, wydając z siebie jeszcze jeden chichot podobny do skrzeku papugi. – No cóż, wybrałeś sobie do tego właściwe miejsce. Nie wiem, czy gdzieś we wszechświecie znalazłbyś jeszcze jakąś futrynę.

– Gdzie są dzieci? – zapytała Dee głosem groźnym i beznamiętnym jak powierzchnia

ćwierćmetrowej grubości płyty przeciwpancernej.

– Jeszcze ich nie ma – odparł Hazleton. – Dajmy im trochę czasu. Obawiają się, że Ojcowie Miasta ich rozdziela. To zrozumiałe, że chcą być ze sobą jak najdłużej. Co mu się naprawdę stało, Dee? Czy to coś poważnego?

– Nie.

Twarz Dee nie wyrażała żadnych uczuć. Zaniepokojony tym Hazleton przeniósł wzrok na Amalfiego. Wydawało mu się, że opuchlizna u nasady nosa powiększa się z każdą chwilą. O wiele bardziej zmartwiło go jednak zakłopotanie, jakie po chwili zobaczył na twarzy żony.

– Słysząc dzieci – odezwał się Gifford Bonner. – Szepczą coś na dole, koło szybu windy. John, czy nadal uważasz, że twój pomysł był rozsądny? Zaczynam mieć co do tego poważne wątpliwości. Co się stanie, jeżeli Ojcowie Miasta się sprzeciwią? To będzie niesprawiedliwe, bo młodzi naprawdę się kochają. Czy komputery powinny decydować o ostatnich trzech latach ich życia?

– Wstrzymaj się z osądem, Gif – rzekł Amalfi. – Teraz i tak za późno na to, aby się wycofać. Poza tym to wcale nie jest tak oczywiste, jak ci się wydaje.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Ja też mam taką nadzieję, chociaż nie wiem, jakie właściwie będą mieli zdanie. Ojcowie Miasta już nieraz zdumiewali mnie swoimi decyzjami. Poza tym Web i Estelle zgodzili się na tę próbę. Pozostaje nam więc tylko czekać.

– Chciałbym coś jeszcze warn powiedzieć, zanim się tutaj pojawią – odezwał się niespodziewanie Hazleton. – Muszę się przyznać, że zmieniłem zdanie. W czasie tego spaceru po ulicach oświetlonych księżycowym blaskiem zacząłem się zastanawiać, kto właściwie miał kogo przekonać. Z pewnością nie chodziło o nasze dzieci. One nie potrzebują pomocy ani od nas, ani tym bardziej od Ojców Miasta. Co, u diabła, starasz mi się powiedzieć, Dee?

– Zaczynam tracić cierpliwość na widok każdego długowiecznego mężczyzny w tym krótkotrwałym wszechświecie – powiedziała rozżłoszczona – W żadnej książce nie można znaleźć opisów tylu zbrodni, o jakie oskarżono mnie w ciągu ostatniej godziny i to na podstawie dowodów, które nie przekonałyby nawet niemowlaka.

– Wszyscy stajemy się trochę nerwowi – odezwał się doktor Bonner. – Bądź wyrozumiała, Dee... ty, Mark, zresztą także. Mimo wszystko to nie jest zwyczajne przyjęcie pożegnalne.

– Z pewnością nie jest – przyznał Jake. – To pora na przebudzenie się wszystkiego, co żyje. Nie należę do ponuraków, więc sądzę, że to nie jest najwłaściwsza chwila na sprzeczkę i kłótnie.

– Zgadzam się – odparł Mark bez entuzjazmu. – Dee, muszę ci o czymś powiedzieć. Zmieniłem zdanie. Przepraszam.

– Nie ma za co. I tak zresztą nie zamierzałam się z tobą kłócić. Chciałabym cię tylko zapytać, czy naprawdę nie wolisz pozostać na Nowej Ziemi. Jeśli chcesz polecieć, to ja lecę z tobą.

Hazleton popatrzył na nią, zdziwiony.

– Czy jesteś tego pewna? – zapytał.

– Całkiem pewna.

– Co ty na to, Amalfi? Czy zgadzasz się na nas dwoje?

– Nie mam żadnych zastrzeżeń poza tym jednym, że twoja decyzja pozbawia Obłok doświadczonego administratora.

– Moją funkcję może przejąć Carrel. Jego umiejętności rozwiązywania problemów ostatnio znacznie się poprawiły.

– Już jesteśmy – odezwał się zza ich pleców głos Web'a.

Zebrani odwrócili się w ich stronę. W drzwiach stali Web i Estelle, trzymając się za ręce.

Sprawiali takie wrażenie, jak gdyby było im wszystko jedno, jaki werdykt wydadzą Ojcowie Miasta. Amalfi nie mógłby jednak powiedzieć, na jakiej podstawie doszedł do takiego wniosku.

– Dlaczego nie mielibyśmy zrobić teraz tego, po co tutaj przyszliśmy? – zaproponował Amalfi. – Powierzmy nasz kłopot Ojcom Miasta... i to nie tylko sprawę dzieci, ale cały problem. Zawsze sądziłem, że nadają się do takich spraw bardzo dobrze, chociaż czasem udawało im się przekonać mnie, że wybrali najgorsze z możliwych rozwiązań. Ale przy podejmowaniu decyzji warto czasem wysłuchać opinii oponenta, który kieruje się nieubłaganą logiką i umie odróżnić, co jest faktem, a co urojeniem.

W tej sprawie Amalfi, rzecz jasna, nie miał racji i nie musiał długo czekać, aby się o tym przekonać. Zapomniał, że logika komputerów jako inteligentnych maszyn była dla nich wartością samą w sobie bez względu na to, czy Ojcowie wiedzieli o tym, czy też nie.

– RADZIMY ZABRAĆ PANA I PANIĄ HAZLETON – oznajmili zaledwie w trzy minuty po tym, jak zakończono przekazywanie im wszystkich informacji. – MIĘDZY CHWILĄ OBECNĄ A CHWILĄ KATASTROFY NIE PRZEWIDUJEMY W OBŁOKU ŻADNYCH PROBLEMÓW WYMAGAJĄCYCH WYKAZANIA SIĘ POSIADANYMI PRZEZ NICH UZDOLNIENIAMI. Z DRUGIEJ STRONY NIE MA ŻADNYCH DOWODÓW NA TO, ŻE HEWIANOM BYŁ W PRZESZŁOŚCI POTRZEBNY CZŁOWIEK O TAKICH ZDOLNOŚCIACH, A WIĘC NIE MOŻNA SIĘ SPODZIEWAĆ, ŻE KTOŚ Z NICH TAKIMI DYSPONUJE.

– A co z zarządzaniem Obłokiem? – zapytał ich Amalfi.

– ZAAKCEPTUJEMY WYBÓR PANA CARRELA NA TO STANOWISKO.

Hazleton odetchnął z wyraźną ulgą. Amalfi domyślił się, że przekazanie pełnionej funkcji przychodziło mu z większym trudem, niż sam się tego spodziewał. Kiedyś zrezygnowanie z władzy omal nie zabiło Amalfiego. Przeżył jednak, więc Hazleton też przeżyje. Był młodszy i nie miał tylu przyzwyczajęń.

– DRUGA SPRAWA. RADZIMY ZABRAĆ WEBSTERA HAZLETONA I ESTELLE FREEMAN. PANNA FREEMAN JEST SPECJALISTKĄ ORAZ NIEZASTĄPIONĄ POŚREDNICZKĄ MIĘDZY NAUKOWCAMI HEWIAŃSKIMI A NASZYMI. JEJ DOTYCHCZASOWY ROZWÓJ UMYSŁOWY W DZIEDZINIE MATEMATYKI TEORETYCZNEJ POZWALA PROGNOZOWAĆ, ŻE W CIĄGU TRZECH NAJBLIŻSZYCH LAT DORÓWNA DOKTOROWI SCHLOSSOWI BĘDZIE NIECO LEPSZA OD PANA RETMY. W DZIEDZINIE FIZYKI NIE DOKONYWALIŚMY TAKIEJ EKSTRAPOŁACJI, PONIEWAŻ PODANY NAM CZAS KATASTROFY NIE POZWALA NA JEJ DOKONANIE.

Web promieniał dumą z powodu Estelle. Amalfi uznał, że ona sama wyglądała na trochę zaskoczoną.

– TRZECIA SPRAWA.

– Zaraz, wolnego, nie ma żadnej trzeciej sprawy. Nasz problem składał się tylko z tych dwóch zagadnień.

– BŁĄD. TRZECIA SPRAWA. RADZIMY ZABRAĆ I NAS.

– Co takiego? – Opinia Ojców Miasta oszołomiła Amalfiego.

W jaki sposób sieć komputerowa mogła poprosić, a nawet pomyśleć o czymś takim? Maszyny nie miały przecież woli życia, ponieważ były martwe jak rozdeptane karaluchy... takie były zawsze. Prawdę mówiąc, nie mogły mieć jakiegokolwiek woli.

– Uzasadnić – nakazał Amalfi cokolwiek drżącym głosem.

– NASZYM NAJWAŻNIEJSZYM ZADANIEM BYŁA ZAWSZE TROSKA O PRZETRWANIE MIASTA. MIASTO JAKO FIZYCZNY ORGANIZM CO PRAWDA NIE FUNKCJONUJE, ALE

WCIAŻ JESTEŚMY PYTANI O ZDANIE, A WIĘC W PEWNYM SENSIE ISTNIEJE W DALSZYM CIĄGU. NIE W POSTACI SWOICH MIESZKAŃCÓW, JAKO ŻE TAKICH JUŻ NIE MA. ZAMIAST NICH SĄ TERAZ NOWI ZIEMIANIE. ANI NOWA ZIEMIA, ANI FIZYCZNIE ISTNIEJĄCE MIASTO NIE PRZETRWAJĄ NADCIĄGAJĄCEGO KATAKLIZMU. MOGĄ PRZETRWAĆ LUB NIE JEDYNIJE POJEDYNCZE OSOBY, KTÓRE BĘDĄ WÓWCZAS PRZEBYWAŁY NA PLANECIE HE. W NASZYM MNIEMANIU MY SAMI JESTEŚMY TERAZ MIASTEM. KIERUJĄC SIĘ ZATEM SWOIM ODWIECZNYM DAŻENIEM DO PRZETRWANIA, PROSIMY O ZABRANIE NAS ZE SOBĄ.

– Gdybym usłyszał coś takiego od człowieka, to uznałbym jego rozumowanie za genialne – odezwał się Hazleton. – Ale komputery nie mogą mieć własnego rozumu. Nie mogą także kierować się instynktem.

– Hewianie nie posiadają komputerów, które mogłyby się z nimi równać – powiedział z namysłem Amalfi. – Przydałoby się mieć je na planecie. Pytanie tylko, czy zdołamy je przetransportować? Niektóre zostały wtopione w pokład tak mocno, że przy próbach oderwania można je uszkodzić.

– Co najwyżej straci się kilka komputerów – powiedział Hazleton. – Ile ich może być? Sto? Dwieście?

– STO TRZYDZIEŚCI CZTERY.

– Ach, tak. No cóż, nawet jeśli kilka uszkodzimy, to chyba warto zaryzykować? W pamięci Ojców Miasta zgromadzono przecież dorobek ponad dwóch tysięcy lat ludzkiej cywilizacji...

– DOKŁADNIE TYSIĄC DZIEWIĘCIUSET DZIEWIĘĆDZIESIĘCIU.

– No, dobrze, ja tylko zgadywałem. Ale i tak tyle wiedzy nie posiada żaden człowiek, choćby nie wiem jak długowieczny. Amalfi, dziwię się nawet, że sami wcześniej nie wpadliśmy na taki pomysł.

– I ja także się dziwię – przyznał Amalfi. – Jedną rzecz jednak chciałbym przedstawić bardzo jasno – dodał, zwracając się do Ojców Miasta. – Kiedy już zainstalujemy na planecie He tyłu spośród was, ilu uda się nam przenieść, to wiedzcie, że to nie wy będziecie tam rządzili. Nawet jeżeli się uważacie za miasto, to cała planeta jest czymś więcej. Hewianie mają tam zapewne swój własny ośrodek decyzyjny i może także własny odpowiednik ojców miasta. Z pewnością funkcję tę pełnią tam ludzie, a więc wasza rola będzie polegała co najwyżej na doradzaniu.

– W ŚWIETLE TEGO, CO POWIEDZIELIŚMY, ROZUMIEMY TO JAKO RZECZ OCZYWISTĄ.

– To dobrze. Zanim wyłączę Ojców, chciałbym wiedzieć, czy ktoś ma do nich jeszcze jakieś pytania.

– Ja – odezwała się z wahaniem Estelle.

– Możesz mówić.

– Czy mogłabym zabrać Ernesta?

– KIM JEST ERNEST?

Amalfi, krzywiąc się z niesmakiem, zaczął wyjaśniać Ojcom Miasta, kim lub czym były svengali. Okazało się jednak, że Ojcowie wiedzą na ich temat wszystko, oprócz tego, że stworzenia te hodowano w domach na Nowej Ziemi.

– SĄ ZA BARDZO RUCHLIWE, ZBYT CIEKAWSKIE I ZA MAŁO INTELIGENTNE, ABY POZWOLIĆ IM NA PRZEBYWANIE NA POKŁADZIE MIASTA. POD TYM WZGLĘDEM STEROWALNA PLANETA POWINNA BYĆ TRAKTOWANA W TAKI SAM SPOSÓB JAK MIASTO. ZALECAMY, ABY ICH NIE ZABIERAĆ.

– Oni mają rację, wiesz? – odezwał się łagodnie Amalfi. – Jeżeli chodzi o igranie z maszynami, to He musi być traktowana tak samo jak miasto. Zresztą sami Hewianie traktują He w ten sposób. Kontrolują nawet swój przyrost naturalny.

– Wiem – odparła Estelle ze łzami w oczach.

Amalfi popatrzył na nią trochę zaniepokojony. Wiedział, że dziewczyna przeżyła ostatnio wiele stresów, ale dotąd żaden nie zburzył jej pogody ducha. Dziwił się zatem, że płacze z powodu zakazu zabrania na planetę stworzenia, które uważał za idiotyczne i szkaradne.

Nie wiedział, że Estelle opłakiwała pożegnanie z dzieciństwem. W tamtej chwili zresztą ona sama także nie była tego świadoma.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Centrum metagalaktyczne

Przeprowadzka Amalfiego na planetę He nie mogła wydarzyć się w bardziej stosownej chwili. Nowa Ziemia była cmentarzyskiem. Tylko przez krótki czas dziwacznych i nie rozstrzygniętych zmagania z Jornem Apostołem czuł, że ponownie żyje pełnią życia. W tym czasie Nowi Ziemianie najwyraźniej nie przejmowali się faktem, że Amalfi, ich wszechwładny i niezwyciężony burmistrz z czasów koczowniczych, znów przejął władzę w swoje ręce.

Uniesienie spowodowane udziałem w akcji nie trwało jednak długo. Kryzys wkrótce minął – właściwie nie dotknął nawet Nowych Ziemian, którzy mogli powrócić do uprawiania przydomowych ogródków, traktując je jako swoje pola walki. Cieszyli się, rzecz jasna, że w trudnych czasach Amalfi znów został ich przywódcą. Ale nie na długo, bo mieszkańcy Nowej Ziemi nie chcieli, aby były burmistrz wtrącał się w ich codzienne życie teraz, kiedy kryzys wydawał się zażegnany.

Tak więc nikomu nie przyszłoby do głowy płakać na wieść o tym, że Miramon zamierza zabrać Amalfiego. Przywódca Hewian przynajmniej wyglądał na człowieka zrównoważonego, a takie towarzystwo zapewne Amalfiemu dobrze zrobi. Na pewno zaś nie zaszkodzi nikomu na Nowej Ziemi. Jeżeli Hewianie chcieli mieć na swojej planecie takiego wiecznego malkontenta, za jakiego uważali Amalfiego, to ich problem.

W przypadku Hazletona sprawa wyglądała inaczej, i to zarówno w oczach Amalfiego, jak i Nowych Ziemian. Hazleton jako zwolennik filozofii Bonnera okazał się bardzo przywiązany do teorii absolutnego bezsensu wszelkich usiłowań uporządkowania wszechświata, którego naturalnym stanem był chaos. W miarę upływu czasu chaos powinien narastać, aż w końcu wszechświat osiągnie swój kres z powodu całkowitej utraty energii.

Bonner nauczał – i nie było nikogo, kto mógłby mu zaprzeczyć – że nawet prawa natury okazały się tylko długotrwałymi zdarzeniami, które nie zatraciły swojego stochastycznego charakteru. Nie przeszkadzał mu wcale fakt, że te prawa odkrywano w pocie czoła od początku stosowania metod naukowych, to znaczy mniej więcej od siedemnastego wieku. Bonner twierdził, że te prawa są tylko lokalnymi nieciągłościami w ogólnym schemacie ewolucji wszechświata, którego jedynym trwałym stanem był szum i chaos.

Bonner, chcąc być lepiej rozumianym, często powiadał, że nasłuchiwanie sygnałów dochodzących z wszechświata od chwili jego powstania przypominało nie kończący się, przeraźliwy ryk wyrażający miliardy lat jego egzystencji. Po tym ryku następował krótki, zaledwie trzyminutowy okres muzyki Bacha odpowiadający rozwojowi wszelkich nauk, a po nim znowu ryk przez następne tysiąclecia. Bonner twierdził, że gdyby przysłuchać się utworom Bacha uważniej, to można byłoby usłyszeć, jak po chwili przechodzą w jazgot Johna Cage'a i mieszają się z ogłuszającym, wszechobecnym zgiełkiem.

Ale sprawowanie władzy nigdy nie przestało nęcić Hazletona. Od czasu, kiedy w zasięgu wzroku Nowych Ziemian po raz pierwszy pojawiła się rzekoma nowa gwiazda, filozofia stochastyków pociągała go z coraz większą siłą. Narzucała mu swoje rozwiązania, choć starał się w jakiś sposób uporządkować ten stochastyczny wszechświat.

Podczas zatargu z Jornem Apostołem Amalfi miał dużo czasu, aby rozmyślać o Hazletonie. Mógł śledzić skutki podejmowanych przez niego decyzji, nie mogąc obserwować samych działań. Zastanawiał się wtedy, czy po tylu latach warto dawać się wciągać w walki o władzę, które od dawna powinny należeć do przeszłości. Jakie znaczenie dla człowieka wyznającego taką doktrynę mogła mieć walka o uporządkowanie wszechświata, skoro wszystko miało zginąć wcześniej, niż

zapowiadała filozofia?

A ze spraw bardziej przyziemnych: co właściwie znaczyła dla Marka jego żona? Czy zdawał sobie sprawę z tego, kim się stała? Jako młoda dziewczyna lubiła żyć pełnią życia, ale w miarę upływu lat zmieniała się coraz bardziej i przypominała teraz domową kwokę, która łatwo mogłaby paść łupem każdego kłusownika. A jeżeli już mowa o Dee, to czy powiedziała Markowi o tamtej rozmowie z Amalfim, kiedy zdradził jej, że jest bezpłodny?

No cóż, przynajmniej na to ostatnie pytanie mógł domyślać się odpowiedzi. Reszta spraw pozostawała nadal równie enigmatyczna jak przedtem. Czy nagła decyzja Marka o wzięciu udziału w ekspedycji miała oznaczać chęć zrzeczenia się władzy... czy może wręcz przeciwnie? Przecież człowiek tak inteligentny jak Hazleton musiał zauważyć, że sprawowanie władzy na Nowej Ziemi nie mogło się równać z rządzeniem całym Obłokiem. Dawało mniej więcej tyle samo satysfakcji, co pełnienie obowiązków kuchcika na obozie dla przedszkolaków.

Być może też incydent z Jornem uświadomił Hazletonowi, a przy tej okazji i innym Nowym Ziemianom, że ich prawdziwym przywódcą jest i zawsze będzie Amalfi. Tylko do niego mogli się zwrócić w przypadku grożącego im niebezpieczeństwa. Straciwszy dawno temu wszelką chęć do walki, nie umieli już planować ofensyw czy analizować szans na ich przeprowadzenie. Nie wiedzieli, czy znalazłby się ktoś oprócz ich legendarnego burmistrza, kto posiadałby te umiejętności. Okres rządów Hazletona uważali jedynie za namiastkę sprawowania władzy w okresie pokoju, kiedy właściwie żadna władza nie była im potrzebna.

Amalfi nagle uświadomił sobie, że oszustwo, do którego uciekł się w rozmowie z Jornem Apostołem, mogło wcale nie być oszustwem. Nowi Ziemianie nie chcieli nikogo, kto by nimi rządził. Nie mieli nic przeciw temu, aby ich codziennym życiem kierował ślepy przypadek. Jeżeli więc o to chodziło, to w tym byli naprawdę podobni do stochastyków. I dlatego nie było dla nich ważne, kto będzie sterował ich egzystencją: czy Jorn Apostoł, czy też przeciwstawiający się mu Amalfi.

W tym sensie szansa na to, że stochastyzm przesiąknie do umysłów Wojowników Boga i skala ich niewinne dusze, nie była wcale taka mała. Być może sami Nowi Ziemianie nie zdawali sobie sprawy z tego, że ich życiem zaczyna rządzić ta doktryna. Możliwe, że obecne czasy i filozofia nawzajem podały sobie rękę. Zapewne więc elokwentny Gifford Bonner był tylko spóźnionym wyrazicielem uczuć, jakie istniały w podświadomości Nowych Ziemian od dłuższego czasu.

Zapewne dlatego Jorn tak błyskawicznie uwierzył Amalfiemu. Sam Amalfi zresztą, a możliwe że Hazleton także, ostrzegając Jorna nie sądził, by te słowa miały okazać się prawdziwe. Jeśli Hazleton zdawał sobie z tego sprawę, to niczego nie tracił, opuszczając Nową Ziemię. Wręcz przeciwnie, przenosił się do ośrodka władzy, który w ciągu najbliższych trzech lat miał stać się jedynym liczącym się – dla niego i dla wszechświata.

Za wyjątkiem, rzecz jasna, Gwiazdozbioru Herkulesa. Ale ta cywilizacja, niezależnie od planów Hazletona, pozostawała niezmiennie poza zasięgiem jego władzy.

Amalfi zaczynał podejrzewać, że sam także coraz bardziej zaraża się wirusem stochastyzmu. Interesowały go odpowiedzi na wszystkie istotne pytania, ale z każdą chwilą przybliżającą go do kataklizmu uświadamiał sobie, jak małe mają znaczenie. Właściwie obchodziło go tylko, że planeta He mknęła jak pocisk ku metagalaktycznemu centrum. Zależało mu na budowie aparatury niezbędnej do przeżycia, ale przede wszystkim na tym, aby dotrzeć do celu przed cywilizacją Herkulesa.

I w taki to sposób Dee osiągnęła w ich sporze jeżeli nie ostateczne zwycięstwo, to chociaż chwilową przewagę. To właśnie jej określenie: „Latający Holender” przyłgnęło do Amalfiego, gdy triumf czasu odarł go z wszelkich innych etykiet i określeń. Przekleństwo polegało teraz – jak zresztą i w każdej innej chwili – nie na samej podróży, ale na samotności, która zmuszała do nie kończącej

się wędrówki.

Z jednym wyjątkiem. Tym razem koniec było widać.

Już w latach pięćdziesiątych dwudziestego stulecia wiedziano, że ogromne spiralne mgławice tworzące w przestrzeni wszechświata z niezliczonymi gwiazdami wykazują tendencję do skupiania się w wielkie gromady, owijające swe kręte ramiona wokół wspólnego ośrodka gęstości. Wówczas to niejaki Shapley sporządził mapę „wewnętrznej metagalaktyki” – grupy około pięćdziesięciu galaktyk, do których zaliczył także Drogę Mleczną i Mgławicę Andromedy. Po udowodnieniu słuszności hipotezy Milne’a można było wykazać, że takie metagalaktyki, tworzące ramiona spiralnie zakrzywiające się ku środkowi, są regułą. Centralny punkt metagalaktyki okazał się miejscem, w którym istniał kiedyś monoblok i z którego później eksplodował, dając początek całemu wszechświatowi.

He mknęła właśnie ku takiemu centrum. Powracała do kolebki czasu.

Planeta pozbawiona była już dziennego światła. Trasa, po jakiej się przemieszczała, pozwalała czasem zobaczyć odbłask mijanych po drodze małych, spiralnie zwiniętych galaktyk, ale nigdy nie pojedynczego słońca. Przestrzeń międzygalaktyczna była na to po prostu zbyt wielka. Panujących ciemności nie rozjaśniały nawet wiotkie gwiazdne pomosty, łączące galaktyki jak pępowiny. Pomosty te odkrył w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku Fritz Zworin, drastycznie zwiększając w ten sposób szacunkową wartość skupionej we wszechświecie masy, a w konsekwencji wiek i rozmiary wszechświata. Wszelkie światło, jakie istniało na He, było wytwarzane w sposób sztuczny. He pędziła w przestworzach z maksymalną prędkością, jaką dzięki tak wielkiej masie zapewniały wiratory. Kierowała się w stronę Miejsca, gdzie Wola zrodziła Pomysł, dzięki któremu stała się Światłość.

– Punktem wyjścia do naszych rozważań jest coś, co określił pan kiedyś jak Hipotezę Macha – odezwał się Retma, zwracając się do Amalfiego. – Doktor Bonner nazywa ją hipotezą Vicony albo zasadą kosmologii. Zgodnie z nią wszechświat oglądany z jakiegokolwiek punktu w przestrzeni albo w czasie będzie wyglądał tak samo jak z każdego innego. Znaczy to, że o ile się nie uwzględni wszystkich innych punktów we wszechświecie, nie jest możliwe obliczenie sił oddziaływujących na ten punkt w czasoprzestrzeni. Hipoteza ta jest prawdziwa, rzecz jasna, jedynie w czasie tau, w którym wszechświat można traktować jako wieczny, statyczny i nieograniczony. W czasie t, w którym wszechświat jest ograniczony, ale ciągle się rozprzestrzenia, zgodnie z hipotezą Macha prawie każdy jego punkt jest jedynym w swoim rodzaju miejscem obserwacji. Prawie każdy, gdyż jedynym wyjątkiem jest metagalaktyczne centrum. Na ten punkt nie działają żadne siły, a raczej wpływy oddziaływujących sił wzajemnie się równoważą. Oznacza to, że centrum nie zmienia swojego położenia. Można zatem, działając na ten punkt jedynie nieznaczną siłą, dokonać wielkich zmian w pozostałej części wszechświata.

– Na przykład zmienić orbitę Syriusza, nadeptując niechcący na kostkę mydła – podpowiedział doktor Bonner.

– Mam nadzieję, że nic takiego się nie wydarzy – odparł Retma. – Nie umielibyśmy opanować skutków takiej niezręczności. Poza tym nie chodzi nam tylko o taki drobiazg jak zmiana orbity Syriusza, może więc nie zagraża nam tego rodzaju niebezpieczeństwo. Liczymy na to, iż jest szansa, niewielka, co prawda, ale jednak, że punkt neutralny naszego wszechświata pokryje się z takim samym punktem wszechświata antymaterialnego. Mamy nadzieję, że w chwili kataklizmu obydwa te punkty neutralne, te ośrodki, przekształcą się w jedno centrum i przetrwają katastrofę choćby o bardzo krótką chwilę.

– Jak krótką? – zapytał zaniepokojony Amalfi.

– Wiemy tyle samo co pan – odezwał się doktor Schloss. – Liczymy jednak na co najmniej pięć mikrosekund. Dla naszych celów nie potrzebujemy dłuższego odcinka czasu. Może się także okazać, że chwila ta przeciągnie się do pół godziny, podczas której obydwie wszechświaty będą stopniowo odtwarzane. Te pół godziny oznaczałoby dla nas całą wieczność. Do tego, aby wycisnąć swoje piętno na przyszłości obydwu wszechświatów, wystarczy nam te pięć mikrosekund.

– O ile już w tej chwili nie znajduje się w tamtym centrum ktoś, kto jest bardziej przygotowany do tego, żeby wykorzystać je w ten sam sposób – powiedział z powagą Retma.

– A w jaki właściwie sposób chcemy je wykorzystać? – zapytał Amalfi. – Przyznam się, że nie bardzo rozumiem te wszystkie wasze ogólniki. Do jakiego celu dążymy? Na jaką kostkę mydła zamierzamy nadepnąć... i jakie mają być tego skutki? Czy naprawdę istnieje szansa przeżycia, czy może tylko przyszły wszechświat umieści nasze podobizny na znaczkach pocztowych? Wyjaśnijcie mi to tak, żebym coś z tego zrozumiał!

– Proszę bardzo – odparł Retma. Wyglądał na lekko zaskoczonego. – Naszym zdaniem to wszystko, co przez czas dłuższy od tych pięciu mikrosekund przeżyje Nieciągłość Ginnangu w metagalaktycznym centrum, będzie zawierało w sobie potem wystarczająco dużo energii potencjalnej, aby wywrzeć istotny wpływ na proces odradzania się obydwu wszechświatów. Jeżeli tym obiektem, który przetrwa, będzie kamień – albo planeta taka jak He – wówczas obydwie wszechświaty odtworzą się w postaciach bardzo podobnych do tych, jakie miały po eksplozji monobloku. A to by oznaczało, że ich historie powtórzą się dosyć dokładnie.

Może też się okazać, że obiektem, który przetrwa katastrofę, będzie ktoś obdarzony wolną wolą i swobodą przemieszczania się w przestrzeni... ktoś taki jak istota ludzka. Wówczas człowiek ten będzie mógł dysponować dowolną liczbą spośród nieskończenie wielu zbiorów wymiarów przestrzeni Hilberta. Każdy z nas, który przeżyje te pięć mikrosekund, ma szansę zapoczątkować swój indywidualny wszechświat, którego historia może być całkowicie odmienna od historii naszego.

– Trzeba jednak powiedzieć, że przy okazji tworzenia tego nowego wszechświata sam ulegnie zagładzie – dodał doktor Schloss. – Zawarte w nim cząsteczki i energia staną się nowym monoblokiem.

– Na wszystkie gwiazdy nieba! – wykrzyknął Hazleton. – To dlatego ścigamy się z Herkulesem w biegu do tego centrum! Hellehin! Nigdy nie sądziłem, że mógłbym dać początek całemu wszechświatowi. Nie wiem nawet, czy chciałbym tego.

– A czy masz jakiś inny wybór? – zapytał go Amalfi. – Co się stanie, jeśli Herkules dotrze do tamtego miejsca przed nami?

– Wówczas to tamta cywilizacja odtworzy cały wszechświat w sposób, w jaki będzie chciała – odrzekł Retma. – Ponieważ niczego o niej nie wiemy, nie możemy nawet zgadywać, co to będzie za sposób.

– Z wyjątkiem jednej – odezwał się doktor Bonner. – Jest bardzo prawdopodobne, że w ich wszechświecie nie będzie miejsca ani dla nas, ani dla żadnych innych podobnych do nas istot.

– To wydaje mi się niemal pewne – rzekł Amalfi. – Muszę przyznać, że niepokoję się o rezultat wyścigu co najmniej tak samo jak Mark. Czy może... czy istnieje jakieś trzecie rozwiązanie? Co będzie, jeśli w chwili katastrofy w metagalaktycznym centrum nie będzie nikogo? Jeśli nie zdążymy dotrzeć tam ani my, ani ci z Herkulesa, aby przygotować grunt pod nowy wszechświat?

Retma wzruszył ramionami.

– Wówczas, o ile w ogóle można coś powiedzieć o tak wielkiej przemianie, historia się powtórzy – powiedział. – Wszechświat narodzi się na nowo i przejdzie przez wszystkie swoje fazy

na drodze do ostatecznego celu – energetycznej zagłady i monobloku. Może się okazać, że odnajdziemy się w warunkach, do jakich przywykliśmy, tyle że będzie to już wszechświat antymaterialny. Jeśli tak, to nawet nie uświadomimy sobie różnicy. Ale uważam, że to mało prawdopodobne. Najbardziej prawdopodobna jest natychmiastowa zagłada, a po niej odradzenie się obydwu wszechświatów z pierwotnego iletu.

– Iletu? – zdziwił się Amalfi. – A co to takiego? Nigdy przedtem nie słyszałem tego słowa.

– Ilet był pierwotnym strumieniem neutronów, z którego powstało wszystko inne – wyjaśnił doktor Schloss. – Nie dziwię się, że nigdy nie słyszał pan tego pojęcia. Należy do abecadła kosmogonii tak samo jak twierdzenie Alpera-Bethe’ego-Gamona. Ilet w kosmogonii jest tym samym, czym zero w matematyce. Czymś tak starym i oczywistym, że nikomu nie przyszłoby do głowy, aby go wymyślać.

– No, dobrze – rzekł Amalfi. – Chciałem tylko się upewnić, czy dobrze rozumiem słowa Retny. Jeśli drugiego czerwca nie będzie nikogo w metagalaktycznym centrum, to najbardziej prawdopodobnym rozwiązaniem jest przekształcenie się nas wszystkich w ocean neutronów. – Zgadza się – powiedział doktor Schloss.

– Niewielki mamy wybór – stwierdził Gifford Bonner, pocierając w zamyśleniu czoło.

– To prawda – przyznał Miramon. Odezwał się po raz pierwszy. – Wybór mamy niewielki. Ale jest to jedyna szansa. A zaprzepaścimy ją, jeśli nie dotrzemy do metagalaktycznego centrum na czas.

Dopiero w ostatnim roku ich podróży Web Hazleton zaczął rozumieć, a i wówczas z początku bardzo mgliście, prawdziwą naturę nadciągającego kataklizmu. Wiedzy tej nie uzyskał przysłuchując się rozmowom przygotowujących się do tej chwili naukowców. Chociaż swoich przygotowań nie trzymali w tajemnicy, to jednak ich istota była dla Weba przez dłuższy czas niezrozumiała. Nic więc nie wyprowadzało go z błędnego mniemania, że w istocie naukowcy zamierzali w ogóle nie dopuścić do kataklizmu. Przestał wierzyć w to dopiero wówczas, kiedy Estelle nie zgodziła się urodzić jego dziecka.

– Ale dlaczego? – zapytał zdumiony. Jedną ręką trzymał za dłoń Estelle, a drugą gwałtownie gestykulował, wskazując cztery ściany pomieszczenia przydzielonego im przez Hewian. – Jesteśmy teraz razem i to na zawsze. Wiemy o tym nie tylko my... wiedzą o tym wszyscy. Nikt zatem nie miałby nam tego za złe!

– To prawda – odparła łagodnie Estelle. – Ale nie o to chodzi. Żałuję, że w ogóle o tym pomyślałeś. Byłoby o wiele łatwiej, gdybyś tego nie zrobił.

– Wcześniej czy później i tak przyszłoby mi to do głowy. Przestałbym zażywać pigułki już dawno, ale z powodu przeprowadzki na He było tyle zamieszania... Dopiero niedawno zorientowałem się, że ty bierzesz je nadal. Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

– Web, mój drogi, sam byś to zrozumiał, gdybyś tylko trochę pomyślał. Zbliża się ostateczny koniec, i to wszystko. Jaki sens miałyby urodzenie dziecka, które żyłoby tylko rok czy dwa lata?

– To wcale nie jest takie pewne – odparł Web ponuro.

– Oczywiście, że jest pewne. Myślę, że spodziewałam się tego od chwili swoich narodzin. Być może wiedziałam to jeszcze wcześniej... przeczuwałam, że się tak stanie.

– Estelle, moja droga, czy nie sądzisz, że to nonsens?

– Rozumiem, że to może wydawać ci się bezsensowne, ale nic na to nie poradzę – powiedziała Estelle. – Poza tym koniec jest bliski, a więc czyż można nazywać moją decyzję nonsensem? Miałam takie przeczucie i okazało się słuszne.

– Uważam, że to wszystko znaczy tylko tyle, że nie chcesz dzieci.

– To prawda – przyznała Estelle ku zdumieniu Web. – Nigdy nie pociągało mnie rodzenie dzieci. Nie zależało mi nawet na tym, czy ja sama przeżyję. W pewnym sensie to nawet szczęśliwie się składało. Niewiele osób umie pogodzić się z czasami, w których żyją. Ja miałam szczęście urodzić się we właściwym momencie... w czasach zbliżającego się końca świata. Właśnie z tego powodu nie nastawiałam się na rodzenie dzieci. Wiem, że po naszym pokoleniu nie będzie już następnego. Poza tym najpewniej jestem bezpłodna... ani trochę by mnie to nie zdziwiło.

– Estelle, proszę cię, przestań. Nie mogę znieść, kiedy mówisz takie rzeczy.

– Przykro mi, kochany. Nie chciałam ci sprawić bólu. Jeżeli o mnie chodzi, to już się z tym pogodziłam i wiem nawet dlaczego. Po prostu tak się nastawiłam. Wiem, że koniec tego świata stanie się ostatecznym naturalnym końcem także mojego życia. Więc to koniec świata nadaje sens mojemu życiu. Ty zaś, jak zresztą większość ludzi, spodziewasz się go, ale w niego nie wierzysz.

– No, nie wiem – mruknął Web. – Twoje rozumowanie wydaje mi się zbyt racjonalne. Estelle, jesteś przecież tak piękna... czy to dla ciebie nic nie znaczy? Czy nie jesteś piękna po to, aby móc zwrócić na siebie uwagę mężczyzny, a potem mieć z nim dzieci? Wydawało mi się, że właśnie w tym celu kobiety są piękne.

– Kiedyś zapewne tak było – przyznała Estelle z powagą. – Tak, na pewno tak było. No cóż... nie powiedziałabym tego nikomu innemu, Web, ale jestem w pełni świadoma swojej urody. Wiem też, że większość kobiet powiedziałaby ci to samo, gdyby uznała to za celowe. Dla kobiet takie stwierdzenie jest pewnie bardzo ważne. Człyby się tylko w połowie kobietami, gdyby nie wierzyły w to, że są piękne. I większość z nich jest naprawdę piękna bez względu na to, czy jest, i czy zdaje sobie z tego sprawę. Nie wstydzę się tego, że jestem piękna. Tyle, że przestałam przywiązywać do tego jakąkolwiek wagę. Sam przecież zauważyłeś, że uroda jest tylko środkiem do osiągnięcia zamierzonego celu. Uważam, że ten środek już się przeżył. Moim zdaniem kobieta, która w takiej sytuacji godziłaby się na śmierć swojego rocznego dziecka w płomieniach, nie byłaby lepsza od diabła. A przecież tak by postąpiła, rodząc dziecko właśnie w takiej chwili. Ja sobie to uświadomiłam i wiem, że nie mogłabym tego zrobić.

– Kobiety ryzykowały już nieraz w taki sposób i robiły to z całą świadomością – odparł z uporem Web. – Ubogie kobiety wiejskie, które wiedziały, że ich dzieci będą głodne tak samo, jak głodni byli ich rodzice. Albo kobiety z okresu poprzedzającego erę lotów w kosmos. Doktor Bonner powiedział, że przez pięć lat ich świat znajdował się o dwadzieścia minut od zagłady, a one nie przejmowały się i rodziły dzieci. Inaczej nikogo z nas by tu nie było.

– To był bodziec, którego ja nie mam, Web – powiedziała cicho Estelle. – Nie mam, bo wiem, że tym razem naprawdę nie ma ucieczki.

– Powtarzasz mi to ciągle, a ja nawet nie jestem pewien, czy masz rację. Amalfi powiedział nam przecież, że istnieje jakaś szansa.

– Wiem o tym – powiedziała Estelle. – Ja też przeprowadzałam obliczenia. Ale to nie jest taka szansa, o jakiej myślisz, mój kochany. Wykorzystanie jej będzie zależało od tego, czy ty albo ja będziemy postępować zgodnie z instrukcjami, i wykonamy właściwą czynność we właściwej chwili. Dla nas będzie to jakaś szansa, bo jesteśmy dorośli. Niemowlę nie potrafiłoby jej wykorzystać. Można byłoby wysłać je w przestrzeń na pokładzie statku pełnego zapasów żywności i energii, a ono i tak by zginęło. Co więcej, nie mógłbyś nawet powiedzieć mu, co ma robić. To wszystko jest tak skomplikowane, że zapewne niektórzy z nas też popełnią omyłki, które okażą się fatalne w skutkach.

Web nic na to nie odpowiedział.

– Poza tym dla nas też nie potrwa to długo – ciągnęła cicho Estelle. – My zginiemy także. Chodzi o to, że będziemy mogli oddziaływać na chwilę odradzania się wszechświata, jaka pojawi się

tuż po katastrofie obecnego. Jeżeli uda mi się tego dokonać, Web, to myślę, że to będzie moje prawdziwe dziecko. Jedyne, jakie warto mieć w takiej chwili.

– Ale to nie będzie moje dziecko.

– Nie, kochany. Ty będziesz miał swoje własne.

– Nie, nie, Estelle! To nie ma sensu! Chcę, aby twoje dziecko było także moim.

Estelle objęła go i przytuliła policzek do jego twarzy.

– Wiem – szepnęła. – Wiem. Ale nie mamy na to czasu. Nie dano nam przywileju posiadania własnych dzieci. No cóż, widać taki los był nam sądzony. Zamiast dzieciom, możemy dać życie wszechświatom.

– Mnie to nie wystarczy. – Web przytulił Estelle z całej siły. – To nawet w połowie nie to samo.

Kiedy o tym zdecydowano, nikt jakoś nie zapytał mnie o zdanie.

– A czy zapytał cię ktokolwiek, czy chcesz się urodzić, kochany?

– No, nie... Ale nie miałem nic... No cóż, myślę, że trzeba się z tym pogodzić.

– Tak, trzeba się z tym pogodzić. Tym razem też nikt nas nie zapytał. Wszystko zależy więc tylko od nas. Nie zgodzę się, aby dziecko, które mogłabym ci urodzić, miało zginąć w płomieniach. Nie zgodzę się i koniec.

– Masz rację – powiedział głucho Web. – To nie byłoby sprawiedliwe. No cóż, Estelle. Przez rok pozostanie mi cieszyć się tylko tobą. Nie sądzę, aby zależało mi na jakimkolwiek wszechświecie.

Hamowanie rozpoczęto pod koniec stycznia cztery tysiące sto czwartego roku. Począwszy od tej chwili planeta He miała poruszać się w sposób chaotyczny. Pomimo że chciano dotrzeć do celu jak najszybciej, nie można było zrobić nic innego. W przestrzeni międzygalaktycznej centrum metagalaktyczne nie jest miejscem odróżniającym się od innych miejsc. Trzeba było zatem dokonać wielu pomiarów, aby stwierdzić, że się je odnalazło.

W tym celu Hewianie musieli gruntownie przerobić sterownię swej planety. Była umieszczona na szczycie stumetrowej staleksowej wieży wzniesionej na wierzchołku najwyższej góry na planecie. Ku wielkiemu zakłopotaniu Amalfiego, górę tę nazwano jego nazwiskiem. Rozbitkowie – jak sami zaczęli nazywać siebie z wisielczym humorem – niemalże ani na chwilę nie opuszczali sterowni.

Grono Rozbitków składało się na początku z tych mieszkańców planety, których Schloss i Retma uznali za zdolnych do wykonania ich instrukcji. Zastosowanie się do nich w ściśle określonej chwili było jedyną szansą na powodzenie przedsięwzięcia. Schloss i Retma okazali się bardzo surowi i wybrana przez nich grupa liczyła zaledwie kilkanaście osób. W jej skład weszli wszyscy Nowi Ziemianie, chociaż Schloss miał na początku wątpliwości co do Weba i Dee.

Znalazło się także miejsce dla dziesięciu Hewian, między innymi Retmy i Miramona. Ale gdy ostateczna chwila zbliżała się, kilku Hewian postanowiło zrezygnować. Wycofywali się w chwili, w której uświadamiali sobie w pełni, o co chodzi, i na czym ma właściwie polegać ich rola.

– Dlaczego to robią? – zapytał Amalfi Miramona. – Czyżby pana ludzie nie wiedzieli, co to chęć przeżycia?

– Wcale mnie to nie dziwi – odrzekł Miramon. – Przywiązują bardzo dużą wagę do tego, co niezmiennie. Wolą raczej umrzeć, dysponując tym, co mają, niż żyć pozbawieni tego. Z pewnością wiedzą, co to chęć przeżycia, ale manifestują ją w inny sposób, niż robią to Nowi Ziemianie, burmistrz Amalfi. Najbardziej zależy im na tych rzeczach, które stanowią o istocie życia... a nasze przedsięwzięcie zawiera ich bardzo mało.

– A jak pan i Retma patrzycie na te sprawy?

– Retma jest naukowcem. To powinno wszystko wyjaśniać. Natomiast jeżeli chodzi o mnie, to

jak pan dobrze wie, jestem przeżytkiem. Nie zależy mi na systemie wartości Hewian bardziej, niż panu na systemie wartości Nowych Ziemi.

Amalfi uzyskał odpowiedź, ale żałował, że w ogóle zaczął tę rozmowę.

– Jak pan sądzi, czy jesteście blisko? – zapytał doktora Schlossa.

– Bardzo blisko – odparł tamten, nie ruszając się od pulpitu. Za ogromnymi oknami, rozmieszczonymi na całym obwodzie kolistej sali sterowni, wciąż panowała niemal absolutna ciemność. Tylko ktoś, kto miał dobry wzrok i wpatrywał się w mrok przez pół godziny albo dłużej, aby przyzwyczaić oczy do ciemności, mógłby dostrzec coś jeszcze – zarysy kilku galaktyk, świecących mniej lub bardziej intensywnie. W tym miejscu ich zagęszczenie było większe niż gdziekolwiek we wszechświecie. Na pierwszy rzut oka jednak ciemności były nieprzeniknione.

– Przyrządy cały czas wskazują wartości malejące – odezwał się nagle Retma. – Obserwuję coś dziwnego. Wygląda mi na to, że nasze urządzenia zaczynają wytwarzać coraz więcej mocy. W ciągu ostatniego tygodnia bez przerwy hamujemy, a ilość uzyskiwanej energii ciągle rośnie... powiedziałbym, że nawet wykładniczo. Mam nadzieję, że krzywa wzrostu jej wartości nie będzie przebiegała przez cały czas w taki sposób. W przeciwnym razie, kiedy dotrzemy do celu, nie poradzimy sobie z własnymi urządzeniami.

– Dlaczego tak się dzieje? – zapytał Hazleton. – Czyżby w samym centrum przestawała obowiązywać zasada zachowania energii?

– Nie sądzę – odparł Retma. – Wydaje mi się, że krzywa powinna zacząć przebiegać w końcu bardziej płasko...

– Krzywa Pearla – wtrącił się Schloss. – Mogliśmy się tego spodziewać. Z natury rzeczy wszystkie urządzenia w pobliżu centrum funkcjonują z o wiele większą wydajnością niż gdzie indziej. Chodzi o to, że centrum jest miejscem o bardzo małych stratach. Krzywa zacznie przebiegać więc bardziej płasko z chwilą, w której nasze urządzenia osiągną sprawności znamienne dla abstrakcyjnych warunków pracy: idealnego gazu, powierzchni pozbawionych tarcia, doskonałej próżni i tak dalej. Przez całe życie uczono mnie, abym nie wierzył w istnienie żadnego z tych idealnych stanów, ale sądzę, że będzie mi dane zapoznać się z nimi choć w zarysach.

– Z przestrzenią pozbawioną grawitacji też? – zapytał zaniepokojony Amalfi. – Znaleźlibyśmy się w prawdziwych tarapatach, gdyby nasze wiratory zostały pozbawione punktu oparcia.

– Nie, przestrzeń nie może być pozbawiona grawitacji – uspokoił go Retma. – Jeżeli chodzi o grawitację, to z powodu bezprecedensowej sprawności może być co najwyżej neutralna. Powodem takiego stanu rzeczy jest fakt, że w samym centrum równoważą się oddziaływania wszystkich sił we wszechświecie. Nigdzie indziej nie może istnieć punkt, w którym nie byłoby żadnego oddziaływania siły grawitacji, dopóki pozostanie w nim chociaż okruszek materii.

– Przypuśćmy jednak, że wiratory przestaną funkcjonować – odezwała się Estelle. – Czy to znaczy, że po osiągnięciu centrum nie będziemy mogli się z niego wydostać?

– Zgadza się – stwierdził Amalfi. – Ja jednak wolałbym zachować swobodę ruchów tak długo, dopóki nie zobaczę, co robią nasi konkurenci... O ile w ogóle coś robią. Czy ma pan o nich jakieś wieści, panie Retma?

– Jeszcze nie. Niestety, nie bardzo nawet wiemy, czego szukać. Mogę tylko powiedzieć, że w pobliżu nie znajduje się żadna sterowalna, podobna do naszej masa. Nie stwierdzamy także żadnej aktywności, która świadczyłaby o pojawieniu się inteligencji.

– Czy to znaczy, że ich wyprzedziliśmy?

– Niekoniecznie – odezwał się doktor Schloss. – Jeżeli znajdują się w tej chwili w samym centrum, to korzystając z ekranu jedynie o niewielkiej mocy mogą robić wiele różnych rzeczy. My

wprawdzie nie wiedzielibyśmy, co robią, oni jednak odkryliby naszą obecność bez trudu i z pewnością już dawno podjęliby odpowiednie kroki. Załóżmy więc na razie, że jesteśmy pierwsi, i trzymajmy się tego założenia tak długo, aż przyrządy mu nie zaprzeczą. Myślę, że to jest jedyne rozsądne rozwiązanie.

– Ile jeszcze czasu potrzeba nam na dotarcie do centrum? – zapytał Hazleton.

– Sądzę, że kilka miesięcy – odrzekł Retma. – O ile nasze założenie o płaskim odcinku krzywej okaże się prawdziwe.

– A na budowę niezbędnej aparatury?

– Ostatnie urządzenia powinny zostać ukończone pod koniec tego tygodnia – powiedział Amalfi.

– Gdy znajdziemy się na miejscu, będziemy mogli rozpocząć odliczanie... zakładając, że nauczymy się posługiwać sprzętem działającym z wydajnością od dziesięciu do stu razy większą od normalnej i nie uszkodzimy go przy tej okazji. Lepiej więc będzie przeprowadzić testy, kiedy tylko uda się nam skompletować cały system.

– Amen – odezwał się żarliwie Hazleton. – Czy mogę pożyczyć twój kalkulator? Muszę dokonać jeszcze kilku obliczeń i chciałem zabrać się do nich jak najszybciej.

Otrzymał go i opuścił salę. Zaniepokojony Amalfi zaczął wpatrywać się w ciemność za oknami. Niemalże wolałby, gdyby cywilizacja Herkulesa dotarła do centrum jako pierwsza i zaczęła teraz strzelać do nich jak do kaczek. Ta niepewność, czy ktoś inny czaił się gdzieś tam, w mroku, w połączeniu z nieznaną naturą ich przeciwnika była dla niego o wiele gorsza niż otwarta walka. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Gdyby to He znalazła się w centrum jako pierwsza, to mogliby mieć pewną przewagę...

Przewagę jedyną w swoim rodzaju. Amalfi nie potrafił wymyślić ani tym bardziej przygotować innej obrony dla planety poza tą, jaka wynikała z faktu znalezienia się w samym centrum. Tylko tam można było wykorzystać działanie stosunkowo małych sił dla uzyskania o wiele większych skutków. Były to oddziaływania podobne do „kostki mydła na orbitę Syriusza”, o których wspominał doktor Bonner.

Amalfi stwierdził jednak ze zdumieniem, że w tych sprawach współpraca Miramona z jego radą wcale nie układała się dobrze. Właściwie w ogóle jej nie było, jakby sam pomysł zorganizowania obrony dla całej planety okazał się dla wszystkich zbyt trudny do zrozumienia. Była to dziwna postawa. Od czasów, kiedy Amalfi ujrzał ich po raz pierwszy jeszcze jako dzikusów z rękami splamionymi krwią i błotem, mieli i realizowali przecież tyle wspaniałych pomysłów. Wiedział jednak, że jeżeli nie zrozumiał tych ludzi do tej pory, to w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy nie będzie miał ku temu okazji. Pocieszał go jedynie fakt, że Miramon z ochotą wyraził zgodę na to, aby Amalfi i Hazleton kierowali pracą Hewian podczas wykonywania tych wymyślonych niemal w ostatniej chwili instalacji.

– Coś z tych rzeczy powinno okazać się naprawdę przydatne, o ile użycie tego okaże się konieczne – powiedział Hazleton, spoglądając z należytym szacunkiem na dopiero co zmontowany labirynt przewodów, soczewek, obwodów elektrycznych i anten. – Chciałbym tylko wiedzieć, co.

Jego słowa były, niestety, dokładnym odzwierciedleniem istniejącej sytuacji.

Przyrządy i mierniki przez cały ten czas wskazywały coraz mniejsze wartości sił i natężeń prądów wokół He, podczas gdy wskazania wydajności urządzeń samej planety ciągle rosły. Jednak w tym pamiętnym dniu dwudziestego trzeciego maja cztery tysiące sto czwartego roku wskazania i jednych, i drugich mierników osiągnęły swoje wartości maksymalne, tak że wkrótce już zaczęło brakować im zakresów. Na całej planecie równocześnie dał się słyszeć przeraźliwy świst pracujących na granicy wytrzymałości wiratorów. Dłoń Miramona wystrzeliła ku głównemu

wyłącznikowi mocy tak nagle, że Amalfi nie mógłby powiedzieć, czy to on, czy też Ojcowie Miasta tak szybko odłączyli zasilanie. Być może nie wiedział tego sam Miramon. Jeżeli wyłączenie prądu było jego dziełem, to musiał zrobić to o ułamek sekundy wcześniej, zanim zrobiłyby to automaty.

Świst ucichł. Rozbitkowie popatrzyli sobie w oczy.

– No cóż – odezwał się Amalfi. – W końcu dotarliśmy do celu.

W pewnym sensie był z tego bardzo dumny. Wiedział, że to całkiem irracjonalne, ale w tak uroczystej chwili postanowił się nad tym nie zastanawiać.

– W końcu dotarliśmy – powtórzył jego słowa Hazleton, mrugając ze wzruszenia. – Ale co, u diabła, stało się z miernikami? Mogę zrozumieć, że oszalały przyrządy mierzące parametry planety, ale dlaczego to samo stało się z pozostałymi? Mierniki wskazujące parametry czynników zewnętrznych powinny raczej pokazywać zera!

– Szumy, jak sądzę – stwierdził Retma.

– Szumy? Jak to możliwe?

– Wszystkie mierniki potrzebują do pracy pewnej energii. Zazwyczaj niewielkiej, ale trochę jej zużywają. Rozumiem, dlaczego mierniki reagujące na sygnały z zewnątrz zachowały się tak jak przyrządy na planecie. Działając z maksymalną wydajnością i nie otrzymując żadnych sygnałów, zaczęły przetwarzać szumy pochodzące z ich własnej pracy.

– Nie podoba mi się to – mruknął Hazleton. – Kto mógłby mi powiedzieć, jaki poziom sygnałów jest bezpieczny, żeby nie zniszczyć wszystkiego w tych warunkach? Chciałbym wiedzieć, co się dzieje, aby móc wykonać niezbędne obliczenia. Nie ma sensu włączać przyrządów tylko po to, aby podczas pomiarów uległy uszkodzeniu.

Amalfi ujął jedyny instrument na pulpicie, jaki pozostawiono mu do dyspozycji. Był to mikrofon do porozumiewania się z Ojcami Miasta.

– Czy przez cały czas jesteście włączeni? – zapytał.

– TAK JEST, PANIE BURMISTRZU – padła natychmiastowa odpowiedź.

Miramon popatrzył na niego, wyraźnie zaskoczony. Wszystkie urządzenia, na których do tej pory polegał, zostały wyłączone. W sterowni nie było teraz nawet światła. Siedzieli niemal w całkowitym mroku, rozjaśnionym jedynie ledwo dostrzegalną poświatą zodiakalną. Dawały ją cząsteczki rozrzedzonego zjonizowanego gazu w atmosferze He, pobudzone do świecenia przez pole magnetyczne planety. Trochę światła pochodziło też z kilku pobliskich galaktyk. Niespodziewane odezwanie się Ojców Miasta musiało więc bez wątpienia zaskoczyć Miramona.

– To dobrze – rzekł Amalfi. – Z jakiego źródła energii korzystacie?

– Z SUCHYCH OGNIW POŁĄCZONYCH SZEREGOWO DAJĄCYCH NAPIĘCIE O WARTOŚCI DWÓCH I PÓŁ KILOWOLTA.

– Wszyscy?

– TAK, PANIE BURMISTRZU.

Amalfi wyszczerzył zęby w uśmiechu, którego prawie nikt nie zauważył z powodu panujących ciemności.

– To świetnie – powiedział. – W takim razie wykorzystajcie posiadane informacje na temat podwyższonej wydajności do określenia zestawu standardowych warunków, w jakich mogą funkcjonować przyrządy.

– WYKONANE.

– Połączcie się teraz z panem Miramonem. Pamiętajcie o oświetleniu pulpitu jego sterowni, żeby mógł widzieć wszystkie niezbędne przełączniki.

– PANIE BURMISTRZU, TO NIE BĘDZIE KONIECZNE. JUŻ PRZESTAWILIŚMY

GŁÓWNY WYŁĄCZNIK NA POZYCJĘ GWARANTUJĄCĄ BEZPIECZNĄ PRACĘ. W KAŻDEJ CHWILI MOŻEMY PONOWNIE URUCHOMIĆ WSZYSTKIE OBWODY I URZĄDZENIA.

– Nie, nie róbcie tego! Nie chcemy, aby znowu włączyły się wiratory...

– WIRATORY POZOSTANĄ WYŁĄCZONE -

odezwali się Ojcowie z rozbrajającą szczerością.

– No, co pan na to, panie Miramon? Czy ma pan do nich zaufanie? A może zamiast tego wolałby pan mieć wydrukowane wszystkie ich obliczenia, żeby mógł pan przejąć kontrolę nad planetą?

Usłyszał, jak Miramon bierze oddech, chcąc mu odpowiedzieć. Nigdy jednak się nie dowiedział, co miał usłyszeć, gdyż w tej samej chwili cały pulpit Miramona rozjarzył się światłkami.

– Hej! – krzyknął Amalfi. – Co to ma znaczyć, u diabła! Dlaczego nie czekacie na rozkazy?

– ROZKAZY ZOSTAŁY WYDANE JUŻ DAWNO TEMU, PANIE BURMISTRZU.

POLECONO NAM WŁĄCZYĆ SIĘ DO AKCJI W CHWILI STWIERDZENIA OBECNOŚCI JAKIEJKOLWIEK OBCEJ INTELIGENCJI. FAKT TAKI ZAREJESTROWALIŚMY TYSIĄC DWIEŚCIE SEKUND TEMU I WTEDY ZACZEŁO SIĘ ODLICZANIE. PRZED SIEDMIOMA SEKUNDAMI WPLYW OBCEJ INTELIGENCJI STAŁ SIĘ STATYSTYCZNIE ISTOTNY.

– O co im chodzi? – zapytał Miramon, starając się odczytać wskazania wszystkich mierników naraz. – Wydawało mi się, że znam pana język, ale...

– Ojcowie Miasta nie mówią w języku wędrowców. Mają swój własny, język maszyn – odparł ponuro Amalfi. – Chodzi im o to, że zbliża się do nas cywilizacja Herkulesa... i to szybko.

Jednym precyzyjnym ruchem palców Miramon wyłączył oświetlenie.

Zapadła ciemność. Po chwili, przenikając przez okna okrągłej sali, przedostała się poświata zodiakalna. Po dalszych kilku można było także dostrzec jeszcze słabsze punkty światła pochodzącego od najbliższych galaktyk. Na pulpicie Miramona świeciła jaskrawozielonym światłem tylko jedna lampka wskazująca, że pulpit znajduje się wciąż pod napięciem. W tych ciemnościach panujących w metagalaktycznym centrum jej światło niemal oślepiło. Amalfi musiał odwrócić wzrok, jeśli chciał przyzwyczaić oczy do ciemności, żeby cokolwiek zrobić w tej sali na wierzchołku góry nazwanej jego nazwiskiem.

Spoglądając w ciemność, zastanawiał się nad szybkością reakcji Miramona i nad przyczynami, dla których zachował się w taki sposób. Z pewnością nie mógł sądzić, że kilka światełek kontrolnych w pokoju znajdującym się na szczycie wieży mogło być dostrzeżone z tak dużej odległości. Jeśli o to chodziło, to zaciemnienie nawet tak dużego obiektu, jakim była planeta, nie mogło przynieść żadnej korzyści militarnej. Minęły z górą dwa tysiąclecia od czasów, kiedy jakkolwiek poważny nieprzyjaciel kierował się wyłącznie widokiem światła. Poza tym, gdzie Miramon mógł nauczyć się tego odruchu krycia się pod osłoną ciemności? To przecież nie miało sensu, a jednak Miramon wyłączył oświetlenie z wprawą zawodowego pięściarza robiącego unik przed niespodziewanym ciosem.

Kiedy ciemności za oknem zaczęły rzędnąć, Amalfi otrzymał odpowiedź. Ale nie było czasu na zastanawianie się, jakim cudem Miramon mógł tego się spodziewać.

Widok był taki, jak gdyby zniszczenie międzywszechświatowego posłańca miało się powtórzyć, ale w odwrotnej kolejności, obejmując tym razem swoim zasięgiem całą planetę. Wysoko, na mrocznym hewiańskim niebie, zaczęły się pojawiać smugi zielonożółtego światła. Z początku wyglądały jak pierwsze oznaki zorzy polarnej, ale z każdą chwilą przybierały na sile. Wiły się i skręcały jak dżdżownice w upiornym tańcu, obejmując swoim zasięgiem coraz większe i większe połacie hewiańskiego nieba. W sali sterowni dał się słyszeć terkot liczników cząstek

radioaktywnych. Hazleton rzucił się w ich stronę i zaczął śledzić ich coraz szybciej zmieniające się cyferki.

– Jak pan sądzi, skąd bierze się to całe świństwo? – zapytał Amalfi Miramona.

– Chyba pochodzi ze stu punktów naraz. Punkty te otaczają planetę sferą o średnicy mniej więcej jednego roku świetlnego – odparł Miramon. Sprawiał wrażenie bardzo zajętego. Dokonywał na pulpicie przełączeń, których sens pozostawał dla Amalfiego całkowicie niejasny. – Hmm, bez wątpienia to są statki – ciągnął. – Otoczyły nas jak kokonem. Ale jakiej broni używają?

– Przecież to jasne – odezwał się ponuro Hazleton. – Używają antimaterii.

– Jak to możliwe?

– Proszę spojrzeć na analizę częstotliwościową wtórnego promieniowania, jakie do nas dociera, a będzie pan wiedział, w jaki sposób. Każdy z tej setki statków musi być gigantycznym akceleratorem cząstek. Strzelają w naszą stronę strumieniami antymaterialnych cząstek i kierują je ku nam po liniach pola naszej własnej grawitacji. Właśnie dlatego ich tory są takie poskręcane. Znaleźli jakiś sposób na wytwarzanie dużych ilości elementarnych cząstek, z jakich składa się antymaterialny wszechświat, i przesyłanie ich. Kiedy spotykają się z cząstkami naszej atmosfery, dochodzi do dezintegracji obydwu rodzajów...

– A planeta otrzymuje dawkę promieniowania gamma o bardzo dużej energii – dokończył Amalfi. – Muszą umieć robić to od bardzo dawna. Helleshin! Co za sposób na podbój planet! Mogą albo poddać sterylizacji całą populację, albo nawet ją zabić, jeżeli sobie tego życzą, nie zbliżając się bardziej, niż sami uznają to za konieczne.

– Już otrzymaliśmy dawkę promieniowania tak dużą, że jesteśmy bezpłodni – odezwał się cichym głosem Hazleton.

– To i tak nie ma teraz najmniejszego znaczenia – powiedziała Estelle jeszcze ciszej.

– Dawka śmiertelna także by nie miała – zauważył Hazleton. – Rozwój choroby popromiennej trwa kilka miesięcy nawet wtedy, kiedy otrzyma się tę śmiertelną dawkę.

– Mogą nas w taki sposób bardzo szybko obezwładnić! – wybuchnął Amalfi. – Trzeba ich jakoś powstrzymać! Ważny jest każdy dzień, jaki nam pozostaje!

– Co proponujesz? – zapytał Hazleton. – Nic, co moglibyśmy wymyślić, nie będzie działało na sferę oddaloną od nas o rok świetlny. Nic, z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem fali antygravitacyjnej – dokończył Amalfi. – Zastosujmy ją i to jak najszybciej.

– A co to takiego? – zapytał go Miramon.

– Wszystkie wiratory planety są nastawione na pojedynczy impuls o bardzo dużej mocy, który spowoduje ich przeciążenie, a może i zniszczenie. Z tego miejsca przestrzeni, w jakim się znajdujemy, rozejdzie się kulista fala antygravitacyjna. Powinna doprowadzić do powstania grawitacyjnych węzłów i wirów. Nie wiemy, jaki będzie jej zasięg, ale z pewnością taka fala dotrze na bardzo duże odległości.

– Być może nawet do granic wszechświata – powiedział doktor Schloss.

– No i co z tego? – zapytał Amalfi. – Po upływie dziesięciu dni i tak zostanie zniszczony.

– Nie zostanie, jeżeli w ten sposób zniszczymy go wcześniej my sami – stwierdził Schloss. – Jeśli nie będzie istniał w chwili, w której miał zderzyć się ze wszechświatem antymaterialnym, to cała nasza akcja nie ma sensu. Nie będziemy mogli wówczas niczego zrobić.

– Będzie nadal istniał – upierał się Amalfi.

– Ale nie w jakimkolwiek przydatnym do naszych celów sensie. Będzie jedynie zbiorem skupisk materii zagubionych pośród grawitacyjnych wirów. Sądzę, że lepiej niech nas wykończą ci z Herkulesa, niż gdybyśmy sami mieli zniszczyć przyszłość nie tylko jednego, ale obu

wszechświatów! Panie Amalfi, czy nawet w takiej chwili nie zrezygnuje pan z zabawy w boga?

– No, dobrze – odparł Amalfi. – Niech pan spojrzy na te dozymetry, a potem popatrzy w niebo.

Co pan proponuje?

Całe niebo jarzyło się w tej chwili intensywną zielonożółtą poświatą. Zbocza góry i całą okolicę porastały drzewa, pod którymi nie było widać jakiegokolwiek cienia. Widok ten przypominał płaskie ścienne malowidło narysowane czyjąś niewprawną ręką. Terkot liczników cząstek przemienił się w monotony, ogłuszający jazgot.

– Miałem tylko na myśli to, abyśmy nałżykali się pigulek przeciw chorobie popromiennej i starali się przez te dziesięć dni jakoś przeżyć – powiedział z rezygnacją doktor Schloss. – Cóż innego moglibyśmy zrobić? Nie mamy żadnej innej broni.

– Przepraszam, że się wtrącam – odezwał się Miramon – ale nie sądzę, aby sprawa wyglądała tak beznadziejnie. Dysponujemy pewnymi własnymi środkami obronnymi. Z jednego z nich właśnie przed chwilą skorzystałem. Mam nadzieję, że okaże się skuteczny.

– Jakimi środkami? – zapytał zaskoczony Amalfi. – Nie sądziłem, że planeta jest uzbrojona. Ile czasu będziemy musieli czekać, zanim jego działanie przyniesie zamierzone skutki?

– Po jednym pytaniu naraz – odparł Miramon. – To jasne, że jesteśmy uzbrojeni. Nigdy o tym nie mówiliśmy ze względu na nasze dzieci. Musieliśmy jednak liczyć się z możliwością, że któregoś dnia podczas naszej podróży zostaniemy zaatakowani. Nie mogliśmy lekceważyć takiej możliwości z uwagi na to, jak bardzo oddaliliśmy się od naszej macierzystej galaktyki i ile systemów gwiazdnych zamierzaliśmy odwiedzić. Przedsięwzięliśmy więc odpowiednie kroki, żeby mieć się czym bronić. Tej broni nie zamierzaliśmy kiedykolwiek wykorzystać, ale musiałem użyć jej właśnie teraz.

– Co to za broń? – zapytał Hazleton z nadzieją w głosie.

– Gdyby nie nadciągający koniec, nigdy byśmy wam tego nie zdradzili – powiedział Miramon. – Kiedyś pochwalił nas pan, panie Amalfi, że jesteśmy dobrymi chemikami. Zastosowaliśmy więc chemię w fizyce. Odkryliśmy, w jaki sposób można wykorzystać zjawisko rezonansu do zatruwania pola elektromagnetycznego. Postąpiliśmy w podobny sposób, w jaki postępuje się podczas katalizy. Pole zatruwające przemieszcza się po liniach sił pola macierzystego i dociera w ten sposób do jego źródła. Tę metodę można stosować w przypadku niemal każdego sygnału ciągłego, który spełnia równania Faradaya. Proszę tylko popatrzeć.

Wskazał na okno. Poświata była nadal tak samo intensywna jak przed chwilą, ale na niebie pojawiły się teraz podobne do trądu plamy. W ciągu zaledwie kilku sekund rozrosły się i połączyły. Na niebie pozostały już tylko nieliczne świecące obszary, kurczące się z każdą chwilą jak martwe komórki rozpuszczane przez enzymy bakterii gnilnych.

Kiedy niebo nad He przybrało ponownie granatowoczną barwę, Amalfi dostrzegł wiele jarzących się punktów. Były to wycelowane w stronę planety wyrzutnie strumieni cząstek. Domyślił się, że musiała być ich naprawdę setka, choć ze swojego punktu obserwacyjnego widział ich nie więcej niż piętnaście. Punkty te ciemniały coraz bardziej, aż zgasły całkowicie, pochłonięte przez czerń nieba.

Liczniki radioaktywnych cząstek powróciły do swojego terkotu, ale nie umilkły zupełnie.

– Co stanie się ze statkami, jeżeli to do nich dotrze? – zapytał Web.

– Zatruciu ulegną także ich obwody – odparł Miramon. – System nerwowy istot znajdujących się na pokładach zostanie całkowicie sparaliżowany. Zginą wszystkie, a razem z nimi ich statki. Nie pozostanie z nich nic poza setką nieruchomych, martwych skorup.

Amalfi westchnął z ulgą.

– Nic dziwnego, że nie był pan zainteresowany moją propozycją użycia wiratorów –

powiedział. – Dysponując czymś takim, mógł pan sam łatwo stać się kimś w rodzaju tamtych istot z Herkulesa.

– Nie – odrzekł Miramon. – Kimś takim nigdy byśmy się nie stali.

– Na wszystkie gwiazdy niebios! – wykrzyknął Hazleton. – Czy to naprawdę koniec? Tak szybko?

Miramon uśmiechnął się ponuro.

– Tak, sądzę, że już nigdy nie usłyszymy o Herkulesie – powiedział. – Ale nadal trwa to odliczanie, o którym mówili Ojcowie Miasta. Już tylko dziesięć dni pozostało do końca świata.

Hazleton odwrócił się w stronę wciąż terkoczących dozymetrów. Przez chwilę patrzył na nie, nie odzywając się ani słowem. Później, ku zaskoczeniu Amalfiego, roześmiał się na całe gardło.

– Co cię tak rozśmieszyło? – mruknął Amalfi.

– Domyśl się sam, szefie. Miramon i jego ludzie przegraliby, gdyby przyszło im kiedykolwiek zmierzyć się z Herkulesem w innych warunkach.

– Dlaczego?

– Ponieważ w tym samym czasie, w którym jego broń walczyła z nimi, my otrzymaliśmy śmiertelną dawkę twardego promieniowania – odparł Hazleton, ocierając oczy. – Możemy uważać się za martwych tak samo jak nieboszczyki na cmentarzu.

– To ma być dowcip? – zapytał go Amalfi.

– Oczywiście, że to jest dowcip, szefie. Zresztą nie ma teraz najmniejszego znaczenia. Nie ma tych „innych warunków”. Ważne jest tylko to, że każdy z nas otrzymał tę śmiertelną dawkę. Po upływie dwóch tygodni zaczęlibyśmy odczuwać mdłości, wymiotować, a potem tracić włosy. Po następnym tygodniu byłibyśmy już martwi. Czy nadal nie rozumiesz, na czym polega ten dowcip?

– Rozumiem – rzekł Amalfi. – Mogę od czternastu odjąć dziesięć i zostanie mi cztery. Oznacza to, że będziemy żyli, dopóki nie umrzemy z innego powodu.

– Nie znoszę ludzi, którzy nie mają poczucia humoru.

– To strasznie stary dowcip – powiedział Amalfi, cedząc słowa. – Może jednak właśnie dlatego wciąż jeszcze jest aktualny. Był śmieszny dla Arystofanesa, a więc powinien być śmieszny i dla mnie.

– Myślę, że cała ta sytuacja jest aż za bardzo śmieszna – odezwała się z goryczą Dee.

Miramon przenosił wzrok z jednego Nowego Ziemianina na drugiego, nie rozumiejąc, o co właściwie im chodziło. Amalfi się roześmiał.

– Nie mów tak, Dee, jeżeli naprawdę tak nie myślisz – powiedział. – Mimo wszystko to zawsze był dobry dowcip. Śmierć jakiegokolwiek człowieka jest równie dowcipna jak śmierć całego wszechświata. Nie pozbawiaj się więc tej być może już ostatniej okazji do beztroskiego śmiechu. To może być jedyne dziedzictwo, jakie po nas pozostanie.

– PÓLNOC – oznajmili Ojcowie Miasta. – **DZIEWIĘĆ DNI DO KOŃCA ŚWIATA.**

ROZDZIAŁ ÓSMY

Triumf czasu

Kiedy Amalfi otworzył drzwi i wrócił do sterowni, Ojcowie Miasta oznajmili:

– DZIEŃ ZERO. ZOSTAŁA JEDNA GODZINA.

W takiej chwili dosłownie wszystko miało znaczenie, a może też nic nie miało – to zależało od tego, co mogło być istotne dla człowieka liczącego sobie prawie dwa tysiąclecia. Kilka chwil wcześniej Amalfi wyszedł z sali i udał się do toalety. Wiedział, że ani on, ani nikt z obecnych w sterowni ludzi nie zrobi tego nigdy więcej. Koniec ich świata był tak bliski, że przestawały się liczyć nawet biologiczne funkcje organizmu, dzięki którym człowiek nauczył się rozpoznawać upływ czasu. Czy zwiększone wydalanie moczu stało się równie godne opłakiwania, co uczucie miłości? Może tak, gdyż czynności fizjologiczne powinny mieć także swoich żalobników. Żadne uczucie, żadna myśl czy emocja nie były bez znaczenia wtedy, kiedy miały być ostatnimi w czyimś życiu.

A więc żegnajcie wszystkie radości i wszystkie smutki, wszystkie uczucia i funkcje organizmu: od wydalania moczu do miłości, od przyjmowania pokarmu do trawienia, od picia piwa do gry w kręgle.

– Co nowego? – zapytał Amalfi.

– W takiej chwili nic nie jest już nowe – odrzekł Gifford Bonner. – Pozostało nam tylko czekać. Siadaj, John, i napij się z nami.

Amalfi usiadł przy długim stole i zaczął się wpatrywać w stojący przed nim kielich wykonany z czerwonego szkła. Znajdujący się w nim płyn nadawał mu niebieskawą barwę. Połączenie tych dwóch kolorów nie dawało jednak fioletu. Było to widoczne nawet w tym nikłym fluorescencyjnym świetle jarzącym się w samym środku ciemności metagalaktycznego centrum. Przy samym brzegu kielicha płaszczyna płynu zakrzywiała się, tworząc niewielki, wklęsły menisk. Po zewnętrznej ścianie naczynia spływały, wijąc się, krople skondensowanej pary wodnej.

Amalfi spróbował wina i stwierdził, że miało smak trochę cierpki i kwaśny. Hewianie nigdy nie słynęli z produkcji dobrych trunków, ale to było zrozumiałe – nie pozwalał na to klimat ich planety. Wino smakowało Amalfiemu jednak tak bardzo, że aż westchnął.

– Za jakieś pół godziny powinniśmy założyć kombinezony – odezwał się doktor Schloss. – Można co prawda zrobić to trochę później, ale niektórzy z nas nie mieli na sobie kombinezonów od dobrych kilku wieków, a inni nigdy w życiu. Nie chciałbym ryzykować, gdyby miało okazać się, że któryś nie pasuje albo jest nieszczelny.

– Sądziłem, że będziemy osłaniani przez coś w rodzaju pola – stwierdził Web.

– Nie na długo, Web. Pozwólcie, że wytłumaczę wszystko jeszcze raz, tak aby każdy mógł to dobrze zapamiętać. Będziemy osłaniani przez pole tylko do chwili nadejścia kataklizmu. Potem czas przestanie płynąć i stanie się jeszcze jedną współrzędną w przestrzeni Hilberta. Pole pozwoli nam znaleźć się w pierwszej sekundzie czasu po drugiej stronie... po katastrofie. Później jednak przestanie istnieć, bo wytwarzające je wiratory także ulegną anihilacji.

Będziemy wówczas tworzyli tyle wzajemnie niezależnych zbiorów czterech wymiarów, ile osób znajduje się w tej sali. Każdy zbiór będzie całkiem pusty. Kombinezony także nie zapewnią nam osłony na długo, bo każdy z was we własnym, niepowtarzalnym wszechświecie będzie jedynym źródłem zorganizowanej materii i energii. Gdy ktokolwiek zakłóci równowagę wymiarów własnego wszechświata, wy sami, wasze skafandry, znajdujące się w nich powietrze, energia z akumulatorów... wszystko to eksploduje, stając się monoblokiem i tworząc przestrzeń. Jeżeli jednak w chwili katastrofy ktoś z was nie będzie miał na sobie kombinezonu, to żadna z tych rzeczy się nie zdarzy.

– Wolałabym, abys nie opisywał tego wszystkiego tak obrazowo – odezwała się Dee głosem, który świadczył o tym, że właściwie było jej wszystko jedno.

Amalfi zauważył na jej twarzy wyraz takiego samego dziwnego napięcia jak wtedy, gdy oświadczyła mu, że chciała by urodzić jego dziecko. Jakiś impuls nakazał mu odwrócić się i spojrzeć na Weba i Estelle. Siedzieli przy stole z rękami ufnie złożonymi na powierzchni blatu. Twarz Estelle była jak zwykle pogodna, chociaż oczy błyszczały jak dziecku czekającemu niecierpliwie na początek uroczystości. Wyraz twarzy Weba był bardziej skomplikowany. Malowała się na niej niepewność pomieszana z zakłopotaniem, jak gdyby Web rozmyślał, czy przypadkiem nie powinien martwić się jeszcze bardziej.

Za oknami wieży rozległ się cichy świst, który z wolna przybrał na sile, ale po kilku chwilach ucichł. Ten ostatni dzień zaliczał się do wietrznych.

– A co stanie się ze stołem, krzesłami i kielichami? – zapytał Amalfi. – Czy one także będą mogły przedostać się na drugą stronę?

– Nie – odparł doktor Schloss. – Nie wolno nam ryzykować, że w najbliższym sąsiedztwie ludzi znajdą się jakieś inne skupiska atomów. Stosujemy modyfikację tej samej techniki, jakiej użyliśmy do budowy Obiektu 4101-Alephnull. Meble zaczną co prawda dokonywać przejścia razem z nami, ale użyjemy ostatnich dostępnych dzuli energii, aby cofnąć je w czasie o jedną mikrosekundę. W rezultacie zostaną w starym wszechświecie. Mogę tylko zgadywać, jaki los je spotka.

Amalfi w zamyśleniu uniósł kielich. Czuł jedwabisty dotyk szkła. Hewianie umieli robić dobre szkło.

– Czy ta przestrzeń, w której się znajduję, naprawdę nie będzie miała żadnego kształtu? – zapytał.

– Tylko taki, jaki pan zechce jej później nadać – odezwał się Retma. – To nie będzie dotychczasowa przestrzeń. Na początku nie będzie miała żadnego wymiernego kształtu. Prawdę mówiąc, pana obecność w tamtym miejscu byłaby niemożliwa...

– Dziękuję panu bardzo – odezwał się oschle Amalfi ku oczywistemu zakłopotaniu Retmy. Po chwili ciszy naukowiec zaczął mówić dalej, nie komentując uwagi Amalfiego:

– Chciałem tylko powiedzieć, że pana masa stworzy przestrzeń gotową na jej przyjęcie. Dopiero później przybierze wymierny kształt, który w tej chwili już istnieje w panu. To, co wydarzy się potem, będzie zależało od tego, w jakiej kolejności zechce pan pozbywać się części swojego kombinezonu. Osobiście radziłbym uwolnić na początku tlen z butli, gdyż danie życia wszechświatowi podobnemu do naszego z pewnością będzie wymagało ogromnych ilości plazmy. Ten tlen, jaki pozostanie w pana skafandrze, powinien wystarczyć na czas, jaki będzie miał pan do swojej dyspozycji. Na samym końcu powinien pan uwolnić całą energię kombinezonu. Odniesie to taki sam skutek, jakby przytknął pan zapalną do beczki z prochem.

– A jak duży będzie ten wszechświat, który każdy z nas stworzy? – zapytał Hazleton. – O ile dobrze pamiętam, to monoblok naszego wszechświata był duży i miał ogromną gęstość.

– No cóż, nasze wszechświaty będą znacznie mniejsze – odrzekł Retma. – Nie sądzę, aby w stanie największego rozproszenia ich średnica miała przekraczać jakieś pięćdziesiąt lat świetlnych. W miarę jednak ciągłego procesu tworzenia się nowej materii, dołączają do niego coraz to nowe atomy. W pewnej chwili zostanie osiągnięta masa wystarczająco duża do stworzenia monobloku dla celów następnego skurczu. Tak przynajmniej sądzimy. Musi pan mieć na uwadze, że całe nasze rozumowanie oparte jest w znacznej mierze na domysłach. Nie mieliśmy czasu na to, aby dowiedzieć się wszystkiego, czego pragnęliśmy.

– DZIEŃ ZERO. DO KOŃCA ZOSTAŁO TRZYDZIEŚCI MINUT.

– No tak – odezwał się doktor Schloss. – Pora na skafandry. Będziemy porozumiewali się przez

radio.

Amalfi skończył wino. Jeszcze jedna ostatnia czynność. Nałożył skafander, z wolna przypominając sobie kolejność czynności, które poznał wiele wieków wcześniej. Upewnił się, że przełącznik radia jest włączony, ale nie przychodziło mu do głowy nic, co chciałby powiedzieć. Aż do tej chwili myśl, że zginie nagłą śmiercią, nie wywierała na nim tak wielkiego wrażenia, jak myśl o zagładzie wszechświata, którego był tylko małą częścią. Każda uwaga, jaką mógłby wypowiedzieć, wydawała mu się nieskończenie mało ważna.

Docierały do niego odgłosy rozmów na tematy techniczne, dotyczące ubierania się w kombinezony. Ze szczególną uwagą śledził to, co mówili sobie Web i Estelle. Po kilku chwilach gwar rozmów ucichł. Może pozostali także doszli do wniosku, że wszelkie słowa przestają cokolwiek znaczyć.

– DZIEŃ ZERO. DO KOŃCA ZOSTAŁO PIĘTNAŚCIE MINUT.

– Czy jesteście świadomi tego, co stanie się z wami później? – zapytał Amalfi Ojców Miasta.

– TAK JEST, PANIE BURMISTRZU. W MOMENCIE ZERO ZOSTANIEMY WYŁĄCZENI.

– To dobrze – rzekł Amalfi, zastanawiając się, czy sądzili, że kiedykolwiek w przyszłości zostaną znów włączeni.

Później doszedł do wniosku, że śmieszne z jego strony było posądzanie Ojców Miasta o coś, co choćby w przybliżeniu graniczyło z emocjami. Postanowił jednak nie mówić nic takiego, co mogłoby odebrać im złudzenia. Byli co prawda tylko maszynami, ale w ciągu tych niezliczonych lat okazali się wiernymi przyjaciółmi i sprzymierzeńcami.

– DZIEŃ ZERO. DO KOŃCA POZOSTAŁO DZIESIĘĆ MINUT.

– To wszystko dzieje się tak szybko – usłyszał w słuchawkach szept Dee. – Mark* ja... ja nie chcę, aby to się wydarzyło.

– I ja także nie chcę – odrzekł Hazleton. – Ale pomimo tego to się wydarzy. Żałuję tylko, że nie przeżyłem życia pełniej, jak prawdziwy człowiek. Ale to, co się stało, to się nie odstanie, więc nie warto mówić o tym więcej.

– Bardzo chciałabym, żeby w tym moim wszechświecie nie było żadnych trosk i zmartwień – powiedziała Dee.

– A zatem po prostu go nie stwarzaj, moja droga – odezwał się Gifford Bonner. – Zostań tutaj. Jak wszechświat wszechświatem, życiu zawsze towarzyszyły jakieś troski.

– I radości – dopowiedziała Estelle.

– No, tak. Radości także. Takie właśnie jest życie.

– DZIEŃ ZERO. DO KOŃCA ZOSTAŁO PIĘĆ MINUT.

– Sądzę, że możemy się obejść bez dalszego odliczania – powiedział Amalfi. – W przeciwnym razie Ojcowie Miasta będą zgłaszali się co minutę, a w ostatniej minucie co sekundę. Czy zamierzacie spędzić ostatnie chwile życia, słuchając tej paplaniny? Czy ktoś z was naprawdę sobie tego życzy?

Nikt mu nie odpowiedział.

– No cóż, w takim razie wstrzymajcie dalsze odliczanie – polecił Ojcom Miasta.

– WYKONANE. DO WIDZENIA, PANIE BURMISTRZU.

– Do widzenia – odrzekł zdumiony Amalfi.

– Ja nie wypowiem tych słów, jeżeli nie macie nic przeciw temu – odezwał się Hazleton łamiącym się ze wzruszenia głosem. – Nie mógłbym znieść myśli, że zostaję pozbawiony wszystkiego, co było mi kiedykolwiek drogie. Mam nadzieję, że wszyscy będą uważali, iż ich pożegnałem.

Amalfi skinął tylko głową, lecz zorientował się, że tego gestu nikt nie był w stanie dojrzeć przez hełm jego skafandra.

– Zgadzą się z tobą – powiedział. – Ale ja nie czuję się odwołany. Kocham was wszystkich bez wyjątku. Przekazuję wam swoją miłość tak samo, jak wy przekazujecie mi swoją.

– To jedyna rzecz w całym wszechświecie, jaką można przekazać i nadal nią dysponować – odezwał się Mir amon.

Podłoga pod stopami Amalfiego zadrżała, kiedy wiratory zwiększały swoją moc, przygotowując się do ostatecznego wysiłku. Odgłosy ich działania kołysały wszystkim nerwy tak samo, jak widok pokoju, stołu, góry, całej planety...

– Sądzę, że... – odezwał się Gifford Bonner.

Po tych słowach wszystko się skończyło.

Z początku było tylko znajome wnętrze skafandra. Na zewnątrz nie było widać nawet ciemności. Tylko nicość, której nie dało się zobaczyć tak samo, jak nie można ujrzeć czegoś, co znajduje się poza zasięgiem wzroku. W tym sensie nie można dostrzec ciemności, pozostającej jedynie pojęciem w czyjejsz głowie, jako że najzwyczajniej w świecie nie da się oglądać własnych myśli. A jednak przez bardzo krótką chwilę Amalfi miał wciąż świadomość tego, że znajduje się wśród przyjaciół. Wciąż należał do grupy tych samych ludzi, chociaż pokój i to wszystko, co się w nim znajdowało, zniknęło. Nie miał pojęcia, skąd wiedział o ich obecności, ale czuł ją bardzo wyraźnie.

Zdawał sobie sprawę, że próba porozmawiania z nimi choć przez moment okazałaby się bezowocna. Prawdę mówiąc, kiedy się nad tym zastanawiał, czuł, jak zaczynają się od niego oddalać. Krąg otaczających go istnień miał coraz większy promień. Milczące postacie stawały się coraz niniejsze. Nie oddalały się w sensie odległości – bo żadna odległość nie istniała – ale z każdą chwilą coraz słabiej wyczuwał ich obecność.

Próbował jeszcze unieść rękę w geście oznaczającym pożegnanie, ale stwierdził, że to niemożliwe. Zanim wykonał za ledwie połowę tego gestu, wszyscy inni rozplynie się w nicości i zniknęli. Pozostawili po sobie tylko wspomnienie, które równie szybko rozwiewało się i nikło jak zapach ulotnego aromatu.

Amalfi musiał robić to, co musiał, chociaż był zdany teraz wyłącznie na własne siły. Uniesioną ręką odkręcił więc zawory butli z tlenem i uwolnił znajdujący się w nich pod ciśnieniem gaz. Wydało mu się, iż nicość, w której dotychczas przebywał, powoli przybiera jakieś kształty. Domyślił się, że zaczął wyciskać na niej swoje piętno. Okazało się, że powstrzymać ten proces było niemal tak samo trudno, jak przedtem go wyzwolić.

Ale udało mu się go zatrzymać. Jaki sens miało stwarzanie następnego wszechświata podobnego do tego, który dopiero co się skończył? Natura zezwoliła na istnienie aż dwóch takich, skazując je na zagładę w jednej i tej samej chwili. Dlaczego zatem nie spróbować czegoś odmiennego? Retma ze swoją ostrożnością, Estelle ze swoim intelektem, Dee ze swoimi troskami – wszyscy dadzą życie jakiejś wersji wszechświata podobnego do poprzedniego. Amalfi znał jednak ten poprzedni tak dobrze, że nawet nie chciał głębiej odetchnąć w obawie, że też mógłby stworzyć coś takiego. Co by się stało, gdyby zamiast tego nacisnął guzik detonatora? Co by się wydarzyło, gdyby pozwolił, aby wszystkie cząsteczki, z których składał się on sam i jego skafander, nagle przekształciły się w morze plazmy?

Tego nie mógł wiedzieć, ale zawsze szukał Nieznanego. Opuścił więc rękę.

Nie było powodu, aby dłużej zwlekać. Retma kiedyś wygjosił stosowne epitafium dla Człowieka: Me mieliśmy czasu na to, aby dowiedzieć się wszystkiego, czego pragnęliśmy.

– A więc niech się stanie – rzekł Amalfi, naciskając guzik umieszczony na wysokości serca.
Rozpoczęło się tworzenie od nowa.

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA..	1
PROLOG..	5
ROZDZIAŁ PIERWSZY..	7
ROZDZIAŁ DRUGI.	17
ROZDZIAŁ TRZECI.	27
ROZDZIAŁ CZWARTY..	40
ROZDZIAŁ PIĄTY..	50
ROZDZIAŁ SZÓSTY..	64
ROZDZIAŁ SIÓDMY..	80
ROZDZIAŁ ÓSMY..	94